



KALENDARZ
ŚLĄSKI

KALENDARZ ŚLĄSKI 2024

Wydał

Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej

Úřad vlády České republiky



Projekt byl realizován za finanční podpory Úřadu vlády České republiky.

Výstupy projektu nereprezentují názor Úřadu vlády České republiky a Úřad vlády České republiky neodpovídá za použití informací, jež jsou obsahem těchto výstupů.



Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2023.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Redakcja Marian Siedlaczek

kalendarz.redakcja@gmail.com

Redakcja językowa i korekta Joanna Pilch • Zofia Parchańska-Puczek

Opracowanie graficzne i skład Marian Siedlaczek

Zdjęcia niepodpisane Dzięki uprzejmości autorów, archiwum redakcji

Druk Finidr, sp. z o. o., Czeski Cieszyn

Czeski Cieszyn 2023

ISSN 0862-1810

ISBN 978-80-87281-43-7

Spis treści

MARIAN SIEDLACZEK

O Kalendarzu od redaktora

5

Kalendarium

6

STANISŁAW GAWLIK

100 lat od wybuchu w kopalni Gabriela w Karwinie

30

Świadectwo z Żywocic

37

MICHAEL MORYS-TWAROWSKI

Drobiazgi ze starych ksiąg metrykalnych

42

GRZEGORZ GAŚSIOR

Rekin spod Bramy Prochowej i najpiękniejszy teren przyszłości

46

JANA RACLAVSKÁ

Paweł Stalmach – dziennikarz, działacz narodowy, pisarz

60

IRENA PRENGEL ADAMCZYK

Historia Stolika Cieszyńskiego

68

EWA RYŁKO

Historia alfabetu łacińskiego

76

CZESŁAW KRAINA

Trzy szosy i trzy przeprawy

84

STANISŁAW KOŁEK

Sibica – mój drugi dom rodzinny

102

LIDIA KOSIEC

Błędownice – raj nieutracony?

112

OTYLIA TOBOŁA

Wójt małego Kuwejtju

122

MARIAN SIEDLACZEK

O Kalendarzu od redaktora

CZESŁAWA RUDNIK	
Od pastwienia się do zachwytów	142
MAGDALENA ĆMIEL	
Mariusz Drong: „Fizyka wciągnęła mnie całkowicie”	148
JOANNA PILCH	
Każdy jest mile w Houghton widziany! (wywiad z Józefem Zającem)	154
JANUSZ KLIMSZA	
Górski Badachszan	162
MICHAŁ WALACH I WOJCIECH RACZKOWSKI	
Toskania	188
RAFAŁ GEREMEK	
Stereotypy. Dlaczego tak bardzo ich potrzebujemy?	200
JAN ŠKVRŇÁK	
Wizerunek Polski w czeskich mediach	205
IRENA BOGOCZ	
Gwara i internet – dobrana para?	210
MARIAN SIEDLACZEK	
Pokażmy, dlaczego warto być Polakiem (wywiad z prof. Danielem Kadłubcem)	216
PAWEŁ HUT	
Confiteor. Transelsia laudatio	226

To już piąta edycja Kalendarza Śląskiego, jaką mam zaszczyt i przyjemność Państwu przedstawić. Nie wiemy jeszcze, co przyniesie nam Anno Domini 2024, ale wiele wskazuje na to, że możemy spodziewać się zdarzeń epokowych, co nie oznacza wcale, że będą one powodem do radości. Nie wiemy, czy – i jak – zakończy się wojna na Ukrainie, nie wiemy jaki obrót przybierze konflikt w Strefie Gazy, nie wiemy wreszcie, jak potoczą się losy suwerennych dotąd narodów Europy po zapowiadany przekazaniu dużej części tej suwerenności brukselskim planistom.

Jak już uważny Czytelnik zapewne zauważył, staram się w Kalendarzach przez siebie redagowanych poruszać zagadnienia, z jakimi trudno się spotkać w prasie zaolziańskiej. W ubiegłorocznym wydaniu tematem takim było szeroko rozumiane poczucie tożsamości narodowej wśród naszych gimnazjalistów. Tym razem wracamy do tego wątku – poszerzając go o dodatkowe refleksje na tematy pokrewne – w postaci rozmowy z nestorem naszej myśli patriotycznej, prof. Danielem Kadłubcem. Polecam gorąco ten tekst tym zwłaszcza, którym ciągle leży na sercu nasze przetrwanie na tym skrawku ziemi. Przetrwanie nie w sensie czysto fizycznym, lecz narodowym i kulturowym.

Oczywiście to nie jedyny z zamieszczonych w tym tomie ciekawych i godnych polecenia artykułów. Wypada się cieszyć, że mamy jeszcze w naszym gronie tylu autorów, którzy mają do powiedzenia tyle ciekawych spraw. Byłbym niezmiernie rad, gdyby w najbliższej przyszłości to znakomite grono powiększyło się o kolejne nazwiska – ludzi młodych i bardzo młodych, których obecnie na naszej scenie publicystycznej jest niestety niewielu, a wielka to szkoda. Niech zatem Babcie i Dziadkowie – tradycyjni czytelnicy Kalendarza Śląskiego – podsuną swoim wnukom ten egzemplarz do lektury. Może obudzi to w nich chęć aktywnego włączenia się w zaolziański obieg wymiany myśli, idei i poglądów.

Wszystkiego dobrego w 2024 roku!

STYCZEŃ

Po	1	Mieczysława, Mieczysławy, Mieszka	Nowy Rok
Wt	2	Izydora, Abła, Makarego	
Śr	3	Genowefy, Zdzisławy, Daniela	
Cz	4	Eugeniusza, Anieli, Rygoberta	
Pi	5	Edwardy, Emiliany, Szymona	
So	6	Kacpra, Baltazara, Melchiora	Trzech Króli (Objawienie Pańskie)
Ni	7	Juliana, Lucjana, Kryspina	
Po	8	Erharda, Wawrzyńca, Seweryna	
Wt	9	Antoniego, Piotra, Adriana	
Śr	10	Agatona, Jana, Wilhelma	
Cz	11	Honoraty, Krzesimira, Mechtyldy	
Pi	12	Bernarda, Grety, Arkadiusza	
So	13	Bożumiły, Weroniki, Leoncjusza	
Ni	14	Niny, Feliksa, Hilarego	
Po	15	Arnolda, Pawła	
Wt	16	Marcelego, Włodzimierza	
Śr	17	Rozalindy, Antoniego	
Cz	18	Beatrycze, Małgorzaty	
Pi	19	Mariusza, Henryka	
So	20	Sebastiana, Fabiana, Fabiany	
Ni	21	Agnieszki, Inez, Epifaniusza	Dzień Babci
Po	22	Anastazego, Wincentego	Dzień Dziadka
Wt	23	Rajmunda, Rajmundy, Ildefonsa	
Śr	24	Felicjana, Tymoteusza, Rafała	
Cz	25	Miłosza, Pawła, Tatiany	
Pi	26	Pauli, Tutusa	
So	27	Witaliana, Jerzego	
Ni	28	Tomasza, Karola	
Po	29	Anieli, Bolesławy, Franciszka, Zdzisława	
Wt	30	Martyny, Macieja, Marcina	
Śr	31	Ludwiki, Marceli, Jana	



Cz	1	Sewera, Brygidy	
Pi	2	Marii, Młostawy, Kornela	Ofiarowanie Pańskie (Matki Boskiej Gromnicznej)
So	3	Oskara, Błażeja, Telimeny	
Ni	4	Weroniki, Józefa	
Po	5	Adelajdy, Agaty	
Wt	6	Amandy, Doroty	
Śr	7	Romualda, Ryszarda, Teodora	
Cz	8	Józefiny, Hieronima	
Pi	9	Apolonii, Poli, Jakuba	
So	10	Jacka, Elwiry, Jacentego	
Ni	11	Marii, Łazarza, Bernadety	
Po	12	Ludwika, Benedykta, Normy	
Wt	13	Jordany, Jordana	Ostatki
Śr	14	Cyryla, Walentego, Metodego	Dzień Zakochanych (Walentynki), Popielec
Cz	15	Zygryda, Faustyna, Jowity	
Pi	16	Daniela, Danuty, Samuela	
So	17	Aleksego, Łukasza, Zbigniewa	
Ni	18	Sylwana, Konstancji	
Po	19	Konrady, Marcelego	
Wt	20	Zenobiusza, Leona	
Śr	21	Roberta, Leny, Feliksa	
Cz	22	Małgorzaty, Marty	
Pi	23	Izabeli, Polikarpa, Romany	
So	24	Piotra, Macieja, Bogusza	
Ni	25	Justa, Cezarego	
Po	26	Mirosława, Aleksandra	
Wt	27	Gabriela, Auksencji	
Śr	28	Makarego, Romana, Hilarego	
Cz	29	Oswalda, Romana, Antonii	



Pi	1	Albina, Dawida, Antonii	Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych
So	2	Heleny, Halszki	
Ni	3	Tycjana, Kunegundy, Teresy	
Po	4	Kazimierza, Lucjusza, Adrianny	
Wt	5	Adriana, Oliwii	
Śr	6	Wiktora, Róży	
Cz	7	Teresy, Felicyty, Tomasza	
Pi	8	Jana, Stefana, Beaty	Dzień Kobiet
So	9	Dominika, Katarzyny, Franciszki	
Ni	10	Makarego, Cypriana	
Po	11	Konstantego, Benedykta	
Wt	12	Bernarda, Grzegorza, Innocentego	
Śr	13	Bożeny, Patrycji, Krystyny	
Cz	14	Jakuba, Matyldy	
Pi	15	Ludwika, Longiny, Klemensa	
So	16	Gabriela, Izabeli, Hilarego	
Ni	17	Patryka, Gertrudy, Zbigniewa	
Po	18	Edwarda, Krystiana, Cyryla	
Wt	19	Józefa, Bogdana	
Śr	20	Aleksandry, Klaudii, Anatola	Początek astronomicznej wiosny
Cz	21	Benedykty, Marzanny, Ludomiry	
Pi	22	Lei, Bugusława, Katarzyny	
So	23	Oktawiana, Pelagii, Turybiusza	
Ni	24	Bertrady, Szymona	Niedziela Palmowa
Po	25	Ireneusza, Marii, Marioli	
Wt	26	Larysy, Teodora	
Śr	27	Lidii, Ernesta, Ruperta	
Cz	28	Anieli, Jana	Wielki Czwartek
Pi	29	Stefana, Eustachego	Wielki Piątek
So	30	Amadeusza, Mamertyna	Wielka Sobota
Ni	31	Kornelii, Balbiny, Beniamina	Wielkanoc, Zmiana czasu z zimowego na letni



KWIECIEŃ

Po	1	Grażyny, Zbigniewa, Hugona	Poniedziałek Wielkanocny, Prima Aprilis
Wt	2	Urbana, Franciszka, Wiktora	
Śr	3	Sykstusa, Ryszarda	
Cz	4	Wacława, Benedykta, Izydora	
Pi	5	Wincentego, Ireny, Jeremiasza	
So	6	Celestyny, Izoldy, Wilhelma	
Ni	7	Hermana, Donata	Święto Bożego Miłosierdzia
Po	8	Radostawa, Dionizego, Julii	
Wt	9	Achacego, Hugo	
Śr	10	Magdaleny, Michała, Makarego	
Cz	11	Filipa, Gemmy, Leony	
Pi	12	Damiana, Julisza, Saby	
So	13	Hermenegildy, Marcina, Idy	
Ni	14	Bereniki, Justyny	
Po	15	Mara, Anastazji	
Wt	16	Benedykta, Bernadety, Julii	
Śr	17	Klary, Roberta	
Cz	18	Bogusławy, Ryszarda, Bogumiły	
Pi	19	Emmy, Jerzego	
So	20	Agnieszki, Czesława	
Ni	21	Anzelma, Konrady	
Po	22	Wanesy, Kai	Dzień Ziemi
Wt	23	Jerzego, Wojciecha	
Śr	24	Horacego, Grzegorza	
Cz	25	Marka, Jarosława	
Pi	26	Marzeny, Marcelina	
So	27	Teofila, Zyty	
Ni	28	Pawła, Walerii	
Po	29	Augustyna, Roberty, Piotra	
Wt	30	Jakuba, Marii, Katarzyny	



Śr	1	Jeremiego, Anieli	Międzynarodowe Święto Pracy
Cz	2	Anatola, Zygmunta, Witomira	Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej
Pi	3	Aleksandra, Marii	Święto Konstytucji 3 Maja
So	4	Floriana, Moniki, Michała	
Ni	5	Ireny, Waldemara, Gotarda	
Po	6	Jakuba, Filipa, Jana	
Wt	7	Róży, Gizeli	
Śr	8	Stanisława, Stanisławy	
Cz	9	Grzegorza, Bożydara	
Pi	10	Antoniny, Beatrycze	
So	11	Mirandy, Franciszka, Ignacego	
Ni	12	Pankracego, Dominika	Wniebowstąpienie
Po	13	Roberty, Serwacego, Marii	
Wt	14	Bonifacego, Macieja	
Śr	15	Izydora, Nadziei, Zofii	
Cz	16	Szymona	
Pi	17	Sławomira, Weroniki	
So	18	Eryka, Aleksandry, Feliksa	
Ni	19	Iwo, Urbana, Iwony	Zesłanie Ducha Świętego (Zielone Świątki)
Po	20	Kolumby, Bernardyna	
Wt	21	Tymoteusza, Wiktora	
Śr	22	Emila, Ryty, Julii	
Cz	23	Jana, Michała, Iwony	
Pi	24	Zuzanny, Joanny	
So	25	Magdy, Grzegorza	
Ni	26	Angeliki, Pauliny, Eweliny, Filipa	Dzień Matki
Po	27	Jana, Oliwiera	
Wt	28	Augustyna, Jaromira, Justa	
Śr	29	Marii, Magdaleny, Urszuli	
Cz	30	Ferdynanda	Boże Ciało
Pi	31	Kamili, Petroneli, Anieli	



So	1	Jakuba, Pamełi, Konrada	Dzień Dziecka
Ni	2	Marzanny, Eugeniusza, Marianny	
Po	3	Kewina, Leszka	
Wt	4	Karola, Franciszka	
Śr	5	Bonifacego, Waltera, Walerii	
Cz	6	Norberta, Pauliny	
Pi	7	Wiesławy, Roberta	
So	8	Medarda, Seweryna	
Ni	9	Felicjana, Pelagii	
Po	10	Bogumiła, Małgorzaty	
Wt	11	Pauli, Barnaby, Anastazego	
Śr	12	Onufrego, Jana, Mieczysławy	
Cz	13	Lucjana, Antoniego	
Pi	14	Walerego, Metodego, Elizy	
So	15	Wita, Jolanty	
Ni	16	Anety, Justyny, Benona, Aliny	
Po	17	Laury, Adolfa	
Wt	18	Elzbiety, Marka, Amandy	
Śr	19	Romualda, Protazego, Gerwazego	
Cz	20	Florentyny, Bożeny, Bogny	Pierwszy dzień lata – najdłuższy dzień roku
Pi	21	Alojzego, Alicji	
So	22	Paulina, Tomasza, Pauliny	
Ni	23	Zenona, Wandy	Dzień Ojca
Po	24	Janiny, Danuty, Jana	
Wt	25	Prospera, Łucjii	
Śr	26	Pawła, Jana	
Cz	27	Marii, Władysława	
Pi	28	Ireneusza, Leona	
So	29	Pawła, Beaty, Piotra	
Ni	30	Lucyny, Emilii, Władysławy	



LIPIEC

Po	1	Otona, Haliny, Mariana
Wt	2	Marii, Urbana, Jagody
Śr	3	Jacka, Anatola, Tomasz
Cz	4	Malwiny, Teodora
Pi	5	Atanazego, Karoliny
So	6	Dominiki, Łucji, Dominika
Ni	7	Benedykta, Odo
Po	8	Prokopa, Elżbiety, Adriana
Wt	9	Weroniki, Zenona, Sylwii
Śr	10	Filiipa, Almy, Amelii
Cz	11	Ołgi, Piusa
Pi	12	Bruno, Paulina
So	13	Sary, Małgorzaty
Ni	14	Kamila, Angeliny, Stelli, Marcela
Po	15	Roksany, Henryka, Dawida
Wt	16	Mariki, Marii
Śr	17	Anety, Jadwigi, Bogdana
Cz	18	Szymona, Kamila, Emiliana
Pi	19	Radomiły, Makryny
So	20	Czesława, Małgorzaty, Hieronima
Ni	21	Daniela, Wiktora
Po	22	Magdaleny, Mileny, Leny
Wt	23	Brygidy, Apolinarii, Bogny
Śr	24	Krystyny, Krzesimira, Kingi
Cz	25	Jakuba, Krzysztofa
Pi	26	Grażyny, Anny, Hanny, Mirosławy
So	27	Natalii, Julii
Ni	28	Wiktora, Tiny
Po	29	Marty, Olafa
Wt	30	Julity, Piotra
Śr	31	Ignacego, Heleny



SIERPIEŃ

Cz	1	Alfonsa, Justyna	Narodowy Dzień Pamięci Powstania Warszawskiego
Pi	2	Gustawa, Piotra, Kuriny	
So	3	Kamelii, Nikodema, Lidii	
Ni	4	Prokopa, Dominika	
Po	5	Oswalda, Kasjana	
Wt	6	Jakuba, Sławy, Oktawiana	
Śr	7	Klaudii, Konrada, Doroty, Kajetana	
Cz	8	Emiliana, Mirona	
Pi	9	Romana, Ireny	
So	10	Wawrzyńca, Borysa	
Ni	11	Zuzanny, Włodzimierza	
Po	12	Lecha, Klary	
Wt	13	Kasjana, Diany, Hipolita	
Śr	14	Euzebiusza, Maksymiliana	
Cz	15	Marii, Miriam, Stefana	Święto Wojska Polskiego, Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny
Pi	16	Diomedesa, Rocha	
So	17	Anity, Jacka	
Ni	18	Ilony, Heleny	
Po	19	Julisza, Ezechiela, Bolesława	
Wt	20	Bernarda, Samuela	
Śr	21	Franciszka, Wiktorii, Joanny	
Cz	22	Cezarego, Marii	
Pi	23	Róży, Apolinarego	
So	24	Barłomieja, Jerzego, Bartosza	
Ni	25	Ludwika, Patrycji, Luizy	
Po	26	Sandry, Aleksandra, Marii	
Wt	27	Maniki, Cezarego, Józefa	
Śr	28	Patrycji, Aleksego, Augustyna	
Cz	29	Sabiny, Beatrycze	
Pi	30	Feliksa, Tekli	
So	31	Bohdana, Rajmunda	



WRZESIEŃ

Ni	1	Bronisława, Idziego	
Po	2	Stefana, Wilhelma, Juliana	
Wt	3	Izabeli, Gerarda, Szymona	
Śr	4	Rozalii, Stelli	
Cz	5	Doroty, Wawrzyńca	
Pi	6	Beaty, Eugeniusza	
So	7	Reginy, Melchiora	
Ni	8	Marii, Adrianny, Radosława	
Po	9	Piotra, Sergiusza	
Wt	10	Mikołaja, Sebastiana, Łukasza	
Śr	11	Jacka, Prota, Dągny	
Cz	12	Gwidona, Marii, Mai	
Pi	13	Filipa, Jana Chryzostoma	
So	14	Bernarda, Roksany	
Ni	15	Albina, Rolanda, Nikodema	
Po	16	Kornela, Kamili, Edyty	
Wt	17	Roberta, Justyny	
Śr	18	Stanisława, Ireny	
Cz	19	Konstancji, Januarego, Teodora	
Pi	20	Filipy, Franciszka	
So	21	Miry, Mateusza	
Ni	22	Maurycego, Joachima, Tomasza	Początek astronomicznej jesieni
Po	23	Tekli, Bugusława	
Wt	24	Gerarda, Gerardy	
Śr	25	Aurelii, Kleofasa	
Cz	26	Justyny, Cypriana, Damiana	
Pi	27	Wincentego, Gai	
So	28	Wacława, Marka	
Ni	29	Michała, Michaliny	
Po	30	Grzegorza, Zofii	Dzień Chłopaka



Wt	1	Danuty, Remigiusza	
Śr	2	Teofila, Antoniego	
Cz	3	Gerarda, Gerardy, Teresy	
Pi	4	Petroneliusza, Franciszka	
So	5	Apolinarego, Faustyny, Igora	
Ni	6	Artura, Fryderyki, Brunona	
Po	7	Justyny, Marka, Amelii	
Wt	8	Laurencji, Brygidy, Pelagii	
Śr	9	Dionizego, Arnolda	
Cz	10	Franciszka, Pauliny, Daniela	
Pi	11	Brunona, Aldony	
So	12	Witolda, Maksymiliana	
Ni	13	Teofila, Edwarda	
Po	14	Dominika, Alana, Fortunaty	Dzień Nauczyciela (Dzień Edukacji Narodowej)
Wt	15	Teresy, Jadwigi	
Śr	16	Ambrożego, Gawła	
Cz	17	Lucyny, Małgorzaty, Milawii	
Pi	18	Łukasza, Juliana	
So	19	Piotra, Ziemowita	
Ni	20	Felicjana, Ireny	
Po	21	Urszuli, Celiny	
Wt	22	Filipa, Kordiana	
Śr	23	Seweryna, Marleny	
Cz	24	Marcina, Arey, Alojzego	
Pi	25	Darii, Kryspina, Ingi	
So	26	Dymitra, Łucjana	
Ni	27	Iwony, Manfreda, Sabiny	Zmiana czasu z letniego na zimowy
Po	28	Szymona, Tadeusza	
Wt	29	Narcyza, Teodora, Wioletty	
Śr	30	Przemysława, Edmunda	
Cz	31	Antonina, Augusty	



LISTOPAD

Pi	1	Seweryna	Wszystkich Świętych
So	2	Bohdana, Jerzego	Dzień Zaduszny
Ni	3	Sylwii, Huberta	
Po	4	Karola, Olgirda	
Wt	5	Sławomira, Elżbiety	
Śr	6	Melaniusza, Leonarda	
Cz	7	Antoniego, Florentego	
Pi	8	Klaudiusza, Godfryda	
So	9	Teodora, Ursyna	
Ni	10	Leona, Leny	
Po	11	Marcina, Anastazji	Narodowe Święto Niepodległości
Wt	12	Renaty, Witolda	
Śr	13	Liwii, Stanisława, Stanisławy	
Cz	14	Agaty, Wawrzyńca	
Pi	15	Leopolda, Alberta	
So	16	Edmunda, Marka	
Ni	17	Salomei, Grzegorza, Hugo	
Po	18	Romana, Tomasza	
Wt	19	Seweryna, Elżbiety	
Śr	20	Feliksa, Rafała	
Cz	21	Konrada, Janusza, Rufusa	
Pi	22	Cecylii, Marka	
So	23	Klemensa, Felicjty, Adeli	
Ni	24	Flory, Walentego, Jana	
Po	25	Erazma, Katarzyny	
Wt	26	Konrada, Leonarda	
Śr	27	Wirgiliusza, Waleriana	
Cz	28	Jakuba, Zdzisława	
Pi	29	Saturnina, Błażeja	Andrzejki (w nocy z 29 na 30)
So	30	Andrzeja, Fryderyka	



GRUDZIEŃ

Ni	1	Eligiusza, Blanki, Natalii	
Po	2	Rafała, Pauliny, Balbiny	
Wt	3	Franciszka, Ksawerego	
Śr	4	Barbary, Krystiana	Barbórka (Dzień Górnika, Naftowca i Gazownika)
Cz	5	Kryspiny, Saby	
Pi	6	Mikołaja, Angeliki	Dzień św. Mikołaja
So	7	Ambrożego, Marcina	
Ni	8	Marii, Romaryka	
Po	9	Wiesława, Wiesławy, Leokadii	
Wt	10	Menasza, Julii	
Śr	11	Waldemara, Daniela, Artura	
Cz	12	Aleksandra, Dagmary, Adelajdy	
Pi	13	Łucji, Otylii	
So	14	Izydora, Noemi	
Ni	15	Celiny, Waleriana	
Po	16	Euzebiusza, Aliny, Zdzisławy	
Wt	17	Łazarza, Olimpii	
Śr	18	Grajana, Bugusława	
Cz	19	Urbana, Dariusza	
Pi	20	Makarego, Dominika	
So	21	Piotra, Tomasza	Początek astronomicznej zimy – najkrótszy dzień roku
Ni	22	Zenona, Judyty, Honoraty	
Po	23	Sławomiry, Wiktorii	
Wt	24	Adama, Ewy	Wigilia Bożego Narodzenia
Śr	25	Mateusza, Eugenii	Boże Narodzenie (pierwszy dzień)
Cz	26	Szczepana, Dionizego	Boże Narodzenie (drugi dzień)
Pi	27	Jana, Żanety, Fabioli	
So	28	Teofili, Antoniego	
Ni	29	Dominika, Dawida, Tomasza	
Po	30	Anizji, Eugeniusza	
Wt	31	Sylwestra, Sylwestry, Melanii	Sylwester



STANISŁAW GAWLIK

100 lat od wybuchu w kopalni Gabriela w Karwinie

Kopalnia Gabriela jest jedną z najwcześniej uruchomionych kopalni w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim. Już w 1852 roku jej założyciele – mistrz górniczy Franciszek Handwerk i hrabia Žerotin – natrafili na głębokości 100 metrów na warstwę pokładu węgla o grubości 79 cm. Wtedy gazy wydobywające się z wywiertu zapaliły się i spłonęła wieża wiertnicza, a płomień wydobywał się z czeluści jeszcze przez kilka tygodni. W tym samym roku wywiercono pierwszy szyb, tzw. „szyb wodny”, który nazwano „Gabriela” od imienia żony hrabiego Žerotina. Budynki kopalniane były drewniane, a urobek wydobywano kołowrotem parowym na linie z konopi. W 1856 roku doszło w kopalni Gabriela do wybuchu gazów, który spowodował śmierć 17 górników. Po tym wypadku urzędowo zabroniono palenia na dole kopalni oraz używania jako oświetlenia ognia z łuczyw. Z kolei w 1859 roku spaliły się budynki na powierzchni oraz szyb do głębokości 8 metrów, przy czym zginęło 4 górników. Te katastrofy spowodowały, że właściciele nie mieli środków na dalsze naprawy, co skutkowało zamknięciem kopalni. W 1862 roku kopalnię sprzedano arcyksięciu Albrechtowi, który uruchomił wydobywanie w 1864 roku, a rok później wydobyto już około 11 tysięcy ton węgla.

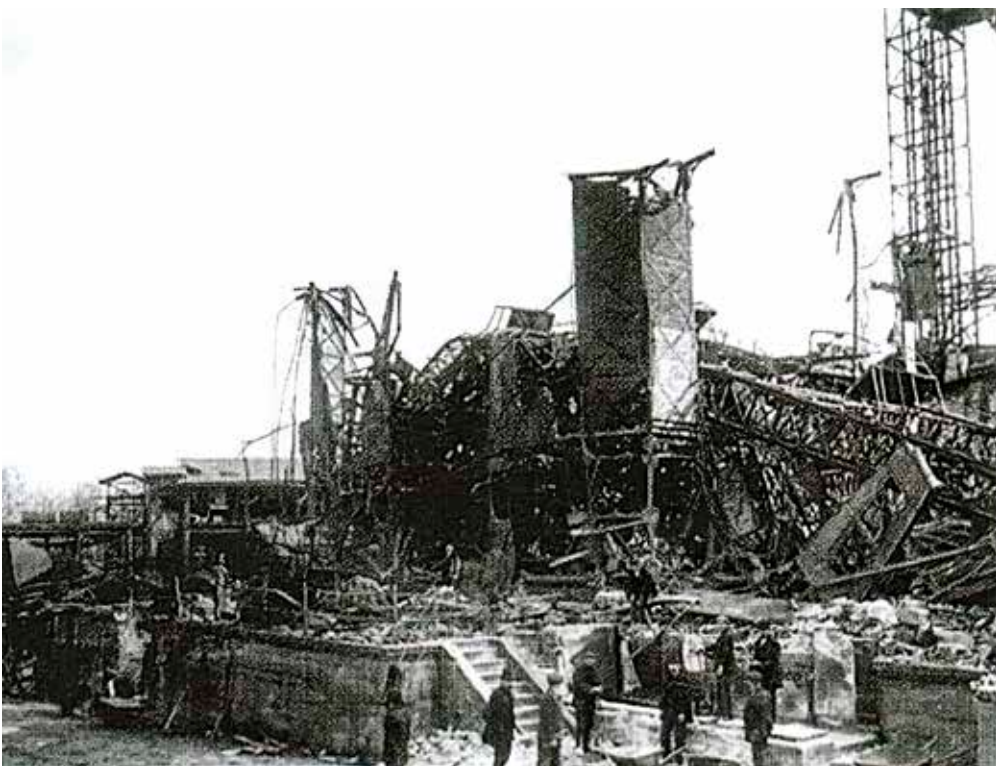
W latach 1871-72 doszło do modernizacji kopalni i chociaż do przemieszczania urobku w kopalni wykorzystywano jeszcze konie, to doprowadzono do niej tory Kolei Koszycko-Bogumińskiej, wybudowano sortownię węgla oraz dużą pompę do odprowadzania wody. Przy kolejnym wybuchu w 1872 roku nikt nie zginął, ale przyczynił się on do rozpoczęcia używania urządzeń z powietrzem pod ciśnieniem. W 1876 roku wydobyto 100 000 ton urobku, a w kolejnych latach stan załogi osiągnął 1000 osób. Instalację elektryczną wprowadzono w 1885 roku, a równocześnie wybudowano dwie maszyny, które na owe czasy były monumentalne: pompę wodną z kołem zamachowym o średnicy 12 metrów oraz odpowietrzacz z kołem skrzydłowym o tej samej średnicy. W 1902 roku znów wybuchły gazy



Zdjęcie kopalni z lat 1923-24, eksploratorzy.com.pl

w szybie odpowietrzającym, co spowodowało śmierć 6 górników. W międzyczasie kopalnię odziedziczył arcyksiążę Fryderyk, który w 1906 roku sprzedał wszystkie zakłady górnicze Spółce Górniczo-Hutniczej (Berg- und Hüttenwerksgesellschaft) w Wiedniu. Ta wprowadziła dalsze unowocześnienie kopalni. Wydrążono nowy szyb, wszystkie maszyny zostały zelektryfikowane, lokomotywy w podziemiu pracowały na sprężonym powietrzu, wybudowano łaźnię dla górników. Od 1910 roku wydobywanie wynosiło 300 000 ton, a liczebność załogi przewyższała 1700 pracowników; w 1917 roku wydobywanie wynosiło 717 400 ton przy tej samej liczbie pracowników. Po przejęciu przez Czechosłowację Zaalzja właścicielem została Górniczo-Hutnicza Spółka w Brnie.

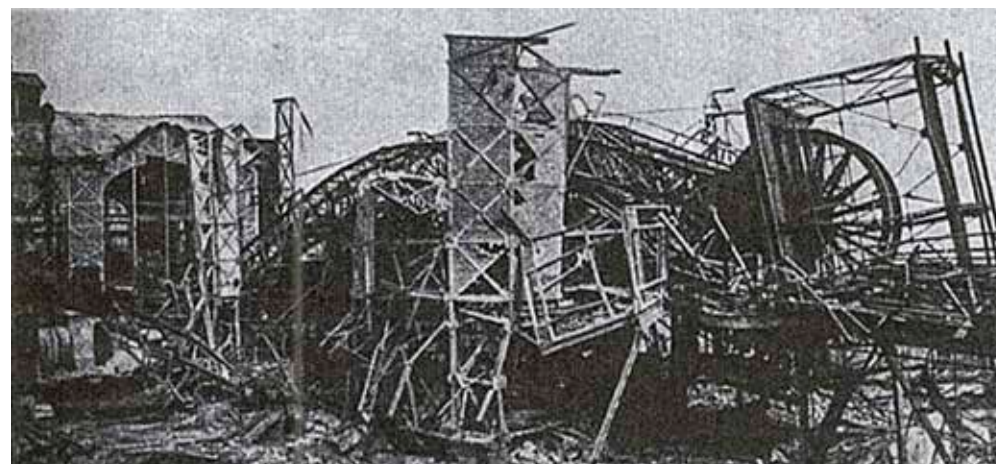
W kwietniu 1924 roku w przeddzień świąt wielkanocnych doszło do największej katastrofy w kopalni Gabriela. Była ona największa nie tylko z powodu śmierci 17 pracowników, ale także z powodu szkód materialnych, których wartość przekroczyła 40 milionów koron w samej tylko kopalni. Oprócz tego nastąpiły uszkodzenia domów mieszkalnych, a wiele osób zostało rannych – nie tylko pracownicy, ale także osoby postronne, spoza kopalni. Ówczesna prasa polska: „Nasz Ślązak”, „Nasz Lud” czy „Robotnik Śląski” bardzo emocjonalnie opisywała tę tragedię. Zachowały się raporty opracowane przez specjalną komisję (w języku niemieckim i czeskim),



Zdjęcia ruin kopalni. Prof. Roman Makarius „Memento důlních nehod v českém hornictví”, zpracoval Petr Fastej

które skrupulatnie i rzetelnie relacjonują przebieg wydarzeń oraz działania przeprowadzone przez kierownictwo kopalni.

W momencie wybuchu w kopalni Gabriela wydobywano węgiel na przestrzeni 200 ha i funkcjonowało 5 szymbów: centralny wydobywczy nr 1 (1400 m głębokości), wydobywczy nr 2 (340 m głębokości), wodny zwany maszynowym (400 m głębokości) oraz dwa szymby wentylacyjne o głębokości 340 m. W piątek 11 kwietnia 1924 roku w godzinach porannych zauważono zadymienie na 29 pokładzie. Odwołano natychmiast wszystkich 50 górników, a poinformowany o tym Urząd Górniczy w Ostrawie zdecydował o zamknięciu całego wykopu trzema tamami o grubości 1 metra z postanowieniem ich pogrubienia w następnym dniu. W sobotę 12 kwietnia w odizolowanym wykopie doszło do wybuchu, który zniszczył wybudowane grodzie. W kopalni przebywało wtedy 537 górników oraz komisja urzędowa, która miała skontrolować przebieg wykonanych robót. Przy tym wybuchu zginęło 15 górników, a 6 zostało rannych. Reszta górników została skierowana do szymbu i udało im się wyjechać na powierzchnię bez uszczerbku na zdrowiu. Dwóch zmarłych górników oraz 6 rannych także wywieziono na powierzchnię. Jeszcze rankiem w niedzielę 13 kwietnia z powodu nadmiernego poziomu gazów oraz czar-



nego i gęstego dymu zamknięto i uszczelniono wszystkie otwory prowadzące do kopalni. Postanowiono przewietrzyć kopalnię naturalnym sposobem, ale nim do tego doszło, o godz. 14.10 nastąpił najsilniejszy wybuch. Ogień i dym wystrzeliły do wysokości 350 metrów. Eksplozja zniszczyła więź szymbową oraz budynki przylegające do szymbu nr 2. Jedna komora wyciągowa odrzucona została na odległość 100 metrów, a koło z wieży znaleziono niedaleko nowego kościoła św. Henryka (około 900 m dalej). Zniszczona została kotłownia, maszynownia, sortownia oraz wieża chłodnicza. Budynek mierniczych zaczął się palić, ranni zostali dwaj inżynierowie oraz młoda urzędniczka. Przez spadające ruiny rannych zostało kolejnych ośmiu pracowników na powierzchni. Domy znajdujące się obok kopalni zostały zniszczone i mieszkańcy musieli się z nich wyprowadzić. W przeciągu czterech dni uszczelniono wszystkie otwory do kopalni i zatrzymano wszystkie wentylatory. Pomimo tego, w trakcie tych prac doszło jeszcze do około 10-12 małych wybuchów, a po godzinie po uszczelnieniu kopalni do bardzo silnego wybuchu – tym razem uszczelnienie wytrzymało. Potem następowały jeszcze dalsze wybuchy, których zliczono razem 24. Kopalnia pozostała nieczynna prawie przez rok, ale od początku czerwca 1925 roku nastąpiły prace umożliwiające rozruch wydobywania węgla.

Ofiary tej tragedii, które wydobyto na powierzchnię zaraz po wybuchu, to Franciszek Swaczyna, sztygar, z Karwiny (został pochowany po świętach wielkanocnych w 1924 roku na cmentarzu w Karwinie) oraz Franciszek Krzempek, murarz, z Kończyc Małych (został pochowany w rodzinnej wsi). Trzydzieści ofiar wydobyto dopiero po trzynastu miesiącach, 13 maja 1925 roku, a byli to: Karol Dziadek, murarz, z Hażłacha; Adolf Badura, górnik, z Karwiny; Paweł Brachaczek, górnik; Henryk Tyrlik, członek rady kopalnianej, z Karwiny; Zygmunt Śmiga, członek rady kopalnianej, ze Stonawy; Jan Widnic, wozak, z Łąk; Józef Piprek, górnik, z Dąbrowy; Aloizy Szuster, murarz, z Kaczyc; Józef Szklorz, murarz, z Kocobędza; Karol Stawarski, wo-



Zdjęcie pomnika z cmentarza w Karwinie 2 Meksyku,
foto Stanisław Kołek

*OBĚTEM NEŠTĚSTÍ DNE 12. DUBNA 1924 NA DOLE GABRIELA JAKO DŮKAZ
PAMĚTI VĚNUJE BAŇSKÁ A HUTNÍ SPOLEČNOST*

*OFIAROM KATASTROFY DNIA 12 KWIETNIA 1924 NA SZYBIE GABRYELI
W DOWÓD PAMIĘCI POŚWIĘCA TOWARZYSTWO GÓRNICZO-HUTNICZE*

Karol Dziadek * 7.6.1893, murarz dołowy, żonaty, 1 dziecko

Adolf Badura * 30.11.1892, górnik, żonaty, 3 dzieci

Henryk Tyrlik * 13.9.1889, górnik, żonaty, 2 dzieci

W czasie prac przy usuwaniu szkód górniczych po wybuchu zginął 20 czerwca 1924 r. Jan Ziemniok, a 18 lipca 1924 r. uległ nieszczęśliwemu wypadkowi Feliks Halama. Tych również pochowano we wspólnym grobie na cmentarzu w Karwinie 2 Kopalnie. Na grobie ustawiono skromny krzyż z tablicą z nazwiskami ofiar. Pomnik upamiętniający ofiary katastrofy górniczej został po II wojnie światowej przebudowany. W wyniku tego zabiegu dodano nieestetyczne nagrobki z tablicami 12 górników. Oprócz tego zainstalowano dwujęzyczną tablicę. Całość została sfinansowana ze środków przedsiębiorstwa państwowego OKD (Kopalnie Ostrawsko-Karwińskie / Ostravsko-karvinské doly). Na tablicach widnieją imiona i nazwiska oraz daty urodzenia i śmierci następujących osób: Felix Halama, Jan Ziemniok, Paweł Brachaczek, Józef Mach, Antoni Popek, Józef Piprek, Jan Widnic, Józef Szklorz, Jan Godula, Karol Stawarski, Alojzy Szuster, Zygmunt Śmiga.

Ranni górnicy wywiezieni na powierzchnię to: Paweł Pustówka, nadsztygar; Aloizy Burysz, wozak; Bernard Kiszka, murarz; Bernard Chodura, murarz; Alojzy Motloch, wozak; Jan Zielonka, murarz. Na powierzchni ranni zostali: mierniczy Pavel Pustavka, urzędnik Kajetan Skrla oraz urzędniczka Hilda Hanke, a także nadsztygar Filipczyk.

zak, z Łąk; Antoni Popek, wozak, z Łąk; Józef Mach, murarz, z Pastwisk; Jan Godula, wozak, z Frysztatu. Ich uroczysty pogrzeb odbył się 21 maja 1925 roku, przy czym ewangelików: Karola Dziadka, Adolfa Badurę oraz Henryka Tyrlika pochowano na cmentarzu ewangelickim w Karwinie 2 Meksyku.



Zdjęcie z cmentarza w Karwinie 2 Kopalnie, eksploratorzy.com.pl

Odszkodowania

Kopalnia Gabriela była ubezpieczona w firmie ubezpieczeniowej Securitas – Versicherungs-Aktiengesellschaft w Pradze i dlatego mogła wystąpić o pokrycie szkód wyrządzonych przez wybuch jak na majątku ruchomym, tak na nieruchomościach oraz wypadkach śmiertelnych czy urazach zdrowotnych. Istnieje spis poszczególnych strat dotyczący tylko kopalni Gabriela, który zawiera 15 pozycji na sumę 3 981 000 koron. Oprócz tego zachował się w dokumentacji rejestr 12 budynków będących własnością kopalni Gabriela, które zostały zniszczone tak, że lokatorzy musieli je opuścić, a były to: nr 667, 317, 636, 839, 840, 451, 452, 210, 57, 130, 231 oraz 901.

Wdowom i rodzinom kawalerów ubezpieczalnia wypłaciła jednorazową sumę odszkodowania w wysokości 20 tys. koron, a sierotom do wieku 14 lat przyznano rentę w wysokości 100 koron do czasu osiągnięcia wieku lat 15.

Oprócz tego rada zakładowa kopalni Gabriela otrzymała dary dla poszkodowanych rodzin od Ministerstwa Robót Publicznych oraz Ministerstwa Opieki Społecznej na sumę 50 000 koron. Komisariat Policji w Karwinie przekazał kwotę 1 500 koron, Posłowie Parlamentu CSR 21 965 koron, Inspektor Biedrman z szybu Jan-Karol 1 700 koron, robotnicy z szybu Hohenegger 755 koron, robotnicy z szybu Gabriela 864 koron, Związek Pielęgnacji Kaktusów w Pradze 70 koron, „Samopo-

„moc” w Pradze ofiarowała 10 000 koron. Dary pieniężne rozdzielono w następujący sposób: wdowy oraz rodziny kawalerów otrzymały po 3 664 koron, a sieroty do lat 14 po 1 098 koron.

Kopalnia przyznała wdowom oraz rodzinom kawalerów drewno i węgiel deputowy na cały rok oraz mieszkanie. Kierownictwo kopalni odrzuciło pozew dotyczący wypłacenia zaległych urlopów ofiar ich rodzinom.

Rannym w katastrofie pracownikom kopalni ubezpieczalnia zapewniła cyt.: „W razie pokaleczenia z następstwem częściowej niezdolności do pracy, więc zmniejszenie się zdolności do pracy, wypłaci się kwota ubezpieczenia w częściowym wymiarze według stopnia zmniejszenia się zdolności do pracy t.j. stopa procentowa pełnej kwoty ubezpieczenia, która odpowiada procentowemu zmniejszeniu się niezdolności do pracy według stopnia niezdolności”.

Ubezpieczalnia w Pradze przyznała kierownictwu kopalni zwiększone premie od wynagrodzenia w okresie od czerwca do października 1924 roku (z 550 koron na 4 550 koron).

Szkody na budynkach niebędących własnością kopalni, jak np. czeska szkoła czy urząd gminy Karwina oraz roszczenia rannych osób postronnych, niebędących pracownikami kopalni (zachowała się dokumentacja 49 osób) pomimo pozwów adwokackich nie zostały przez ubezpieczalnię uwzględnione.

Już w kwietniu 1924 roku przystąpiono do usuwania zniszczonych wież szybowych (żelazo cięto piłami ręcznymi), zburzonych instalacji budowlanych i porządkowania terenu kopalni. Natomiast w czerwcu tego samego roku opracowano plan usuwania zniszczeń w podziemiach kopalni. Z raportów wynika, że od czerwca 1924 roku do lutego 1925 roku odpracowano w aparatach gazowych 6 505 zmian i za jedną czterogodzinną zmianę wypłacono urzędnikom po 100 koron, a robotnikom po 50 koron, co w sumie wyniosło 159 700 koron.

Wydobycie węgla nastąpiło w części zachodniej już 1 marca, a 23 maja 1925 roku ogłoszono zakończenie prac sanacyjnych.

Opracowano na podstawie zbiorów Archiwum Powiatowego w Karwinie oraz Archiwum DIAMO Ostrava.

Świadek z Żywocic

W tym roku mija 80. rocznica tragicznego wydarzenia, które miało miejsce wczesnym rankiem 6 sierpnia 1944 roku w zaolziańskiej miejscowości Żywocice. Z zimną krwią, w większości przypadków strzałem w tył głowy, pozbawiono życia 36 mężczyzn. Wśród ofiar byli nie tylko mieszkańcy Żywocic, ale również okolicznych miejscowości, którzy przypadkiem znaleźli się na drodze morderców. Zabójstw dokonali gestapowcy z katowickiej centrali oraz cieszyńskiego oddziału gestapo, korzystając z pomocy niemieckiej żandarmerii. Zbrodnia żywocicka miała być akcją odwetową za zastrzelenie dwóch cieszyńskich gestapowców, ich kierowcy i żywocickiego karczmarza w czasie akcji partyzantów z grupy Kamińskiego. W bezpośrednim związku z akcją likwidacyjną aresztowano jeszcze 16 osób, dziewięć z nich zostało przewiezionych do niemieckich obozów koncentracyjnych, skąd po wojnie wróciła tylko jedna.

W ostatnim czasie wzrosło zainteresowanie tą nieludzką zbrodnią, która miała miejsce w czasie okupacji niemieckiej. Stąd Muzeum Těšínska postanowiło wznowić wydanie publikacji autorstwa Mečislava Boráka (1945–2017), dziennikarza, historyka, pedagoga, znanego na Zaolziu m.in. z badań i prac na temat zbrodni katyńskiej. Pierwsze wydanie pod tytułem „Svědectví ze Životíc” ukazało się w 1999 roku, drugie, poszerzone o dodatkowy materiał ikonograficzny, nowszą bibliografię oraz biogram autora, znalazło się w sprzedaży w 2022 roku. Polskie tłumaczenie tej publikacji pojawi się na rynku jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia 2023 roku.

Autor w pierwszych rozdziałach wprowadza czytelnika w zawiłą historię Śląska Cieszyńskiego, różny status jego mieszkańców w czasie okupacji niemieckiej oraz formy i zakres prześladowań tutejszej ludności w czasie wojny. Na podstawie wnikliwych badań, zachowanych źródeł oraz autentycznych zeznań świadków wydarzeń, które miały miejsce w godzinach rannych 6 sierpnia 1944 roku, odtwarza historię sprzed 80 lat oraz opisuje wypadki poprzedzające zbrodnię żywocicką. Najbardziej dramatyczny rozdział to krótkie informacje o zamordowanych i wypowiedzi najbliższych ofiar i świadków zbrodni. Bolesne doświadczenia w nich zawarte powinny być ostrzeżeniem dla współczesnych i przyszłych pokoleń.

Publikacja, jak przystało na opracowanie naukowe, zawiera bogatą bibliografię, przypisy, indeks osobowy oraz miejscowy.



Karawany ze szczątkami zamordowanych mężczyzn podczas transportu z Orłowej do Żywocic w dniu 24 czerwca 1945 r. [Státní okresní archiv Karviná]



Książka historyka Mečislava Boráka (1945–2017), czołowego eksperta zajmującego się badaniami dotyczącymi represji politycznych i zbrodni wojennych w nowożytnej historii Europy Środkowej, przedstawia tragiczne wydarzenia, które miały miejsce w niewielkiej miejscowości na Śląsku Cieszyńskim we wczesnych godzinach rannych 6 sierpnia 1944 r. Publikację uzupełnia bogaty materiał ikonograficzny, w tym mapy, fotografie z epoki i reprodukcje różnych dokumentów. Dołączono także biografię autora prezentującą wszystkie jego najważniejsze prace, w których starał się uchwycić burzliwe losy ludzi dotkniętych konfliktami wojennymi oraz ideologią dyktatur nazistowskich Niemiec i stalinowskiego Związku Radzieckiego. Publikację do druku przygotował Radim Jež. Przekładu czeskiego oryginału na język polski dokonała Irena Prengel Adamczyk.

207 stron • 155 barwnych i czarno-białych ilustracji, map i planów • indeks osobowy i miejscowy • resumé w j. angielskim i niemieckim • miękkie okładki ze skrzydełkami • 148 × 210 mm
Do nabycia w oddziałach Muzeum Ziemi Cieszyńskiej (Muzeum Těšínska) – w historycznym budynku w Czeskim Cieszynie, w Muzeum Trójstyku w Jabłonkowie, w Archeoparku w Kocobędzu-Podborze i w Drzewiönce Kotuli w Hawierzowie lub na www.muzeumct.cz

HENRYK BUJOK

(† 37 lat)

* 8 września 1906, Karwina

narodowość: polska

zawód: górnik

miejsce zamieszkania: Błędowice 314



Mieszkaliśmy w Błędowicach Dolnych tuż przy granicy z Żywocicami. Przyszli do naszego domu przed piątą rano i mocno walili w drzwi. Mój mąż ich wpuścił. Było ich pięciu lub sześciu, wszyscy w mundurach. Zażądali okazania volkslisty. Potem przeszukali dom, przewrócili wszystko i kazali mężowi się ubrać. Podałam mu jego ubranie. Mąż wyjął trochę pieniędzy, zatrzymał trzydzieści marek i wręczył mi resztę. Gestapowiec zobaczył to i uśmiechnął się.

Potem wyszli. Mąż zawołał z podwórka „Z Bogiem!” i gestapo zatrzasnęło drzwi. Nie wolno nam było opuszczać domu. Widziałam tylko przez okno, jak wychodzili, jak głowy gestapowców i głowa mojego męża znikwały w polu zboża. Odwróciłam się od okna i wtedy padł strzał.

„To pewnie partyzanci w Osikach strzelają” – mówiły dzieci. Dopiero dwunastoletnie dziecko od Przybytów powiedziało nam, że ktoś tam leży martwy. Wtedy przyszła sąsiadka Wacławikowa, której również zastrzelono syna i powiedziała: „Nie wolno ci płakać! Nie wolno tam nawet iść, tam strzelają!”

Widzieliśmy, jak go zabierano. Na polu pozostał kapelusz po nim.

FLORENTYNA BUJOKOVÁ, ŻONA

JOSEF DUDA

(† 42 lata)

* 22 lipca 1902, Żywocice

narodowość: czeska

zawód: rolnik

miejsce zamieszkania: Żywocice 13



Mój mąż chciał pójść w sobotę do gospody zobaczyć zastrzelonego Mokrosza, ale potem zdecydował się nie iść i poszedł pracować do Błędowic-Podlesia. Tam już mówiono, że w Żywocicach będzie strzelanina. Poradziłam mu, żeby pojechał na jakiś czas do mojego brata w Błędowicach Górnych, w Protektoracie. Mój mąż powiedział, że się nie boi, że nikomu nic nie zrobił. Poszedł spać, ale był niespokojny.

Rano jeszcze spałam, kiedy mój mąż powiedział: „Strzelają”. Wyjrzelśmy przez okno i zobaczyliśmy, że gestapowcy nadchodzą już od Chodury. Mąż szybko zaczął się ubierać, ale ledwo zdążył naciągnąć spodnie i założyć buty, oni już tu byli. Pytali, czy nazywa się Duda i czy ma volkslistę. Powiedział im, że jest Czechem. Dwóch gestapowców przyszło do kuchni, a cała grupa stała na zewnątrz, w tym żandarm Sattler. Znałam go i chciałam do niego pójść, ale mnie nie wypuścili i kazali zamknąć drzwi.

Widziałam przez okno, jak prowadzą mojego męża w stronę lasu. Popychali go, żeby szedł szybciej. Kiedy znalazł się jakieś pięć metrów od nich, gestapowiec strzelił mu w tył głowy. Kula przeszła przez jego głowę, zginął na miejscu.

EMILIA DUDOVÁ, ŻONA

ALOJZY KADURA

(† 31 lat)

* 2 maja 1913, Pietwałd

narodowość: polska

zawód: górnik

miejsce zamieszkania: Żywocice 27

Rano usłyszeliśmy strzelaninę i straszne krzyki. To krzyczała Mrowcowa. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam żołnierzy leżących w pszenicy, celujących karabinami w naszą chałupę. Mój mąż i mój brat Adolf Wajner bardzo się przestraszyli, bo słyszeli Mrowcowa i wiedzieli, że Antek Mrowiec i jego syn już nie żyją.

Odesłałam męża do łóżka, mama poszła doić krowy. Przez okno widziałam, że chałupa mojego sąsiada Kani jest otoczona. Powiedziałam do męża: „Mój Boże, co będzie”, padłam na kolana i modliłam się. Zanim minęło pięć minut, oni już byli u nas.

Mój brat siedział na krześle z córką w ramionach, jego żona niedawno zmarła. Zaczęli krzyczeć i wyciągnęli męża z łóżka. Kazali mu się ubrać. Podbiegłam do jednego z gestapowców, błagałam i głaskałam go, ale on mnie odepchnął i bił kolbą, aż spuchły mi ręce. Jeden z nich powiedział: „Za pięć minut wróci twój mąż”. Dzieci bardzo krzyczały. Mój mąż podszedł do nich, pobłogosławił je i powiedział: „Zastrzelą mnie jak psa”.

Gestapowiec, który mówił po czesku, ponownie zapewnił nas, że to tylko przesłuchanie. Chciałam dać mężowi coś do jedzenia. „Daj mu raczej kartki” – powiedział gestapowiec. Wzięłam torbę z kartkami, były w niej również pieniądze. Gestapowiec wydarł mi je z ręki i włożył do kieszeni. Potem wypchnęli go, nawet się nie pożegnaliśmy. Mój brat czekał na korytarzu. Zdążył tylko powiedzieć do mamy: „Zaopiekuj się dla mnie Danką, mamol”, po czym oboje zostali zabrani.



Stałyśmy przed chałupą i płakałyśmy. Gestapowiec zawołał do nas: „Odejdźcie, bo będziemy strzelać!”. Nie minęło wiele czasu, gdy z lasu padły dwa strzały. Mama wciąż mnie pocieszała, że to tylko na przesłuchanie, że wrócą.

Około dziewiątej przyszła do nas Zotykowa, co roznosiła gazety. Zapytałyśmy ją, czy nie wie coś o naszych. „Nie pytajcie, powiedziała, wszędzie są trupy, w całej wsi. W polskiej szkole ludzie leżą na brzuchu, żywi, nie wolno im się ruszać, są nawet kobiety”.. „Może nasi też tam są” – mówię do siostry. Wyszłyśmy i przyszyłyśmy do Wilczkowej, wyglądała strasznie. Powiedziała: „(...) dziewczyny, nie idźcie tam. Pod naszą chałupą leży pięciu zastrzelonych!”.

Na pańskim już postawili snopki z żyta w kopki. Gestapo przewróciło kilka i usiadło na nich. Patrzyli na jakiś dokument, dużą kartkę papieru. Strzelanina już się skończyła. Mimo to poszli jeszcze po Borskiego i Hawlika.

Kiedy wrócili ludzie, którzy usuwali zwłoki, przyszedł do nas Ondrusz, przyjaciel mojego męża, i powiedział mi, że Alojzy nie żyje, że go odnosił. Powiedział, że poznał go po płaszczu, miał zupełnie roztrzaskaną głowę. Obok niego leżał mój brat Adolf.

MARIA SLOWIKOVÁ, DAWNIEJ KADUROVÁ, ŻONA I SIOSTRA

RAFAL POLOK

(† 21 lat)

* 23 kwietnia 1923 r., Żywocice

narodowość: polska

zawód: górnik (wcześniej student)

miejsce zamieszkania: Żywocice 21

Kwadrans po siódmej rano w niedzielę rozległo się straszne walenie do drzwi. Kiedy otworzyłyśmy z córką, do środka wtargnęło gestapo z wycelowanymi pistoletami. Pytali, gdzie są Józef Polok i Karol Krzystek, czy jesteśmy Polakami i jaki jest numer naszego domu. Męża nie było jeszcze w domu po nocnej zmianie, a ponieważ został w porę ostrzeżony, zatrzymał się u mojej kuzynki w Suchej Górnej.

Gestapowcy wdarli się na strych, wyciągnęli zięcia Krzystka, bosego, w samych spodniach i koszuli, do ogrodu i chcieli go zastrzelić pod gruszą. Zatrzymał ich gestapowiec ze swastyką na rękawie i pokazał w stronę lasu. Wyciągnęli też mojego syna, zanim zdążyłam się z nim pożegnać. Gestapowiec krzyknął do nas: „Ruhe!” i popędził ich obu w stronę lasu, gdzie ich zastrzelił.

W desperacji wyrывałam trawę z ziemi. Moja córka poważnie zachorowała z żalu.

ZOFIA POLOKOVÁ, MATKA



MICHAEL MORYS-TWAROWSKI

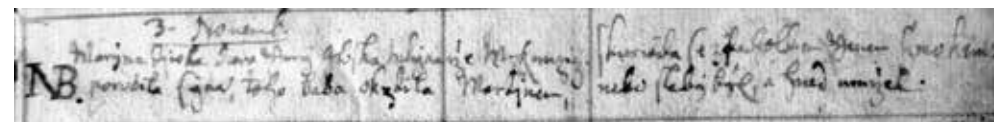
Drobiazgi ze starych ksiąg metrykalnych

Nie ma dziś popularniejszego źródła historycznego niż księgi metrykalne, które genealodzy przeczesują w poszukiwaniu swoich przodków i innych krewnych. Stare metryki z czeskiej części Śląska Cieszyńskiego znajdują się w Archiwum Krajowym w Opawie i od lat są dostępne online. Stare metryki z polskiej części Śląska Cieszyńskiego są rozproszone – trzeba ich szukać w archiwach parafialnych, w Archiwum Diecezji Bielsko-Żywieckiej oraz w oddziałach bielskim i cieszyńskim Archiwum Państwowego w Katowicach. Tylko część tomów jest dostępna online – głównie za sprawą wolontariuszy z Górnośląskiego Towarzystwa Genealogicznego Silius Radicum, digitalizujących zasoby archiwów państwowych w południowej części Śląska. W 2022 roku sporo metryk pojawiło się w Cyfrowym Archiwum Archidiecezji Krakowskiej, jednak projekt – choć cenny – pozostawia spory niedosyt (objęto nim tylko część parafii, w dodatku jedynie do przełomu XVIII i XIX wieku).

Można znaleźć tysiące ciekawszych zajęć niż wertowanie ksiąg metrykalnych, ale możliwość uzupełnienia drzewa genealogicznego jest często wspaniałą nagrodą za godziny poszukiwań. Czasami pośród litanii imion, nazwisk i dat można znaleźć nieco ciekawsze wpisy. Są to często wspaniałe drobiazgi – w dodatku trudne do wyłowienia, bo tego rodzaju perełki pojawiają się średnio raz na kilkaset stron. Niżej chciałbym przedstawić przegląd przykładowych „drobiazgów” z parafii z obu stron rzeki Olzy. Mam nadzieję, że niniejszy tekst zainspiruje również innych genealogów do podzielenia się swoimi znaleziskami z ksiąg metrykalnych – może na łamach kolejnych roczników „Kalendarza Śląskiego”.

Rodzice nieślubnych dzieci w opinii proboszcza z Pruchnej

Jeżeli któryś z naszych przodków przyszedł na świat jako dziecko nieślubne, to zazwyczaj nie ma możliwości ustalenia, kto był ojcem – chyba, że ten ożenił się później z matką i uznał dziecko. W starych księgach metrykalnych księża konse-



Wpis w księdze metrykalnej parafii w Pruchnej z 1677 roku
(Parafia rzymskokatolicka pw. św. Anny w Pruchnej)

kwentnie pisali „ojciec nieznan”, nawet jeżeli cała wieś wiedziała, o kogo chodziło. Ksiądz Maciej Bludowski, proboszcz parafii rzymskokatolickiej w Pruchnej pod koniec XVII wieku, wyłamał się z tego trendu. Co więcej, w przypadku dzieci nieślubnych rezygnował z prowadzenia ksiąg chrztów po łacinie. Przykładowo, pod datą 3 listopada 1677 zanotował: „Maryna dziwka dcera Jury Stoska mlynarze ze M. Kunczicz skurwila se z pacholkem Janem Czmokem, porodila syna, teho baba okrztila Martynem, nebo slaby byl, a hned umrzel”. Z kolei w 1679 roku pisał: „Zosia Mazdiczka kurwa giz po czwarte se skurwila i porodila syna, 21 Julis okrztien gest Jakubem”.

„Ex Mahometana secta”

W metrykach parafii rzymskokatolickiej św. Marii Magdaleny w Cieszynie natrafiłem na informacje o muzułmanach nawróconych na chrześcijaństwo pod koniec XVII wieku. 18 czerwca 1690 roku odnotowano chrzest „femina ex Mahumetana sectes”, czyli kobiety wyznającej islam. Była służącą burgrabiego Rittera, na chrzcie otrzymała imiona Maria Katarzyna, a jej rodzicami chrzestnymi byli Henryk Heyman i Maria Braun, czyli przedstawiciele szacownych cieszyńskich rodzin mieszczańskich.

Z kolei 3 lutego 1692 roku ochrzczono mężczyznę „ex Mahometana secta”, który otrzymał imiona Rudolf Franciszek. Funkcję rodziców chrzestnych pełnili baron Rudolf Sobek z Kornic i jego żona Maria.

Żonobójca z Tyry

W księgach metrykalnych parafii ewangelicko-augsburskiej w Cieszynie opisano, jak to pan młody kilka miesięcy po ślubie zabił swoją żonę, za co został skazany na śmierć (na notkę przed kilku laty zwrócił uwagę pastor Vlastimil Ciesar). Fakty wyglądały następująco: 6 listopada 1712 Adam Hóta z Tyry żeni się z Anną, córką Pawła Wałacha, również pochodzącą z Tyry. 24 marca 1713 Anna Hóta z domu Wałach, ciężarna, idzie do studni po wodę. Adam Hóta bierze siekiere i ciosem w głowę pozbawia ją życia.

Następnie Adam Hóta ląduje w cieszyńskim więzieniu, zostaje osądzony i skazany na śmierć; w tym czasie przechodzi na katolicyzm. 8 kwietnia 1713 zostaje

„mieczem uśmiercon” („meczem usmerczen”). Dopisek o „włożeniu w koło” chyba można tłumaczyć tak, że jego ciało zostawiono na widok publiczny ku przestrodze. Jednak ówczesne zwyczaje egzekucyjne każą widzieć sprawę w innej kolejności: najpierw był łamany kołem, a dopiero potem kat skrócił go o głowę.

„Bolibrzuch” i Bolibrzuska

Czasami obok nazwiska w księgach metrykalnych pojawia się przydomek. I tak Jan Hóta (wtedy zwykle pisano Hutta), zmarły w 1739 roku w Tyrze, występuje z określeniem „Bolibrzuch”. Prawdopodobnie biedak cierpiał na wyjątkowo bolesną dolegliwość, skoro dorobił się takiego przezwiska.

Jak zauważył Marek Lasota, zajmujący się genealogią Hótów, w Tyrze znajduje się źródło o nazwie Bolibrzuska (Bolibrůška). Można więc przypuszczać, że nazwa ta ma związek z przezwiskiem rolnika zmarłego przed prawie trzema wiekami.

Kozieł, który był wilkiem

W 1752 roku wszyscy zmarli w parafii rzymskokatolickiej w Trzycieżu byli określani według wyznania. Proboszcz jednak uczynił jeden wyjątek. Waclaw Kozieł z Końskiej został określony jako „lupus”, co dosłownie znaczy „wilk”.

Nie wiadomo, czy ksiądz bawiło skojarzenie *kozieł* (*koziół*) – *wilk*, czy może jednak Waclaw Kozieł, skądinąd luteranin, twardo obstawał przy swoim wyznaniu i był nieformalnym liderem protestanckiej społeczności w Końskiej, co katolickiego proboszcza skłonić mogło do porównania *wilk* – *owczarnia* (*Pańska*). O samym Wilku z Końskiej znalazłem tylko podstawowe dane. Urodził się prawdopodobnie w 1702 roku lub niewiele później, był właścicielem gruntu chałupniczego w Końskiej. Żonaty, doczekał się trzech córek.

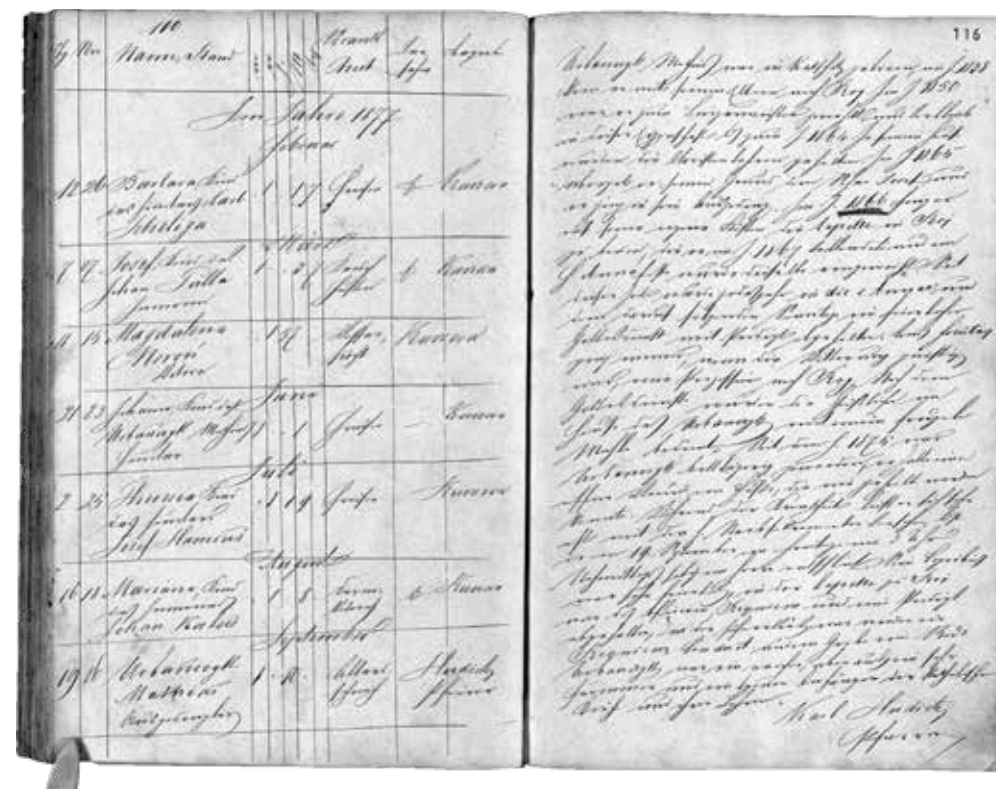
Zapiski kronikarskie

Sporadycznie w księgach metrykalnych z XVII i XVIII wieku proboszczowie zamieszczali krótsze lub dłuższe notki o charakterze kronikarskim. W metrykach parafii św. Mikołaja w Bielsku można znaleźć wzmiankę o napadzie kuruców z 1682 roku. W Kończycach Wielkich wpisy z 1737 roku miejscowy proboszcz zakończył stwierdzeniem: „Tak kończymy zapisy ślubów w ogromnie nieszczęśliwym roku 1737, w którym głód bardzo wielu zmorzył i choroby grasujące w naszej okolicy licznych uśmierciły”.

Kiedy pod koniec XVIII wieku zaczęto na szerszą skalę prowadzić kroniki parafialne, z ksiąg metrykalnych znikają ciekawe wstawki. Z tego powodu czymś wyjątkowym jest wpis w metrykach parafii rzymskokatolickiej we Frysztacie, dotyczący

zmarłego w 1877 roku Macieja Urbańczyka, siedlaka z Raju. Proboszcz Karol Huzdziec całą stronę poświęcił na życiorys tego rolnika, a potem wrócił do standardowej rejestracji zgonów.

Z kolei w parafii rzymskokatolickiej w Lipowcu po zapiskach dotyczących zgonów z 1918 roku ksiądz napisał: „Zmartwychwstanie Polski!”.



Fragment księgi zgonów parafii rzymskokatolickiej we Frysztacie:
po lewej wpisy dotyczących zmarłych w 1877 roku,
po prawej krótki życiorys Macieja Urbańczyka, siedlaka w Raju
(Archiwum Krajowe w Opawie)

GRZEGORZ GAŚSIOR

Rekin spod Bramy Prochowej i najpiękniejszy teren przyszłości

Śląsk Cieszyński należał do najbardziej uprzemysłowionych regionów monarchii austro-węgierskiej. Na niewielkim obszarze skupiały się kopalnie węgla kamiennego, huty żelaza, ale też zakłady chemiczne i inne przedsiębiorstwa. W cieniu kominów i szybów przez dziesięciolecia tworzył się charakterystyczny dla regionu etos pracy. Przestrzeń ta stała się też areną rywalizacji pomiędzy Polakami, Czechami i Niemcami. Na większości obszaru dominowała polska ludność autochtoniczna, zaś w zachodniej części Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego – czeska. Do pracy w miejscowych zakładach ściągala polska ludność napływowa z Galicji, często słabo uświadomiona narodowo i w czeskim środowisku podatna na asymilację. Elity gospodarcze i urzędnicze były często niemieckie, jednak wśród inteligencji technicznej sporo było czeskich inżynierów przybyłych z Czech i Moraw.

Po rozpadzie Austro-Węgier i dwuletnim sporze o Śląsk Cieszyński pomiędzy nowo powstałymi państwami Polską i Czechosłowacją Rada Ambasadorów w Paryżu dokonała w 1920 r. podziału regionu, w wyniku którego jego najbardziej uprzemysłowiona część znalazła się w granicach Czechosłowacji. Nie był to jednak koniec problemów narodowościowych. Urzędy państwowe nie ufały miejscowym polskim robotnikom ani niemieckiej kadrze technicznej i urzędniczej, dlatego starały się umocnić wpływ osób narodowości czeskiej w miejscowych zakładach. Było to jednak trudniejsze niż w sektorze państwowym, a więc w urzędach, sądach, na poczcie i kolei żelaznej. W wypadku kapitału prywatnego oddziaływanie państwa mogło być jedynie pośrednie, np. poprzez popieranie czeskich przedsiębiorców.

Jednym ze sposobów była nostryfikacja spółek mających swoje zakłady na terenie Czechosłowacji, ale główną siedzibę w Austrii lub na Węgrzech, co było dziedzictwem monarchii Habsburgów. Państwo miało możliwość wezwania takiej firmy do przeniesienia swojej głównej siedziby do Czechosłowacji. Zazwyczaj do-

chodziło do podziału przedsiębiorstwa i utworzenia odrębnej spółki funkcjonującej w Czechosłowacji. W radach zarządzających spółek poddanych nostryfikacji przewagę musiały mieć osoby posiadające obywatelstwo czechosłowackie. Przy okazji uzgadniano wygodne dla państwa warunki, angażując czeski i zagraniczny kapitał z krajów przyjaznych, np. z Francji.

Przed I wojną światową największym przedsiębiorstwem przemysłowym obecnym na Śląsku Cieszyńskim była Austriacka Spółka Górnicza i Hutnicza (Österreichische Berg- und Hüttengesellschaft), powstała w 1906 r. jako spółka akcyjna. Należące do niej zakłady były wcześniej własnością Komory Cieszyńskiej, dokupywała jednak kolejne. W chwili upadku monarchii austriackiej spółka posiadała karwińskie kopalnie „Austria” (później „Barbara”), „Gabriela”, „Hohenegger”, pietwałdzkie „Albrecht” (później „Jadwiga”) i „Habsburg” (później „Postęp”), „Salm VII” w Polskiej Ostrawie, „Ludwik” w Radwanicach oraz kilka innych po morawskiej stronie Ostrawicy, do tego dwie koksownie („Hohenegger” w Karwinie i „Salm” w Polskiej Ostrawie), następnie hutę w Trzyńcu i mniejsze zakłady hutnicze w Leskowcu, Baszce, Ustroniu i Węgierskiej Górze (dwie ostatnie znalazły się później w granicach Polski). W 1914 r. wśród inżynierów i urzędników wyższej klasy w kopalniach i koksowniach Austriackiej Spółki Górniczej i Hutniczej w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim było 34 Niemców i tylko trzech Czechów. Polacy byli przede wszystkim robotnikami – przy czym zdecydowanie przeważali wśród załogi kopalni w Karwinie.

W 1920 r. na skutek nostryfikacji główna siedziba spółki została przeniesiona z Wiednia do Brna (a w 1927 r. do Pragi). Od 1923 r. firma nosiła nazwę Spółka Górnicza i Hutnicza już bez przymiotnika „Austriacka” (Báňská a hutní společnost). Większościowy pakiet akcji uzyskały francuski koncern Schneider-Creusot oraz krajowa Živnostenská banka (ŽB). W radzie zarządzającej spółki znalazły się ważne osobistości czeskiego życia społecznego, np. Josef Scheiner, starosta Czechosłowackiej Gminy Sokolskiej i Karel Engliš, ekonomista i kilkakrotny minister finansów oraz Jaroslav Preiss, dyrektor generalny ŽB.

ŽB była spółką akcyjną powstałą w 1869 r. w Pradze jako instytucja mająca zabezpieczyć rozwój czeskiej przedsiębiorczości wobec silnej przewagi Niemców w tej dziedzinie. Intensywny rozwój banku zaczął się w latach 90. XIX wieku. Jaroslav Preiss, który stał na jego czele od 1917 r., był najbardziej wpływowym przedstawicielem międzywojennej czechosłowackiej finansjery. Najbliższa była mu partia narodowo-demokratyczna, ale utrzymywał ożywione kontakty z politykami różnych opcji. Pożyczał im pieniądze na cele prywatne i polityczne. Z szacunkiem odnosił się do prezydenta Tomáša G. Masaryka, którego uważał za cenny kapitał dla młodej republiki. Kochał podróże, polowania, dobre jedzenie, a nawet książki,



Kopalnia „Gabriela”

najbardziej zaś swoją pracę. Przez admiratorów określany był jako „kapitan czechosłowackiego przemysłu”. Lewica, zwłaszcza komunistyczna, widziała w nim raczej „rekina spod Bramy Prochowej” (w pobliżu której w Pradze znajdowała się siedziba ŽB).

* * *

Jaroslav Preiss urodził się w zachodnioczeskich Přešticach w 1870 r., dorastał zaś w Domažlicach, dokąd jego rodzice przenieśli się, zanim nauczył się chodzić. Ukończył studia prawnicze na uniwersytecie w Pradze. Zaangażowany w patriotycznym ruchu studenckim, uniknął represji związanych z tzw. procesem Omladiny, gdy austriackie władze skazały na kary więzienia kilkudziesięciu studentów za rzekomą działalność antypaństwową.

Jako dziennikarz ekonomiczny gazety „Národní listy”, Preiss zbliżył się do czeskich kręgów biznesowych. Rozwój rodzimej przedsiębiorczości pojmował jako sposób na zapewnienie pomyślnej przyszłości swojego narodu. Na fali żywych wśród ówczesnych czeskich elit sympatii słowianofilskich opracował projekt Banku Słowiańskiego, licząc na pomyślną ekspansję czeskich firm w Rosji i na innych obszarach słowiańskich. Rosyjski premier Piotr Stołypin, zachwycony osobowością Preissa, wyraził się nawet w jednym z listów, że chętnie wypożyczyłby go na pięć lat do Rosji. Projekt Banku Słowiańskiego nie został zrealizowany, a wybuch I woj-



Kopalnia „Barbara”

ny światowej i rewolucji bolszewickiej w Rosji definitywnie zamknął możliwości inwestycyjne na wschodzie.

Współpracę z ŽB podjął Preiss jako redaktor odpowiedzialny wydawanego przez nią tygodnika „Finanční listy”. Właściwą karierę w strukturach banku rozpoczął w 1907 r., gdy objął funkcję szefa wydziału ds. hipotek, a później wydziału przemysłu ŽB, przyczyniając się do zwiększenia udziałów banku w licznych czeskich przedsiębiorstwach. W 1910 r. był już wiceprezesem ŽB. W karierze tej wspierał go Karel Kramář, przywódca stronnictwa młodoczeskiego, a później pierwszy premier Czechosłowacji.

W czasie I wojny światowej Preiss został aresztowany z powodu odmowy zakupu austriackich pożyczek wojennych przez ŽB oraz ze względu na dawne zażyłe kontakty z Rosjanami. Władze w Wiedniu nie wiedziały przy tym o jego zaangażowaniu w niepodległościową tajną organizację „Maffie”. Wkrótce po wyjściu na wolność w 1917 r. objął posadę dyrektora generalnego ŽB. Jeszcze przed powstaniem niepodległej Czechosłowacji brał udział w opracowaniu zasad funkcjonowania gospodarki przyszłego państwa, opartych o system kapitalistyczny i poszanowanie własności prywatnej, ale przewidujących reformę rolną i upaństwowienie kopalni węgla kamiennego (ten ostatni pomysł nie został zrealizowany), co miało odbyć się kosztem właścicieli ziemskich i przedsiębiorców narodowości niemieckiej. Częścią projektu był też pomysł nostryfikacji spółek z siedzibą za granicą.

Ogłoszenie niepodległości Czechosłowacji w 1918 r. oznaczało nowe możliwości rozwoju ŻB. Wiele firm dotychczas korzystających z usług wiedeńskich instytucji finansowych zaczęło przenosić do niej swoje pieniądze. W szybkim tempie ŻB uzyskała kluczowy pakiet akcji kolejnych wielkich koncernów przemysłowych na ziemiach czeskich, a Preiss objął funkcję wiceprezesa Centralnego Związku Czechosłowackich Przemysłowców (od 1930 r. był jego prezesem).

Koncern ŻB był jednym z głównych beneficjentów nostryfikacji spółek, inwestując nie tylko własne kapitały, ale też przyciągając do współpracy kapitał z państw zachodnich. Istotne udziały posiadał np. w przedsiębiorstwie maszynowym Českomoravská-Kolben-Daněk, hutniczym Pražská železářská společnost, górniczych Czeskiej Spółce Handlowej (Česká obchodní společnost) i Kolei Północnej Ferdynanda (Severní dráha Ferdinandova) w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim oraz wielu innych. W firmach wchodzących w skład koncernu rosły wpływy osób narodowości czeskiej, co traktowano jako przywracanie sprawiedliwości po okresie niemieckiej dominacji.

* * *

Działania na rzecz czeskiej narodowości na Śląsku Cieszyńskim również były postrzegane w ówczesnym czeskim dyskursie jako rzecz sprawiedliwa, gdyż mieszkańców tego terenu postrzegano jako „spolonizowanych Morawców”. Teza ta uzasadniała wywieranie presji asymilacyjnej. Polityka ta nie była autorskim pomysłem Preissa, lecz częścią szerszej zakrojonych działań wobec miejscowej ludności, charakteryzujących się kooperacją pomiędzy urzędami państwowymi, organizacjami społecznymi i firmami prywatnymi.

Nostryfikacja Spółki Górniczej i Hutniczej nie oznaczała, że zmiany kadrowe pod kątem narodowościowym mogły nastąpić od razu w całej rozciągłości. Śląski prezydent krajowy w Opawie Josef Šrámek wskazywał w 1923 r., że „interes państwowy kategorycznie wymaga, aby w kopalniach karwińskich znajdowali się czescy urzędnicy wyższych i niższych kategorii.” Tymczasem na przykład w kopalni „Hohenegger” w charakterze urzędników pracowało 22 Niemców, 14 Polaków i jeden Czech, a w kopalni „Gabriela” 53 Niemców, 36 Polaków i tylko 5 Czechów.

W sprawie skargi śląskiego prezydenta krajowego interweniował Přemysl Šámal, szef kancelarii prezydenta Tomáša G. Masaryka, który zwrócił na nią uwagę sokolskiemu staroście Scheinerowi, a ten przekazał ją samemu Preissowi. Dyrektor generalny ŻB zapewniał, że Spółka Górnicza i Hutnicza na razie przeprowadziła czechizację kadr dyrekcji generalnej w Brnie i dopiero później będzie mogła przystąpić do przyjmowania Czechów do zarządów poszczególnych zakła-

dów. Kryzys gospodarczy w 1922 r. nie był jedyną przeszkodą. Otokar Kruliš-Randa, zastępca dyrektora generalnego spółki (a od 1927 r. dyrektor generalny), tłumaczył, że „po plebiscycie umieszczenie czeskich inżynierów w karwińskich kopalniach napotykało na duże trudności, ponieważ robotnicy, w dużej części spolonizowani, występowali przeciw nim. Dopiero powszechne uspokojenie nastrojów pozwoliło na obecne działania”. W bezpośredniej rozmowie z kanclerzem Šámalem obiecywał dopilnować, aby „proporcja urzędników czeskich się poprawiała”. Naturalnie pisząc o „spolonizowanych” górnikach postępował zgodnie z ówczesną tendencją czeskich działaczy, starających się podważyć polski charakter regionu.

W kolejnych latach proporcje narodowościowe w Spółce Górniczej i Hutniczej zaczęły się wyraźnie zmieniać. Wśród przyjętych do pracy w latach 1921-1925 nowych urzędników dyrekcji górniczej i kopalni spółki znajdujących się w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim było 94 Czechów, 8 Niemców i tylko jeden Polak. Pod koniec lat 20. wszystkie kopalnie i zakłady spółki zaczęły w swoich biurach stosować język czeski, zamiast dotychczasowego niemieckiego.

Mimo to do Preissa stale napływały skargi z czeskich kręgów nacjonalistycznych, wskazujące, że Spółka Górnicza i Hutnicza jest zdominowana przez urzędników narodowości niemieckiej. Wśród podejmujących interwencje w tej sprawie był Rudolf Beran, sekretarz generalny partii agrarnej, najsilniejszego stronnictwa rządowego.

Niemieckim urzędnikom zarzucano nie tylko działalność germanizacyjną wśród robotników, ale też to, że bez znajomości języka czeskiego nie będą mogli skutecznie porozumieć się ze swoimi pracownikami. Emil Modr, dyrektor spółki ds. górnictwa, w odpowiedzi na jedną ze skarg zmuszony był przyznać, że „karwińscy górnicy nie posługują się poprawną czeszczyzną, ale dialektem, z pewnością zasadniczo różniącym się od literackiej czeszczyzny.” Chodziło oczywiście o śląsko-polski dialekt cieszyński, tego dyrektor ds. górnictwa nie miał jednak potrzeby dodawać. W 1929 r. Preiss zachwalał Modra, pisząc Beranowi, że jest to „całkowicie szczerzy i uczciwy Czech”, co miało gwarantować, że będzie pilnował interesów narodowych w kopalniach.

Wbrew napływającym skargom wzrost znaczenia osób narodowości czeskiej stawał się zauważalny. W kopalniach i koksowni Spółki Górniczej i Hutniczej w samej Karwinie w lipcu 1926 r. na posadach urzędniczych pracowało 111 Niemców, 99 Polaków i 48 Czechów, a w styczniu 1934 r. było tam już tylko 55 Niemców, 46 Polaków i 128 Czechów. Dyrektor Modr mógł ze spokojem skonstatować, że „w zakładach Spółki Górniczej i Hutniczej w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim jest rzeczywiste dążenie do sprawiedliwej poprawy.”



Personel techniczny kopalni „Gabriela” (1920 r.)

Kruliš-Randa również zauważał, że Spółka Górnicza i Hutnicza „pod względem narodowym odnotowuje całkowity przewrót narodowościowy na korzyść czechosłowackiej idei”. Mimo to zaznaczał, że władze spółki w swoich decyzjach kadrowych nie mogą kierować się wyłącznie kryteriami narodowymi, ale muszą uwzględniać kwalifikacje i doświadczenie. Na przykład w 1934 r. stanowisko dyrektora kopalni „Gabriela” objął inż. Ernst Müller, narodowości niemieckiej, który był specjalistą od gazów pożarowych i dziesięć lat wcześniej osobiście uczestniczył w akcji ratunkowej po wielkiej katastrofie w tej kopalni.

Interesujące, że gdy pojawiały się zarzuty ze strony polskiej o stosowanie czechizacji w Spółce Górniczej i Hutniczej, przedstawiciele koncernu zaprzeczali temu dobierając inne dane statystyczne. Na przykład w 1930 r. wśród niższej kadry technicznej i pracowników dozoru w karwińskich kopalniach spółki było 100 Polaków, czyli najwięcej, następnie 64 Czechów i 24 Niemców. Polacy stanowili też 25% wśród urzędników biurowych.

Jak rozumieć te sprzeczności? Wśród czechosłowackich działaczy i urzędników państwowych panował nieformalny konsensus dotyczący wspierania przedstawicieli swojej

narodowości. Znajdowało to wyraz w zakulisowych rozmowach i korespondencji nieprzeznaczonej dla opinii publicznej. Ucisk mniejszości narodowych był jednak niezgodny z czechosłowacką konstytucją i ustawodawstwem. Na zarzuty stawiane publicznie przez Polaków w tej sprawie musieli więc odpowiadać w taki sposób, aby nie można było im zarzucić stosowania celowej dyskryminacji z powodów narodowościowych. Wskazując na liczbę zatrudnionych Polaków, nie rozpatrywano tego, czy nie zmniejszała się ona w poprzednich latach.

Szczególne niezadowolenie ze strony czechosłowackich środowisk nacjonalistycznych budziła sytuacja narodowościowa w największym zakładzie Spółki Górniczej i Hutniczej – w hucie trzynieckiej. Na początku lat 20. brakowało czechosłowackich specjalistów od hutnictwa i wykształcenie odpowiednich kadr wymagało czasu. W 1928 r. dotychczasowego dyrektora narodowości niemieckiej, inż. Karla Kundla, zastąpił Francuz, Georges Thédrel, który bardzo szybko stał się obiektem ataków. „Moravsko-slezský denník” uznał go za marionetkę „pangermańskich” dążeń urzędników huty, a nawet polskich księży i pastorów oraz – co już było zupełnie absurdalne – komunistów.

Na podstawie tego artykułu Scheiner, starosta Sokola, poskarżył się Preissowi, że „francuscy udziałowcy nie mają zrozumienia dla naszej trudnej sytuacji narodowościowej”. Preiss przypisywał część winy brakowi obycia towarzyskiego czechosłowackich inżynierów zatrudnionych w hucie. Za pośrednictwem swojego szwagra, Leopolda Dostala, dyrektora oddziału ŽB w Morawskiej Ostrawie, próbował wciągnąć Thédrela w życie towarzyskie czechosłowackiej inteligencji technicznej. Zdaje się, że bezskutecznie. Jednak na uwagę Dostala, aby przyjmować do huty wyłącznie czechosłowackich robotników i urzędników, nawet nie do końca wykwalifikowanych, w celu „przywrotienia czechosłowackiego charakteru” regionu, Francuz odpowiedział, że rozumie, czego się od niego oczekuje i stara się postępować w tej sprawie, jak najlepiej potrafi.

Sprawami personalnymi w hucie zająć się miał inż. Sokol, który od Preissa również otrzymał polecenie, aby do pracy przyjmował wyłącznie Czechów. Czechosłowacki inżynier wkrótce jednak popadł w ostry konflikt z dyrektorem. Powtarzające się donosy na Thédrela skłoniły w końcu Preissa do interwencji. Zwrócił uwagę Aimé Lepercqowi, francuskiemu członkowi rady zarządzającej Spółki Górniczej i Hutniczej, że dyrektor zakładu powinien zachowywać się tak, aby nie dawać powodu do skarg.

Niewątpliwie niemieccy urzędnicy w hucie mieli wpływ na to, że część hutników zamieszkałych w Trzyńcu (wielu dojeżdżało do pracy z innych miejscowości) posyłało swoje dzieci do miejscowej niemieckiej szkoły. Przyczynę skarg czechosłowackich środowisk trafnie oceniła socjalistyczna gazeta „Robotnik Śląski”, uznając je za wyraz ambicji konkretnych osób: „Byłoby lepiej, gdyby w Moravsko-slezskim den-

niku ta klika napisała: ja chcę zostać dyrektorem, ja zastępcą dyrektora, ja generalnym sekretarzem itd. Dopóki to się nie stanie – nie będzie w Trzyńcu spokoju!” Nacjonalistyczne hasła okazywały się więc narzędziem osobistej kariery, niekoniecznie były zaś wyrazem głębokich uczuć patriotycznych. Korespondowało to z późniejszą opinią Kruliša-Randy, który w 1932 r. odpowiadając na interwencję premiera Františka Udržala, stwierdził, że niektórzy uważają, że wszystko im się należy tylko z powodu ich narodowości. Sprawy personalne w hucie nadzorował w tym czasie czeski urzędnik Julius Fürst. Pozostaje symptomatyczne, że na stanowiska inżynierów i urzędników starano się nie zatrudniać miejscowych Polaków. Czeskie urzędy ignorowały też formułowane przez polskich przedstawicieli protesty dotyczące zwalniania polskich robotników, wciąż jednak stanowiących większość załogi.

Czeskie środowiska nacjonalistyczne uspokoiły się, gdy w 1935 r. dyrektorem huty trzynieckiej został inżynier Jaroslav Jičínský. Według działaczy Slezskiej Matice osvěty lidové wyrządzone rzekomo wcześniej Czechom krzywdy były „szybko naprawiane”.

Mniejsze od huty trzynieckiej znaczenie miała Huta Karola w Leskowcu w powiecie frydeckim. Chociaż wyższe stanowiska pełnili tam głównie Niemcy, to większość robotników stanowili Czesi. Poza tym Spółka Górnicza i Hutnicza była jedynie współwłaścicielem tego zakładu, obok przedsiębiorstwa Rotava-Nýdek, kierowanego przez Niemców.

W 1923 r. spółka zakupiła od wiedeńskiego właściciela druciarnię i fabrykę kabli w Boguminie. Wśród pracowników początkowo dominowali Niemcy, zarówno na wyższych stanowiskach, jak wśród robotników. Czechów było mniej, lecz w latach 30. mieli pierwszeństwo podczas rekrutacji. Polacy byli wśród robotników zakładu w mniejszości.

* * *

Chociaż Spółka Górnicza i Hutnicza była największym pracodawcą w regionie, Preiss był zainteresowany dalszym poszerzaniem jej wpływów i osłabieniem konkurencji. Kwestia narodowościowa była oczywiście wygodnym hasłem, za którym kryły się dążenia do umocnienia pozycji własnego koncernu.

W Karwinie konkurencją dla Spółki Górniczej i Hutniczej były Zakłady Larischa-Mönnicha, do których należały kopalnie „Jan Karol”, „Franciszka”, „Henryk”, „Głęboki” oraz „Franciszek” (ta ostatnia w Suchej Górze), oprócz tego jedna koksownia, browar i piotrowicka fabryka sody. W połowie lat 20. Preiss był zainteresowany przejęciem tych zakładów przez Spółkę Górniczą i Hutniczą. Dowiedziaw-

szy się, że Johann Larisch-Mönnich wkrótce będzie poszukiwał nowego dyrektora generalnego, rozważał wykorzystanie tej sytuacji. Leopold Dostal sugerował, że powinien nim zostać „Czech z mocnym kręgosłupem”, najlepiej z dobrą znajomością nie tylko języka niemieckiego, ale też angielskiego i francuskiego, który mógłby wywrzeć pozytywne wrażenie w otoczeniu rodziny Larischa-Mönnicha, a szczególnie jego żony Olivii Lucretii, Amerykanki. Zyskawszy zaufanie mógłby wesprzeć „czeską sprawę” w regionie.

Gdy dyrektorem generalnym konkurencyjnych zakładów został Czech niezwiązany z koncernem Preissa, Karel Zajíček (późniejszy aferzysta), Dostal snuł przed Preissem plany zmuszenia Larischa-Mönnicha do sprzedaży swoich włości, które uważał za „najpiękniejszy terrain przyszłości” pod wydobycie węgla kamiennego. Larisch-Mönnich nie zgodził się jednak na żadne ustępstwa.

Mimo skarg czeskich kręgów nacjonalistycznych na sytuację w przedsiębiorstwie Larischa-Mönnicha, według Dykcji Policji w Morawskiej Ostrawie w 1936 r. wśród urzędników karwińskich zakładów Larischa-Mönnicha było 110 Czechów (39,85%), 104 Niemców (37,68%) i tylko 61 Polaków (22,11%) oraz jeden Rosjanin (0,36%), zaś inżynierowie przyjmowani do pracy w jego kopalniach po 1920 r. byli niemal wyłącznie narodowości czeskiej.

Mimo to Larisch-Mönnich pozostał jedynym właścicielem kopalni i koksowni w czeskosłowackiej części Śląska Cieszyńskiego, który do końca istnienia Pierwszej Republiki zatrudniał w większości polskich robotników. W 1921 r. Polacy stanowili 76,71% załogi jego kopalni i koksowni, zaś w 1938 r. – 58,65%. Spadek był duży, jednak nie aż taki, jak w zakładach Spółki Górniczej i Hutniczej: w kopalni „Barbara” w 1921 r. aż 83,58% górników było Polakami, a w 1938 r. już tylko 36,73%. W tym samym okresie w kopalni „Gabriela” odsetek polskich górników spadł z 93,46% do 39,96%, w kopalni „Hohenegger” z 91,57% do 25,91%, w koksowni „Hohenegger” z 80,25% do 28,17%.

Dane te nie oznaczają jednak, że na miejsce zwalnianych Polaków byli zatrudniani czescy robotnicy. Narodowość górników ustalano na podstawie przynależności do czeskich organizacji i szkół, do jakich posyłał oni swoje dzieci. A więc spadek liczby Polaków w statystykach sporządzanych przez dyrekcje zakładów nie był związany tylko ze zwolnieniami z pracy, przechodzeniem na emeryturę lub inwalidztwem czy śmiercią górników, ale w dużej części z przeniesieniem przez nich swoich dzieci z polskiej do czeskiej szkoły. Wpływ na to mieli właśnie zatrudniani w zakładach czescy inżynierowie i urzędnicy, którzy mogli grozić zwolnieniem, odmową przydziału mieszkania zakładowego i innymi szykanami. Nie tylko odsetek zatrudnionych Polaków się zmniejszał. W okresie Pierwszej Republiki liczba zatrudnionych górników w całym Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim spadła o jed-



Grób Jaroslava Preissa na cmentarzu
na praskim Wyszehradzie

biorstwo Czeska Spółka Handlowa (*Česká obchodní společnost*). W skład nowego nabytku wchodziły kopalnie „Nowy Szyb” w Łazach, „Zofia” w Porębie i „Sucha” w Suchej Dolnej oraz koksownia w Łazach. Jednak już przed zakupem zatrudniano tam głównie czeskich inżynierów, a wśród robotników liczba Polaków znacznie spadła już po 1920 r.

Na początku lat 30. państwo czechosłowackie przy pomocy koncernu Preissa zamierzało zwiększyć swój wpływ także na Witkowicką Górniczą i Hutniczą Spółkę Wydobywczą (*Vitkovické horní a hutní těžířstvo*), będącą własnością wiedeńskich rodzin Rotschildów i Gutmannów. W witkowickiej hucie, największym zakładzie firmy, na wyższych stanowiskach dominowali Niemcy. Poza tym jej własnością były Witkowickie Kopalnie Węgla Kamiennego (*Vitkovické kamenouhelné doly*), zarządzające kopalnią „Dąbrowa” oraz kilkoma szybami w rejonie ostrawskim.

Okazją do zmian własnościowych były kłopoty ekonomiczne tej firmy na początku lat 30., które skłoniły ją do rozważenia planów przekształcenia się w spółkę akcyjną. Urzędnicy państwowi uznali, że stanie się to okazją do zakupu większo-

ną trzecią, co związane było z dekoninkturą. W okresach kryzysu gospodarczego, aby uniknąć jeszcze większych zwolnień, zmniejszono liczbę dni roboczych górników do dwóch lub trzech w tygodniu, odpowiednio obcinając ich pensje. Możliwość uzyskania pracy na dodatkowe zmiany była dodatkowym narzędziem nacisku czechizacyjnego.

W 1933 r. Preissowi udało się doprowadzić do sfinalizowania zakupu Kopalni Węgla Kamiennego Orłowa-Łazy (*Kamenouhelné doly Orlová-Łazy*) od wiedeńskiej rodziny Gutmannów przez należące do koncernu ŽB przedsię-

ści akcji przez koncern ŽB, a Preiss wraz z kilkoma innymi osobami narodowości czeskiej zapewniłby czeską większość w radzie zarządzającej. Ministerstwo Przemysłu, Handlu i Przedsiębiorczości zażądało od spółki zatrudniania wyłącznie czeskich robotników. W liście do Preissa przedstawiciel prawny firmy uznał, że masowe zwolnienia wszystkich polskich i niemieckich robotników nie są możliwe. Obiecał jednak przyjmować wyłącznie czeskich urzędników, dopóki nie dojdzie do wygodnego dla strony czeskiej wyrównania proporcji. W tym czasie wśród robotników firmy zdecydowanie przeważali Czesi. Polaków było tam stosunkowo niewiele.

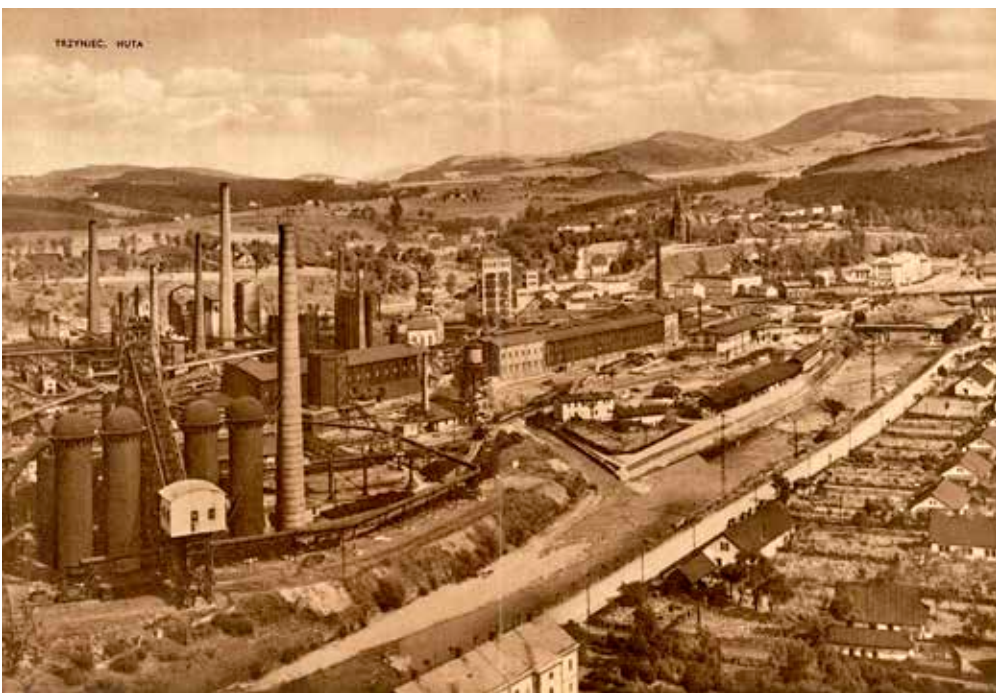
Planów resortu przemysłu i koncernu ŽB nie udało się sfinalizować, gdyż w następnych latach kopalnie wiedeńskich Rotschildów i Gutmannów znowu odnotowały zyski. Niedługo później firma przeszła w ręce towarzystwa ubezpieczeniowego Alliance Assurance Co. Ltd., należącego do banku londyńskich Rotschildów.

Na koniec tych rozważań o wpływach koncernu ŽB na Śląsku Cieszyńskim warto odnotować dwie inne inwestycje. W 1922 r. ŽB w ramach nostryfikacji uzyskała ważne udziały w meblarskiej spółce akcyjnej Mundus Jakub i Józef Kohn z Czeskiego Cieszyna, od 1923 r. będącej częścią spółki akcyjnej Thonet-Mundus z siedzibą w Brnie.

W 1922 r. w ramach nostryfikacji rafineria olejów mineralnych w Boguminie, dotychczas należąca do firmy z Budapesztu, została przeniesiona na nowo utworzoną spółkę akcyjną „Odra” na czele z Preissem. Dominujące udziały posiadał kapitał holenderski, ŽB była mniejszym udziałowcem. Chociaż wśród urzędników tego zakładu byli niemal sami Niemcy, wśród robotników przewagę posiadali Czesi. W 1930 r. zakład przeszedł w ręce spółki akcyjnej Zakłady Fanty (*Fantovy závody*) w Pardubicach, również z dominującym holenderskim kapitałem i drobnym udziałem ŽB.

Wpływ przedsiębiorstw na sytuację narodowościową dotyczył także kształcenia sztygarów. Polska Szkoła Górnicza w Dąbrowie, która starała się ukształtować polską elitę górniczą, została zamknięta w okresie konfliktu polsko-czeskiego po I wojnie światowej.

Polacy mieli możliwość kształcić się w Szkole Górniczej w Morawskiej Ostrawie, jednak wybór kandydatów spoczywał na przedsiębiorstwach, które wyznaczały ich spośród swoich młodych górników przejawiających zdolności do nauki. Zwiększony wpływ czeskiego kapitału i zatrudnianie czeskich inżynierów wpłynęło na kryteria doboru kandydatów. Jeszcze w roku szkolnym 1921/1922 naukę pobierało



Huta trzyniecka w okresie międzywojennym

w niej 145 Czechów, 37 Niemców i 17 Polaków, natomiast w roku szkolnym 1926/1927 było tam 102 Czechów, 1 Niemiec i 1 Polak. Ze względu na spadek zatrudnienia w górnictwie związany z kryzysem gospodarczym w latach 30. spadła ogólna liczba uczniów szkoły. W roku szkolnym 1933/1934 chodziło do niej tylko 15 Czechów i 4 Polaków. Z powodów ekonomicznych szansa na awans społeczny większej grupy Polaków w sektorze górnictwa dodatkowo się więc oddalała.

* * *

Jaroslav Preiss podejmował w swoim koncernie liczne działania służące wzmocnieniu wpływów przedstawicieli narodowości czeskiej, kosztem Niemców. Był jednak przede wszystkim biznesmenem. Niejednokrotnie podejmował współpracę z firmami będącymi w rękach Niemców. Po objęciu władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera pozytywnie oceniał sytuację gospodarczą III Rzeszy. Zaczął też skłaniać się do poglądu, że należy pozyskać dla państwa czechosłowackiego Niemców sudetkich. Rozwój sytuacji politycznej okazał się dla niego zaskakujący. W 1938 r. po konferencji monachijskiej tereny zamieszkiwanego przez Niemców pogranicza zostały przyłączone do III Rzeszy, a w marcu 1939 r. pozostałe ziemie czeskie znalazły się pod niemiecką okupacją i zostały przekształcone w Protektorat Czech i Moraw.

Udziały ŻB w przedsiębiorstwach górniczych w Sudetach musiały zostać sprzedane niemieckim kontrahentom poniżej ceny, za którą zostały zakupione.

W październiku 1938 r. doszło też do zajęcia przez Polskę Zaolzia. Należące do Spółki Górniczej i Hutniczej kopalnie i fabryki w Karwinie, Trzyńcu, Pietwałdzie i Boguminie znalazły się tym samym w granicach Rzeczypospolitej i wprowadzono w nich zarząd komisaryczny. Wiosną 1939 r. na ich bazie powstało nowe przedsiębiorstwo – Spółka Górniczo-Hutnicza Karwina-Trzyniec S.A. z siedzibą w Cieszynie. Chociaż już wcześniej licznie zwalniano czeskich pracowników, część specjalistów została, a niektórych ponownie przyjęto. Po ataku hitlerowskich Niemiec na Polskę w 1939 r. przedsiębiorstwo znalazło się pod kontrolą Niemców. W czasie wojny niemieckie banki wykupiły udziały francuskiego Schneider-Creusot, a w rękach ŻB pozostały mniejszościowe udziały. Po zakończeniu wojny w 1945 r. i ponownym przyłączeniu Zaolzia do Czechosłowacji zakłady należące do spółki, podobnie jak inne wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, zostały upaństwowione. Ten sam los spotkał sektor bankowy, w tym ŻB.

Jaroslav Preiss nie był już wtedy aktywny zawodowo. Z funkcji dyrektora generalnego ŻB odszedł w 1938 r., a z przewodnictwa w radzie zarządzającej zrezygnował w 1942 r. Po zakończeniu wojny był dwukrotnie aresztowany ze względu na oskarżenia o kolaborację. Prawdziwą przyczyną była nienawiść komunistów do wielkiego kapitału. Zmarł 29 kwietnia 1946 r., trzy dni po wyjściu na wolność. Wraz z nim odchodziła epoka nacjonalizmu gospodarczego, którego był uosobieniem. Beran i Kruliš-Randa zmarli w komunistycznych więzieniach w latach 50.

Działania asymilacyjne wobec robotników przemysłowych na Śląsku Cieszyńskim w okresie międzywojennym odbywałyby się także bez udziału Preissa, czego dowodziła praktyka również w innych przedsiębiorstwach regionu. Jego inicjatywa miała jednak duży wpływ na skuteczne powiększenie znaczenia czeskiego biznesu nie tylko w skali regionu, ale kraju. Jeszcze w okresie międzywojennym, na zarzuty o luksusowy styl życia i nadmiernie wysoką pensję, kontrastującą z trudami życia robotników pracujących dla jego koncernu, odpowiadał, że jego dochody są nagrodą za to, że umożliwił „opanowanie naszej gospodarki przez naszych ludzi”.

Autor jest pracownikiem Katedry Studiów Interkulturowych Europy Środkowo-Wschodniej na Uniwersytecie Warszawskim.

Więcej o polityce narodowościowej w książce autora pt. *Polityka narodowościowa państwa na czechosłowackim Śląsku Cieszyńskim w latach 1920-1938*, Warszawa 2020.

O Jaroslavie Preissie zob. Pavel Kosatík, *Bankéř první republiky: život dr. Jaroslava Preisse*, Praha 2010.

JANA RACLAVSKÁ

Paweł Stalmach

– dziennikarz, działacz narodowy, pisarz



Paweł Stalmach

Paweł Stalmach (13. 8. 1824 – 13. 11. 1891) znany jest jako działacz społeczny i narodowy, współzałożyciel „Tygodnika Cieszyńskiego” (od 1851 r. wychodzącego pod nazwą „Gwiazdka Cieszyńska”), pierwszego pisma polskiego na Śląsku Cieszyńskim. Stalmach był założycielem wielu organizacji narodowych: Towarzystwa Uczących się Języka Polskiego w Gimnazjum Ewangelickim w Cieszynie, Czytelni Polskiej, Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego i innych. Był autorem licznych artykułów prasowych, ale pisał też prace słowianoznawcze („Zbiór pieśni polskich i słowiańskich”; „Księgi Rodu Słowiańskiego”)

oraz tworzył literaturę piękną – sztukę sceniczną „Cieszymir” oraz poemat „Bój na Dobropolu”.

„Tygodnik Cieszyński”, pierwsze czasopismo wychodzące na Śląsku Cieszyńskim, nieodłącznie związane jest z osobami Pawła Stalmacha i Andrzeja Cinciały. Nie była to jednak jedyna inicjatywa tych dwu ludzi. Wzięli na siebie wiele innych

zadań, bo i pora była sprzyjająca do uświadamiania mieszkańcom ich przynależności narodowej. Wydarzenia Wiosny Ludów 1848 r. wywołały potrzebę zakładania towarzystw, związków, udziału w wydarzeniach politycznych oraz kulturalnych i wszędzie tam widniało nazwisko Pawła Stalmacha.

„Widzę go jeszcze dzisiaj dokładnie” – wspominał Jan Kubisz w „Pamiętniku staro nauczyciela”. „Twarz zdrowa, o drobnych rysach, smagława, włos ciemny, zaczesany w górę, spadający mu aż do ramion prawie, założony za uszy. Ruchy prędkie, ręce niespokojne, jakoby były w ciągłej robocie”. Tak zapamiętał go młody wówczas Kubisz podczas przedstawień teatru amatorskiego w Czytelni Ludowej w Cieszynie. Paweł Stalmach aktywnie udzielał się w ruchu teatralnym. Sam organizował przedstawienia w ramach działalności Czytelni Ludowej. Twierdził, że słowo mówione dociera do większej liczby odbiorców niż pisane. Rozumiał, że teatr jest jednym z ważnych ogniw pracy narodowej. Zabiegał więc bardzo o zebranie grupki chętnych do grania na scenie. Sam podejmował się niejednokrotnie reżyserii i był też sufletem. Pierwsze przedstawienie amatorskie w Cieszynie w Sali Redutowej odbyło się 20 grudnia 1852 roku. Wystawiono wtedy sztukę sceniczną Ludwika Anczyca: „Chłopi arystokraci”. W swoim „Pamiętniku” Stalmach tak wspomina owo wydarzenie:

„Na wiadomość, że będzie polski teatr, poprzyjeżdżali nawet włościanie z okolic o parę mil odległych i sala była napchana, a amatorowie odbierali oklaski niesłychane. (...) „Chłopi arystokraci” tak się podobałi, że przedstawienie ich musiano powtórzyć d. 2. Stycznia 1853, i udało się z równym powodzeniem”.



Grupa amatorów Czytelni Ludowej w Cieszynie (ok.1873 r.)

W repertuarze teatru amatorskiego Czytelni pojawiły się m. in. sztuki Ludwika Adama Dmuszewskiego „Szkoda wąsów”, Józefa Korzeniowskiego „Fabrykant” czy Jana Nepomucena Kamińskiego „Kominiarz i młynarz”. Oprócz przedstawień polskich wystawiane były również niemieckie, ale na podstawie relacji „Pamiętnika” Stalmacha nie cieszyły się taką samą popularnością jak polskie. Stan ten komentuje sam Stalmach następująco:

„Ponieważ polscy amatorowie więcej zyskiwali oklasków, Niemieczy zazdrościli im i przypisywali to mojemu suflerstwu, zaczęli nie chcieli grać, jak pod warunkiem, że im także zastąpię suflera. Przyjąłem ten obowiązek i spełniałem go rzetelnie, ale nie wiele im to pomogło. Przyczyną większego powodzenia amatorów polskich było to, co w ogóle przyznaje się Polakom, porównując ich z Francuzami, to jest, że u nich większa gładkość i układność w obejściu”.

Pomimo tego, że Paweł Stalmach poświęcał się głównie dziennikarstwu i pracy narodowej na rzecz społeczności polskiej na Śląsku Cieszyńskim, miał również wizję wzajemnego zbliżenia się narodów słowiańskich, dążył do popularyzacji ich kultur i wyrzeczenia się odwiecznych animozji. Myśli takie nasuwały mu się już w trakcie studiów w Bratysławie i Wiedniu, gdzie zaznajomił się i zaprzyjaźnił z wieloma reprezentantami innych nacji, zwłaszcza Słowian. Studiował ich historię, literaturę, folklor. Podziwiał eposy rycerskie i sam też podjął się napisania podobnego tekstu. W roku 1847 powstał epos pt. „Bój na Dobropolu”. Jako gatunek literacki posłużyły mu śpiewy bohaterskie Serbów i, jak sam przyznaje, treść przejął z kroniki Polski Jana Długosza. Utwór opiewa bohaterską walkę z najeźdźcami mongolskimi i śmierć księcia śląskiego Henryka II Pobożnego w bitwie w 1241 roku. Z historii znamy to wydarzenie częściej pod nazwą bitwa pod Legnicą.

Stalmach rozpoczyna swój poemat następująco:

*Mocny Boże! Coś w tym świecie grozi,
Iż tak ciężka trwoga twój lud mrozi?
Czy mór? Czy głód? czy się ziemia pęka?
Tak się srodze lud chrześcijański lęka!
Ojczy nasz! czy za niezgodę braci
Niebo twoje ostrym sądem płaci?*

*To nie mór, nie głód, ni rozpęk ziemi;
Ale wojna ze ślady krwawemi!
Wojna straszna z okrutnością twarzy:
Z krajów dzikich dziwocy Tatarzy.*



Bitwa pod Legnicą (Legenda o św. Jadwidze)

Po wprowadzeniu do akcji rozpoczyna autor barwny opis przygotowań do walki cieszyńskiego księcia Mieczysława, który deklaruje pomoc Henrykowi, księciu Śląska, starając się siłami zbrojnymi zatrzymać mongolski pochód. Nie udaje mu się jednak zwyciężyć i Mongołowie (nazywani przez Stalmacha Tatarami) posuwają się dalej na zachód w stronę Wrocławia. Henryk podejmuje decydującą bitwę niedaleko Legnicy w miejscowości Dobre Pole.

Autor w zgodzie z formą poematu rycerskiego prezentuje bogobojność Henryka i całej jego rodziny, jak również bohaterską decyzję o podjęciu walki z niewiernymi w imię Boga. Żegna się ze swą matką Jadwigą:

*Matko! Straszna jest to groźba wroga!
Moja wola jest iść w imię Boga,
A na Dobropolu wszcząć walczenie:
Ciebie błagam o błogosławienie!*

Podobnie przemawia do żony, księżnej Anny:

*Księżno Anno, żono ukochana!
W tobie była mi pociecha dana,
W tobie mam ród i potomstwo dzieciak,*

Za cię chcę aż po życia ostatek,
I za dziatki, i za naród stale
Walczyć... Walczyć i ku Bożej chwale!

Przed odjazdem na pole bitwy odbywa się ceremonia przypasania miecza, wsiadania na konia, barwnie ilustrowana jest zbroja i odzienie księcia, wspaniale prezentuje się wojsko przygotowane do drogi. Kobiety są integralną częścią tego ceremoniału, zapewniają przychylność Boga przez modlitwy i prośby.

Wszyscy męże poszli walczyć w bitwach,
Księżne same trwają na modlitwach:
(...)
Na modlitwach minął już dzień długi;
Przeszła noc, a znów ten sam czas drugi:
Z Dobropola nie dosłyszeć postą;
Ludzka dusza wieści nie doniosła.



Strona tytułowa książki:
Cieszmir, Bój na Dobropolu

Trzeciego dnia otrzymują kobiety wiadomość przyniesioną z pola bitwy przez rycerza Jana Janowicza. Ciężko ranny rycerz relacjonuje przebieg krwawej i zakończonej klęską bitwy, w której ginie również książę Henryk. Interesujące jest, że Stalmach cytuje polskie zdanie wypowiedziane w tej właśnie bitwie przez Henryka znajdujące się u Długosza, czasami też przytaczane jako pierwsze zapisane polskie zdanie:

Widząc książę Heryk co się działo,
Rzekł: Gorzéj się stało!... (podkr. J.R.)

Można zadać sobie pytanie: czy ów poemat miał być tylko „ćwiczeniem stylistycznym”, czy Stalmach miał jakąś głębszą ideę towarzyszącą temu tematowi? Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że eposy rycerskie były gatunkiem lite-

rackim typowym dla średniowiecza, to pewnego rodzaju „uświatnienie” dziejów Śląska i zasług w obronie przed nieprzyjacielem w trudnych czasach mogło nawiązywać do potrzeby zjednoczenia sił przeciwko narastającej germanizacji na Śląsku Cieszyńskim. Sławne dzieje miały zapewnić poczucie dumy narodowej Cieszynian i potwierdzić ich dawną bytność na tych terenach.

Podobną rolę prawdopodobnie miała spełnić również sztuka sceniczna „Cieszmir”, chociaż tutaj dochodził jeszcze ten aspekt, że można było ją wystawić na scenie, dzięki czemu docierała do szerszego grona odbiorców. Śpiewogra, jak określił ją Stalmach, powstała z okazji legendarnej 1080 rocznicy założenia Cieszyna. We wstępie do sztuki Stalmach rozpisuje się szeroko na temat dawnej świetnej historii Śląska Cieszyńskiego. Sięga nawet do Tacyta, by wesprzeć swoje rozważania o jego autorytet naukowy:

Dawno przed mniemaném założeniem Cieszyna, bo w pierwszym wieku po nar. Chr., rzymski pisarz Tacyt umieszcza w tych stronach lud Gotynów, i powiada: „że ci Gotyni składali daniny Sarmatom i Kwadom, i co najsromotniejsza, że nawet żelazo kopią.” (...) – Mamy więc historyczne świadectwo o dawném osiedleniu tutejszej okolicy.

Stalmach interesował się dawną historią Słowian, ich językiem i zwyczajami. Spróbował więc stworzyć pewne tło historyczno-folklorystyczne do wątku o trzech braciach. Swoją myśl pisarską tłumaczy następująco:

W pierwszej odśtonie dany jest obrazek życia dawnych przodków naszych, w drugiej przedstawione zejście się trzech książąt polskich na tém miejscu; a w trzeciej zbratanie się przodków naszych z północnymi Polanami i poblížszemi Lechami chyli Lachami, uwieńczone poślubinami małżeńskimi.

Autor zasadniczo trzyma się wątku legendy o trzech braciach: Leszku, Cieszku i Bolku, którzy szczęśliwie spotkali się nad źródłem. Stanowi to również punkt kulminacyjny całego przedstawienia, uzupełniony przez autora o wspólną radość z miejscowymi.

Cieszmir i Leszko (razem)

Niespodziane, cudowne spotkanie!

/: Bogom za to bądź podziękowanie! :/

(...)

Miejscowi (do Leszka i Cieszymira)

Gdy was, przyjaciele, rząd boski prowadzi,

/: Jesteśmy wam szczerze i serdecznie radzi. : /



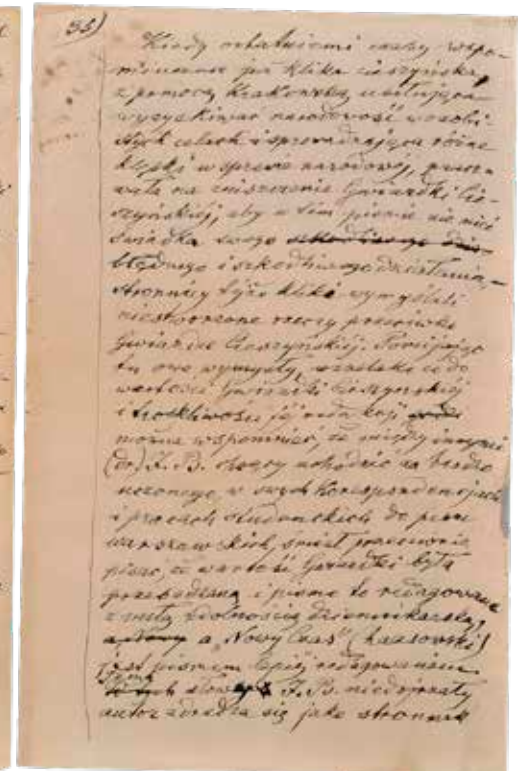
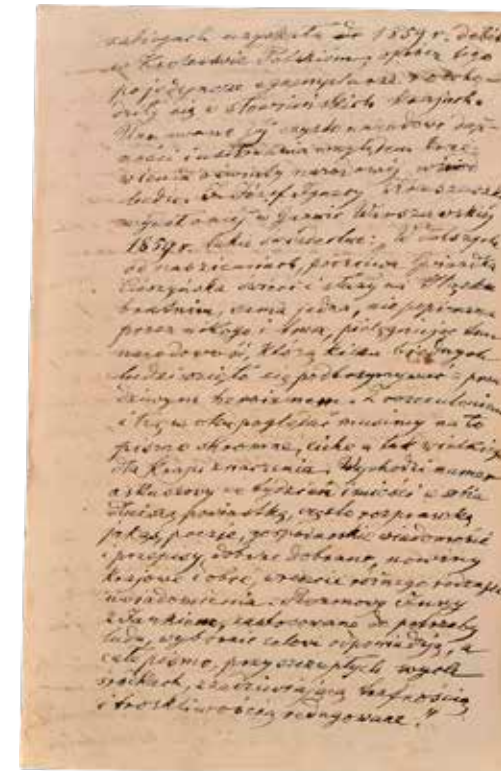
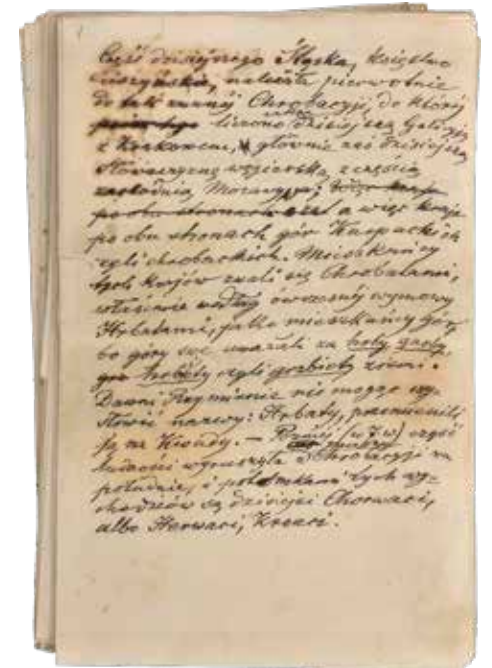
Studnia Trzech Braci w Cieszynie

Wiele miejsca w dziele zajmują monologi postaci, opowiadania, śpiewy, obrzędy i związane z nimi czynności, które znacznie spowalniają tok akcji. Również zakończenie będące zaślubinami miejscowej dziewczyny Ludmiły z Cieszymirem, księciem Polan, oraz Dobromiły z Władysławem, księciem Lachów, wybrzmiewa jako wezwanie do przymierza okolicznych rodów. Stalmach niezwykle mocno podkreśla konieczność budowania wspólnoty słowiańskiej, co nie dziwi w wypadku autora zbiorów pieśni słowiańskich i historycznej pracy „Księgi Rodu Słowiańskiego”. Niestety, ciągle powtarzające się morały odebrały sztuce dynamikę, a przydługie monologi też nie wpłynęły dodatnio na jej walory. Stalmach, który chciał przede wszystkim upowszechnić legendę o Studni Trzech Braci, nie spełnił zamierzonego celu i śpiewogra „Cieszymir” pozostała wyłącznie niewielkim rozdziałem w jego bogatej działalności.

Pomimo tego, że powyższe utwory nie przyniosły Stalmachowi rozgłosu, to jego publicystyka, praca redaktora „Tygodnika Cieszyńskiego” i późniejszej „Gwiazdki

Cieszyńskiej”, działalność narodowo-społeczna czyni z niego wielce zasłużoną postać dla polskości Śląska Cieszyńskiego. O wielkim poważaniu, jakim się cieszył, świadczą słowa Jana Kubisza. Oddajmy mu ponownie głos:

„Stalmach zażywał respektu i poważania w tem gronie jako człowiek i jako dziennikarz. Prasa jest potęgą, która swym wpływem hipnotyzuje społeczeństwo, a dziennikarz – wielki człowiek. Trzeba prasę szczerze narodową (nie stojącą pod wpływem żydowskim, służącą do szerzenia rozkładu i demoralizacji wśród społeczeństwa), trzeba ją pojmować jako awangardę narodu.”



Fragmety „Pamiętnika” Pawła Stalmacha (ze zbiorów Książnicy Cieszyńskiej)

IRENA PRENGEL ADAMCZYK

Historia Stolika Cieszyńskiego

Kiedy w latach 80. XX wieku wpadła mi do ręki pocztówka przedstawiająca stolik z ekspozycji w zamku rodziny Breteuil z podpisem *La table de Teschen*, zaczęłam szperać, o co tu chodzi z tym Cieszynem. Przecież w Cieszynie nigdy takich mebli z taką dekoracją nie wykonywano. Dla młodych czytelników może wydać się to dziwne, że nie zaczęłam od sprawdzenia w internecie, ale wtedy nawet nie mówiło się o tym cudzie techniki, zwłaszcza za żelazną kurtyną. Tak więc stolik przez kilka lat pozostał dla mnie tajemnicą. Kiedy wreszcie otwarto granice, pojawił się internet i dostęp do informacji stał się znacznie łatwiejszy, wróciłam do tematu „francuskiego” stolika. Udało mi się dotrzeć do pewnych informacji, ale ciągle za mało wiedziałam na ten temat. Napisałam więc do rodziny baronów de Breteuil list, informując ich również o tym, że w zbiorach Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie znajduje się portret ich przodka. Otrzymałam bardzo miłą odpowiedź od pani Severine le Tonnelier de Breteuil (1943-2009), w której m.in. napisała ona, że zwiedzającym zamek codziennie opowiadają historię stolika z Cieszyna. Myślę, że wszyscy chętnie przeczytają niezwykłą historię tego wspaniałego dzieła sztuki jubilerskiej. Zaczniemy więc od początku.

Wojna prusko-austriacka i pokój cieszyński

Konflikt pomiędzy Austrią a Prusami, który wybuchł w 1740 roku, miał kilka przyczyn – roszczenia dynastyczne, ambicje króla Prus Fryderyka II (1712-1786), żeby dorównać wielkością monarchii Habsburgów, a jeden powód wydać się może na pozór błaży – wstąpienie na tron austriacki kobiety, Marii Teresy (1717-1780), która po śmierci ojca, cesarza Karola VI, na mocy jego sankcji pragmatycznej przejęła wraz z mężem Franciszkiem I Lotaryńskim (1708-1765) władzę w państwie, później dzieliła ją z synem Józefem II. Między innymi ta sytuacja była dla króla Prus Fryderyka II Wielkiego, który wraz z sojusznikami próbował podbić tereny przynależące



Stolik Cieszyński, J.Ch.Neubert, Drezno, 1779 r., z: Breteuil, english edition, 2001 r.



Louis Auguste baron de Breteuil,
J.D.Donat, Wiedeń, po 1779 r., własność MŚC

Książę Mikołaj Wasiljewicz Repnin,
J.D.Donat, Wiedeń, po 1779 r., własność MŚC

do monarchii habsburskiej, nie do przyjęcia. Obie strony miały swoich zbrojnych i politycznych sprzymierzeńców, m.in. Rosję, Francję, Hiszpanię. Obie strony poniosły wielkie straty w ciągu trwających 40 lat, z małymi przerwami, wojen. Ziemia, na których toczono walki i te, które były na zmianę zajmowane przez wojska obu walczących z sobą stron, były niszczone, grabione, niemałe były też straty w ludziach. Prusy przyłączyły do swojego państwa prawie cały Śląsk i ziemię kłodzką, z wyjątkiem Śląska Cieszyńskiego, Karniowskiego i Opawskiego. Ostatni konflikt prusko-austriacki w osiemnastowiecznej Europie wybuchł po śmierci elektora bawarskiego Maksymiliana Józefa w grudniu 1777 roku. Oba mocarstwa rościły sobie prawa do terytoriów po zmarłym. W związku z tym, że strony nie były w stanie znaleźć idealnego rozwiązania, Fryderyk II wysłał swoje wojska na Morawy, a Józef II próbował odbić utracone ziemie śląskie. Ostatecznie konflikt zakończył się bez większego rozlewu krwi, ale przemarsze wojsk narażały cywilną ludność na grabieże, głód i zniszczenia. Obie strony uznały konflikt za niepotrzebny i przyznały, że należy zasiąść do rozmów pokojowych. Po wstępnych pertraktacjach na miejsce nadające się najlepiej do podpisania ugody wybrano Cieszyn, jako: „...nudne prowincjonalne miasteczko, w którym dyplomaci szybko się ugodzą...”. Do Cieszyna zjechali więc przedstawiciele państw uczestniczących w konflikcie: hrabia Friedrich Zinzendorf z Saksonii, hrabia Anton Seefeld z Palatynatu,



Grafika alegoryczna pokoju cieszyńskiego, J.I.Huber, Augsburg, po 1779 r., własność MŚC

hrabia Johann Philipp Cobenzl z Austrii, baron Johann Herrmann Riedesel z Prus i baron Christian Hofenfels z księstwa Zweibrücken oraz reprezentanci gwarantów pokoju, carycy rosyjskiej Katarzyny II Wielkiej – książę Mikołaj Wasiljewicz Repnin wybrany przez Prusy oraz ze strony austriackiej poseł króla Francji Ludwika XVI – Louis Auguste baron de Breteuil. Obrady rozpoczęto w marcu 1779 roku, do podpisania układu pokojowego doszło 13 maja 1779 roku, w dniu urodzin cesarzowej Marii Teresy, w sali Sejmu Ziemskiego w Cieszynie. Na cześć przebywających w Cieszynie gości zorganizowano wielki bal, który odbył się w ogrodach przylegających do późniejszego budynku Laryschów (obecnie Muzeum Śląska Cieszyńskiego). Dla upamiętnienia tego wydarzenia wiedeński portrecista Johann Daniel Donat wykonał portrety posłów, które pierwotnie wisiły w budynku Sejmu Ziemskiego, później w cieszyńskim ratuszu, a obecnie są własnością Muzeum Śląska Cieszyńskiego i uświetniają jego ekspozycję. Z okazji podpisania pokoju zostały wybite specjalne medale, wydrukowano broszurki, mapy i alegoryczne grafiki. Wszystkie te pamiątki można oglądać w cieszyńskim muzeum.

Rodzina de Breteuil i jej włości

W miejscowości Choisel, oddalonej 35 km od Paryża i 20 km od Wersalu, na terenie regionalnego parku przyrody Vallée de Chevreuse, wznosi się barokowy zamek wybudowany około 1600 roku. Otoczony parkiem w stylu francuskim i angielskim, został zbudowany na fundamentach pierwotnego warownego zamku. Jego właścicielami od ponad 400 lat są członkowie rodziny Tonnelier de Breteuil, słynni dyplomaci, politycy i przedstawiciele życia kulturalnego Francji. Oprócz znanych męskich członków tej rodziny, ambasadorów i ministrów wojny, na uwagę zasługują również kobiety, chociażby Gabrielle Émilie le Tonnelier de Breteuil (1706-1749), znana pod nazwiskiem męża, Châtelet, która należała do nielicznych kobiet-



Medal pokoju cieszyńskiego, awers i rewers, J.N.Wirt, 1779 r., Austria, własność MŚC

-uczonych żyjących w XVIII wieku. Zajmowała się matematyką i fizyką, była jedną z twórczyń zasady zachowania energii, stworzyła wzór na obliczanie energii kinetycznej. Była również pisarką i przyjaciółką Voltaire'a.

Jedną z najwybitniejszych postaci rodziny był Louis Charles Auguste le Tonnelier, baron de Breteuil (1730-1807). Już jako młody, bo dwudziestoosmioletni człowiek pełnił funkcje dyplomatyczne, reprezentując króla Ludwika XV w Kolonii, później w Petersburgu i Sztokholmie, zaś Ludwika XVI w Wiedniu i Neapolu. W 1783 roku został mianowany sekretarzem stanu do spraw domu królewskiego (Secrétaire d'État à la Maison du Roi), a tuż przed wybuchem rewolucji francuskiej głównym ministrem. Jako emigrant osiadł w Szwajcarii nadal pełniąc instrukcje króla. Po ścięciu Ludwika XVI wycofał się z życia publicznego i osiadł w pobliżu Hamburga. Do Francji powrócił dopiero w 1802 roku. Również współcześnie żyjący członkowie rodziny Tonnelier de Breteuil aktywnie uczestniczą w życiu politycznym i kulturalnym Francji.

Od lat niezamieszkały i niszczący zamek został wyremontowany i w 1973 roku nadano mu tytuł zabytku kultury francuskiej. Swoją teraźniejszą świetność zawdzięcza obecnemu właścicielowi, Henri-Francois'owi le Tonnelier, markizowi de Breteuil (1943) i jego żonie Séverine Gabrielle. Wśród zabytkowych mebli, obrazów i licznych bibelotów znajdują się w nim figury woskowe przedstawiające postacie związane z historią zamku, a także postacie bajkowe, m.in. Kota w butach czy Czerwonego Kapturka. W zamku i parku organizowane są różne imprezy, na przykład bajkowy bal.

Oczywiście honorowe miejsce wśród dzieł sztuki zajmuje, czy właściwie zajmował – chociaż nie ubiegamy historii – Stolik Cieszyński.



Zamek de Breteuil, z: Breteuil, english edition, 2001 r.

Stolik Cieszyński i jego wędrowka

Kiedy w 1779 roku do Cieszyna przybył poseł króla Francji Ludwika XVI, Louis Auguste baron de Breteuil, nie przypuszczał on, że w drodze powrotnej przez Wiedeń do Paryża powiezie z sobą nie byle jaki mebelek. W podziękowaniu za pośredniczenie w podpisaniu ugody pokojowej, w imieniu króla pruskiego, został obdarowany stolikiem wykonanym przez niemieckiego złotnika działającego w Dreźnie, Johanna Christiana Neuberta (1735-1808). Ten znakomity artysta wsławił się przede wszystkim jako autor niewielkich mebli i bibelotów, które wyróżniały się bogatą inkrustacją z kamieni szlachetnych i półszlachetnych, pereł, masy perłowej i porcelany. Jego specjalnością były zdobione złotem tabakiery, które często wręczano jako królewskie prezenty. Stolik Cieszyński został wykonany techniką Pietra Dura – to technika inkrustacji polegająca na użyciu ciętych, szlifowanych i polerowanych kolorowych kamieni. Szkielec mebla o wysokości 81,5 cm i długości owalnego blatu 70,5 cm tworzy drewno, dekoracyjne elementy wykonano z połączanego brązu, kamieni półszlachetnych z Rudaw (Erzgebirge – Krušné hory) i porcelany miśnieńskiej – wszystkie te elementy miały prezentować bogactwo naturalne i rzemieślnicze Saksonii. Każdy ze 128 kamieni osadzonych w blacie i nóż-

kach stolika został opatrzony numerem. Do mebla dołączono broszurę z datą 1780, przechowywaną w specjalnej wewnętrznej szufladzie, która identyfikuje każdy z kamieni i miejsce jego pochodzenia. Błat zdobi też pięć medalionów z porcelany miśnieńskiej z alegorycznymi przedstawieniami pokoju cieszyńskiego. Stolik w 2010 roku otrzymał status francuskiego *trésor national* (obiekt sztuki o znaczeniu narodowym). Zabytek ten przez ponad 200 lat był chlubą zamku Breteuil. Jednak utrzymanie tak wielkiego obiektu oraz otaczającego go parku wymaga ogromnych wydatków, dlatego właściciele postanowili spieniężyć któreś z dzieł sztuki i los padł na... Stolik Cieszyński.

Luwru

W 2014 roku podjęto pierwsze rozmowy z pracownikami Luwru, do spisania umowy doszło 2015 roku, a „nasz stolik” odbył podróż do Paryża 2 marca 2016 roku. Do inwentarza muzeum został wpisany 4 kwietnia 2016 roku. Oczywiście jego przybycie do Luwru poprzedzała akcja tzw. sponsoringu, bo kwota wyceny jego wartości była niebagatelna – 12,5 miliona EUR. W apelu do społeczeństwa o hojność podkreślano niezwykłą wartość historyczną i artystyczną Stolika Cieszyńskiego jako arcydzieła XVIII-wiecznej sztuki dekoracyjnej i pomnika upamiętniającego kluczowy moment w historii Europy.

Od kilku lat „nasz stolik” uświetnia ekspozycję w Luwrze, a w zamku Breteuil znajduje się jego wierna kopia wykonana już współczesnymi technikami cięcia laserem.



Błat Stolika, J.Ch.Neubert, Drezno, 1779 r., z: Breteuil, english edition, 2001 r.

Na zakończenie jeszcze drobna ciekawostka: w 1779 roku w Cieszynie obdarowano nie tylko posła francuskiego, ale również rosyjskiego. Książę Repnin otrzymał serwis z porcelany miśnieńskiej składający się z kilkuset elementów oraz siedmiu porcelanowych figurek alegorycznych osadzonych na postumentach wykonanych przez Neuberta. Do dzisiaj zachowały się niestety tylko dwie.

Żeby zobaczyć Stolik Cieszyński, trzeba pojechać aż do Paryża, jednak bliżej, bo w cieszyńskim muzeum, znajdują się inne pamiątki dotyczące pokoju cieszyńskiego i wiele niezwykle ciekawych eksponatów. Zapraszam więc do zwiedzenia Muzeum Śląska Cieszyńskiego.

EWA RYŁKO

Historia alfabetu łacińskiego

Dzisiaj odbieramy pismo jako rzecz zupełnie oczywistą, nie uświadamiając sobie, że to właśnie pismo dało ludzkości historię. Historia alfabetu łacińskiego jest więc nie tylko historią pisma, ale historią naszej cywilizacji.

Słowo pisane ma bowiem ogromną moc: dzięki niemu możemy poznać przeszłość, studiować gwiazdy, napisać wiersz, wyrazić nasze myśli, a nawet pozwala ono zmarłym mówić: zapisując swoje imię, stajemy się w pewnym sensie nieśmiertelni.

Byłoby wielkim uproszczeniem stwierdzić, że pismo łacińskie powstało w starożytnym Rzymie. Pismo przejęli Rzymianie od Etrusków, a Etruskowie od Fenicjan. Początkowo alfabet miał 21 liter, lecz ze względu na fonetyczne właściwości języka, stopniowo dodawano kolejne litery (G, J, U, W, Y). Obecnie mamy 26 znaków podstawowych, a w różnych językach używane są nowe znaki poprzez modyfikację znaków już istniejących.

Na przeciągu wieków pismo ulegało różnym zmianom. Na ile sposobów można napisać jedną łacińską literkę? Pism było mnóstwo, nie sposób tutaj wymienić wszystkich, ale przyjrzymy się tym najciekawszym, które miały największy i najszerszy wpływ na pismo, którym posługujemy się dzisiaj.

Pisma starożytnego Rzymu

Jednym z najpiękniejszych pism ze względu na symetryczność, prostotę, lekkość i harmonijność kształtów jest kapitała rzymska. Uznawana jest ona przez kaligrafów za jedno z najtrudniejszych pism do odwzorowania. Stanowi również wzór dla liter późniejszych. Do dziś możemy je podziwiać na kolumnie Trajana, która należy do najbardziej fascynujących zabytków Rzymu. Litery te najprawdopodobniej najpierw malowano pędzlem na kamieniu, a potem ryto dłutem. Nie są one idealnie równiuseńkie, matematycznie obliczalne, tak jak je później przedstawiano w renesansie, ale za to wydają się bardziej żywe.

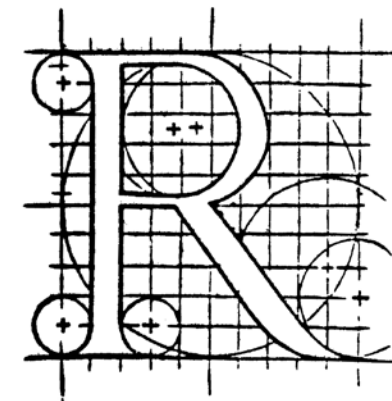
W starożytnym Rzymie spora część społeczeństwa była piśmienna. Do pisania zwykłych notatek, listów czy rachunków używano starszej kursywy rzymskiej. Nazwa „kursywa” kojarzy nam się dzisiaj z pismem pochyłym, ale pierwotnie oznaczała pi-



Rzymska kapitała, inskrypcja na kolumnie Trajana, 113 r.

smo szybkie, przeznaczone do codziennego użytku. Pisano na papirusie, który był w tamtym czasie łatwo dostępnym materiałem, gdyż importowano go z Egiptu. Do pisania używano calamusa – zaostrego „pióra” z trzciny cukrowej. Po papirusie, który był w miarę tanim materiałem, pisało się szybko i gładko, tak więc w tym czasie powstawało sporo ksiąg, które pisano na zwojach. Rzymianie dysponowali również bibliotekami, dlatego książki były szeroko dostępne. Wszystko to jednak zależało od dostępności papirusu.

Po rozpadzie Cesarstwa Rzymskiego handel z Egiptem okazał się trudny, co miało ogromny wpływ na sposób pisania w Europie. Kiedy z rynku znika papirus, znika również książka, która była tania i powszechnie dostępna. Europa znalazła sobie nowy, o wiele droższy materiał, na którym zaczęła pisać.



Renesansowe próby matematycznego przedstawiania liter

Produkcja manuskryptów

Cokolwiek było związane z pismem, produkcją ksiąg, przeniosło się w średniowieczu do klasztorów. W różnych miejscach w Europie powstawały skryptoria. Zwykły człowiek nie miał zielonego pojęcia o czytaniu. Zaczęto używać nowego materiału do pisania – pergaminu. Pergamin to specjalnie przygotowana skóra zwierzęca, a jego produkcja wcale nie była łatwa. Klasztory, w których były skryptoria, musiały więc posiadać swoje stada zwierząt. Za najlepszy uchodził pergamin cielęcy, ale używano również pergaminu koziego i owczego. Najpierw skórę namaczano przez kilka dni w wodzie wapiennej, potem ją czyszczono i naciągano na specjalne ramy, mocno rozciągając, i ponownie czyszczono. Na pergaminie można było pisać z obu stron i go składać – powstawały więc kodeksy, które miały już kształt nowoczesnej książki. Wielkość kodeksu oczywiście zależała od wielkości zwierzęcia. Najwięk-



Ewangeliarz Ottona III, ok. 1000 r., okładka

szy zachowany Kodeks Gigas pochodzi z XIII wieku. Napisany został w klasztorze czeskich benedyktynów. Mierzy on 91 cm wysokości, 55 cm szerokości i 22 cm grubości. Cały rękopis waży aż 75 kg! Do jego przepisania zużyto 160 skór cielęcych. Podejrzewa się, że jest to dzieło jednego mnicha, który poświęcił mu około 20 lat swego życia.

Znane są również maleńkie modlitewniki i książki podróżnicze, które wykonywane były z pergaminu z bardzo młodych, ledwie co narodzonych zwierząt.

Mając dzisiaj wszędzie dostępny papier, wydaje nam się, że używanie skóry zwierzęcej do produkcji rękopisów było aktem brutalnym. Trzeba sobie jednak uświadomić, że pergamin w odróżnieniu od papirusu był materiałem bardzo trwałym, prawie niezniszczalnym i że to właśnie dzięki niemu znamy dzieła starożytnych filozofów i historię naszej cywilizacji. Na pergaminie pisano nowym narzędziem – gęsim piórem, które rządziło aż do XIX wieku. Atrament był przyrządzany z galasów – narośli na liściach dębowych – z dodatkiem wina, wody czy też octu

z domieszką gumi arabskiej. Po pergaminie pisało się jednak o wiele wolniej aniżeli po papirusie. Szacuje się, że średniowieczny skryba był w stanie napisać dwie strony dziennie. Pracowano bowiem tylko od wschodu do zachodu słońca, gdyż świece – z oczywistych powodów – były w skryptoriach zakazane. Skryba w jednej ręce trzymał pióro, a w drugiej nożyk, który służył do zeskrobania błędu i przycinania końcówki pióra.

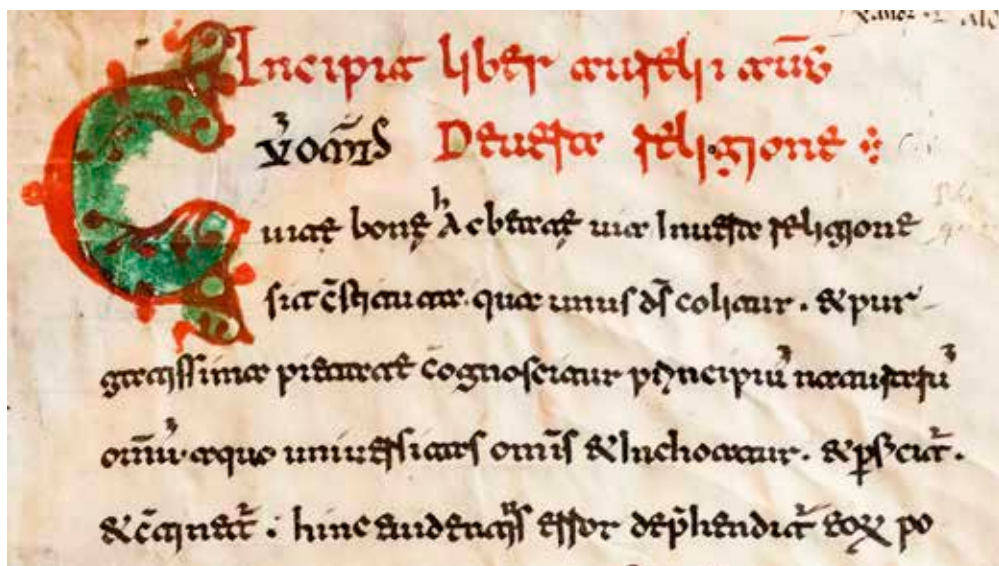
Przepisywany tekst był również zdobiony. We wczesnym średniowieczu przepisywaniem i ozdabianiem zajmowała się jedna i ta sama osoba. Najprostszym sposobem ozdabiania było pisanie wielkich liter czy też nadpisów czerwonym atramentem, czyli rubrowanie (z łac. *rubrum* – czerwień). Księgi były też często zdobione różnymi ilustracjami, a dokładniej mówiąc iluminacjami (z łac. *illumino* – oświetlam). Do najpiękniejszych rodzajów iluminacji należą floratury – zdobienia roślinne, bordiury – dekoracyjne obramowania czy drolerie – żartobliwe scenki rodzajowe cechujące się humorem i groteskową deformacją. Z czasem jednak zaczęły powstawać warsztaty rzemieślnicze, tak więc ktoś przepisywał tekst, ktoś zajmował się iluminacją, a jeszcze ktoś inny wykonywał oprawę. Najcenniejsze rękopisy otrzymywały oprawę jubilerską, wysadzano je nawet kamieniami szlachetnymi. Niewiele takich opraw zachowało się do dnia dzisiejszego, gdyż były one pożądanym łupem. Aby uchronić te najcenniejsze księgi, mocowano je łańcuchem do pulpitów – to tzw. *libri catenati*.

Książka była przedmiotem bardzo drogim, tylko osoby bardzo bogate mogły sobie pozwolić na jej zakup. Jedna książka kosztowała tyle, co porządny dom klasy średniej.

O ile piękne dzieła architektoniczne i malarskie możemy zobaczyć na własne oczy, o tyle najpiękniejsze iluminowane rękopisy pozostają ukryte w ciemnych pomieszczeniach, gdyż są one zbyt cenne, aby wystawiać je na światło dzienne. Nie znamy również imion osób, które je pisały. W średniowieczu zajęcie to wykonywano tylko dla chwały Boga, tak więc skryba zawsze pozostawał anonimowy.

Pisma średniowiecza

Okres rozprzestrzeniania się chrześcijaństwa związany jest z rozwojem pisma uncjalnego. Królowało ono od IV do X wieku. W tym czasie powstają liczne kościoły, w których potrzebne są święte księgi i pisma liturgiczne, dlatego też pismo uncjalne często nazywane jest pismem chrześcijańskim. W tym okresie wszelkie rękopisy powstają w klasztorach i opactwach. Liczba ludzi umiejących czytać i pisać dramatycznie spada; szacuje się, że we wczesnym średniowieczu tylko 1-2 procent ludzi było piśmiennych. Duże odległości między klasztorami i słaby przepływ wiedzy pomiędzy skryptoriami powoduje, że w Europie wykształcił się szereg pism



Beneventana

szczepowych, związanych z konkretnym obszarem. Tak więc na terenie państwa Franków pojawia się pismo merowińskie, na Półwyspie Iberyjskim rozwija się pismo wizygockie, a na południu Włoch powstała beneventana. Benewentanę uważam za najpiękniejsze, wręcz bajkowe pismo.

Na początku IX wieku, za panowania Karola Wielkiego, zostało opracowane nowe pismo, które szybko zyskało sobie serca skrybów w całej Europie. Minuskuła karolińska była pismem eleganckim, dobrze czytelnym i królowała przez całe cztery stulecia. Oczywiście granice, w jakich dochodziło do zmiany pisma były raczej płynne i procesy te przebiegały powoli – stare pisma jeszcze przez długi czas były używane np. w nagłówkach.

Minuskuła karolińska była pisana coraz ciaśniej, litery zaczęły się wydłużać i zaokrągać, co dało początek protogotyckowi, a z niego rozwinęły się pisma gotyckie. Używam tutaj liczby mnogiej, gdyż pism gotyckich było rzeczywiście kilka rodzajów. Najbardziej znana jest tekstura, pismo, które w odróżnieniu od innych pism historycznych rozpoznawalne jest do dnia dzisiejszego. Tekstura pochodzi od łacińskiego słowa tkactwo – przypomina splot tkaniny. Efekt estetyczny tego pisma był ważniejszy od jego czytelności, a że litery równiusieńko ustawione w płótek rzeczywiście trudno było odczytać, skrybowie zlitowali się nad czytelnikiem i postawili kreskę nad „i”. Tak więc kropka nad „i”, której my z taką oczywistością dziś używamy, to spadek po teksturze.

Rękopisy z tego okresu są bardzo kolorowe i przepięknie iluminowane. Z obrazków wychodzą listki tworzące cudowne bordiury, inicjały zdobione są filigrana-

mi, a to wszystko po to, by zapełnić całą powierzchnię stronicy i nie zostawić nigdzie pustego miejsca zgodnie z zasadą *horror vacui*, czyli „lęku przed pustką”.

W dojrzałym średniowieczu Europa powoli rusza do przodu. Przy klasztorach pojawiają się szkoły, zaczynają powstawać pierwsze uniwersytety, a edukacja zaczyna powoli przedostawać się poza mury klasztorne. Cenne rękopisy nie wychodzą już tylko spod ręki mnichów, ale powstają warsztaty rzemieślnicze, gdzie osoby bogate mogą sobie zamówić książkę. Szczególnie popularne stają się godzinki – książki modlitewne przeznaczone do prywatnego użycia.

Chociaż papier znano w Chinach już w I wieku naszej ery, pierwsze papiernie w Europie zaczynają powstawać dopiero w wieku XIII. Pojawia się w ten sposób nowy, o wiele tańszy materiał do pisania. Wydawać by się mogło, że od razu wyprze on mniej ekonomiczny pergamin, ten jednak był powszechnie używany aż do XVII wieku.

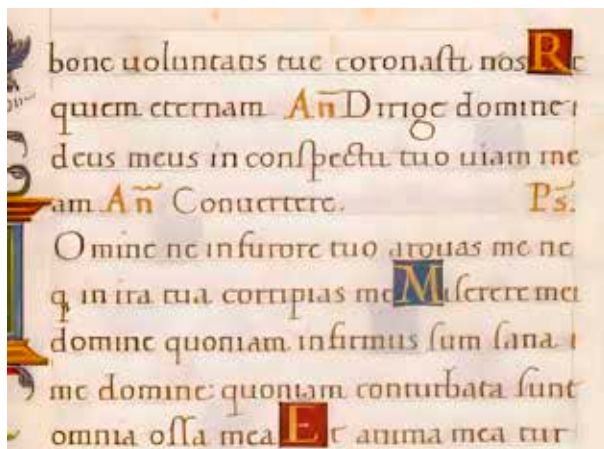
Czasy nowożytne

Historycy z prawdziwego zdarzenia będą może pojękiwać, kiedy napiszę, że epoka druku zakończyła epokę średniowiecza, więc z góry proszę o wybaczenie. Pragnę bowiem podkreślić, jak wielkie znaczenie miał wynalazek maszyny drukarskiej dla naszej cywilizacji – wszystkie kolejne wynalazki są na nim oparte.

Gutenberg mógł dokonać takiego odkrycia tylko dzięki temu, że litery alfabetu łacińskiego nie są ze sobą połączone, mają prostą budowę i każdy znak można napisać oddzielnie. W świecie arabskim druk wcale nie był taki prosty, gdyż litery były ze sobą łączone.



Piękne godzinki Jeana de Berry, pisane teksturą, ok. 1405 r.



Minuskuła humanistyczna

zdobienia i złocenia, tak by całość wyglądała jak prawdziwy rękopis. A o tym, że zabieg Gutenberga odniósł sukces, świadczyć może fakt, że w pewnej bibliotece w Anglii jeden z takich egzemplarzy był przez długi czas katalogowany jako rękopis, a nie jako wydruk. Gutenberg byłby pewnie dumny.

W ciągu kilkudziesięciu lat wynalazek druku przedostaje się do niższych warstw społecznych, w Europie pojawiają się liczne drukarnie, książki stają się tańsze i łatwiej dostępne. Pismo jednak rozwija się dalej i jeszcze przez jakiś czas niektóre księgi będą przepisywane ręcznie.

Na przełomie XIV i XV stulecia na scenie kaligraficznej pojawia się nowe pismo, któremu początkowo nadano nazwę antykwa. Z nazwą tą związana jest trochę komiczna historia: włoscy humaniści, chcąc zerwać ze średniowieczem, z podziwem patrzyli w stronę epoki antycznej. Gotyk oznaczał wieki ciemne, a pismo gotyckie chętnie wyrzuciliby na cmentarz historyczny. Odkryli rękopisy, które w ich przekonaniu pochodziły z epoki rzymskiej, nie zdając sobie sprawy, że pochodzą one z okresu Karola Wielkiego i są pisane minuskułą karolińską. Tak więc trochę przez pomyłkę, na podwalinach „karolinki” powstało pismo humanistyczne, które do dziś króluje w druku.

Kaligraf nie jest już anonimową osobą, która siedzi w skryptorium i przepisuje Biblię na chwałę Bożą, ale kimś, kto wykonuje pewien rodzaj czynności artystycznej. Od tego okresu nazwiska kaligrafów są znane. Pojawiają się nawet pierwsze podręczniki pięknego pisania, które ich autorom przyniosły sławę.

Pomimo tego, że książki są drukowane, kaligrafia ma się bardzo dobrze. W epoce nowożytnej szybko rozwija się rynek pieniężny, pojawiają się instytucje przypominające dzisiejsze banki, a co za tym idzie, również potrzeba spisywania umów. Tak więc każdy, kto chciał rozpocząć karierę urzędniczą, musiał umieć pięknie pisać.

Drukowanie pierwszej Biblii zajęło 3 lata, a że w tym okresie popularna była tekstura, wybrano właśnie taką czcionkę. Biblię wydrukowano w ok. 200 egzemplarzach, z czego do 35 użyto pergaminu. Pierwsze wydruki miały oczywiście przypominać rękopisy, do których wcześniej kupujący je ludzie byli przyzwyczajeni. Po wydrukowaniu dodawano zatem ręczne

A na zakończenie...

Niejednemu czytelnikowi z naszego regionu na pewno przeszło przez myśl pytanie: a co ze szwabachą? Otóż Schwabacher Schrift to nie jest pismo kaligraficzne, ale czcionka drukarska. Związana jest z początkami druku i nawiązuje do kaligraficznego pisma zwanego bastardą. Bastarda to z kolei kursywny rodzaj pisma gotyckiego.



Skryba przepisujący książki

Nazwa pochodzi od niemieckiej miejscowości Schwabach pod Norymbergą, gdzie co prawda nie było żadnej drukarni, ale doszło tam do historycznego wydarzenia. W 1529 roku podpisano tam Artykuły ze Schwabach, spisane przez Filipa Melanchtona przy współpracy z Marcinem Lutrem. Są one uważane za najwcześniejsze luterzańskie wyznanie wiary. Artykuły, drukowane właśnie ową bastardą, były rozpowszechniane w całym kraju. Z czasem nazwa „szwabacha” stała się synonimem tego pisma.

Na zakończenie po raz drugi

Wydawać by się mogło, że w dzisiejszych, komputerowych czasach kaligrafia już nie jest nam potrzebna. A jednak powoli odradza się. Ludzie zaczynają wracać do różnego rodzaju starych rzemiosł by odetchnąć, by się zrelaksować, by tworzyć. Także kaligrafia daje możliwość, aby robić coś, co robili przodkowie i w pewien sposób wrócić do swych korzeni.

Newton kiedyś napisał: „Jeśli widzę dalej, to tylko dlatego, że stoję na ramionach olbrzymów”. Nie zapominajmy więc o dorobku, jaki pozostawili po sobie średniowieczni skrybowie. Bez pióra bowiem nie ma cywilizacji.

Korzystałam z następujących źródeł:

Bachmiński Kamil. *Mały przybornik skryby*. 2020. ISBN: 9788395780301.

Mojdl Lubor. *Encyklopedie písem světa*. Praha: Libri, 2005. ISBN 80-7277-288-0.

Agapisze – podcast

Secret history of writing – dokument BBC na YouTube

Warsztaty z Grzegorzem Barasińskim

CZESŁAW KRAINA

Trzy szosy i trzy przeprawy

Szosy cesarskie

„1776 - Cesta Cysarsko Uteszyna murowano gest”. Tak zanotował w kronice chłopskiej z najważniejszymi datami z dziejów Śląska Cieszyńskiego Paul Szurman z Lesznej Dolnej. Adnotacja ta odnosi się do czasów, kiedy na Śląsku Cieszyńskim zapoczątkowano prace nad budową sieci dróg państwowych. Powstanie szos (wyraz „szosa” ma pochodzenie francuskie – „chaussée”) miało za zadanie zastąpić istniejące szlaki komunikacyjne, które z technicznego punktu widzenia nie spełniały już wymaganych kryteriów. Poświadczą to chociażby pamiętnik podróży spisany w 1768 r. przez Michała Mniszecha, który wracając z Wiednia do Warszawy przejeżdżał przez Cieszyn. Autor opisał realia i niewygodę podróży, skarżąc się na zły stan dróg. Trasę z Morawskiej Ostrawy do Cieszyna przedstawił jako wielce uciążliwą: „Przejeżdża się bowiem przez kilka gór; padał deszcz i nasza karetka zanurzyła się aż po osie w glinie. Potrzebowaliśmy przeszło 9 godzin, by przebyć te 4 mile. Droga wszędy okropna a mosty niebezpieczne. Najprzykrejsze są drewniane kładki na drogach dla przeprawy przez błota i bajora”.

Nowoczesne szosy w odróżnieniu od dotychczasowych drózek były wytyczane w prostej linii, by dotarcie do celu było jak najszybsze. Nawierzchnie wykonywano z tłuczni kamienno-żwiłkowego, by w czasie niepogody nie zamieniały się w grząskie bagna, co było istotne np. dla przemieszczania się wojsk z pojazdami zaprzęgowymi. Z tego też powodu wykopywano rowy przydrożne mające za zadanie odprowadzać wodę deszczową. Częścią składową były również przeprawy mostowe i inne obiekty inżynieryjne. Szosy budowano w latach panowania Józefa II, Leopolda II oraz Franciszka II z dynastii Habsburgów, wobec czego nazywano je szosami cesarskimi. Pomimo racjonalizowania sieci drogowej mieszkańcy niechętnie korzystali z jej wygód z powodu pobierania tzw. myta drogowego. By uniknąć opłat, woleli korzystać ze starych, niewygodnych ścieżek.

Konieczność wytyczenia nowoczesnych szlaków komunikacyjnych wynikała przede wszystkim z geopolitycznej sytuacji, jaka zaistniała w tej części Europy. W wyniku przegranej w 1742 r. I wojny śląskiej Austria utraciła znaczną część Śląska na rzecz Prus. Przy Austrii pozostał jedynie Śląsk Cieszyński, Opawski, Karniowski oraz fragment Nyskiego, dla których utworzono prowincję znaną pod nazwą Śląsk Austriacki.

W 1772 r. w następstwie I rozbioru Polski do monarchii Habsburgów została przyłączona Galicja. Te dwa znaczące wydarzenia spowodowały, że jedynym ogniwem łączącym bezpośrednio Austrię z nowo nabytą Małopolską był korytarz prowadzący Śląskiem Cieszyńskim. Odtąd pod kątem komunikacji drogowej ziemia cieszyńska zaczęła odgrywać strategiczną rolę.

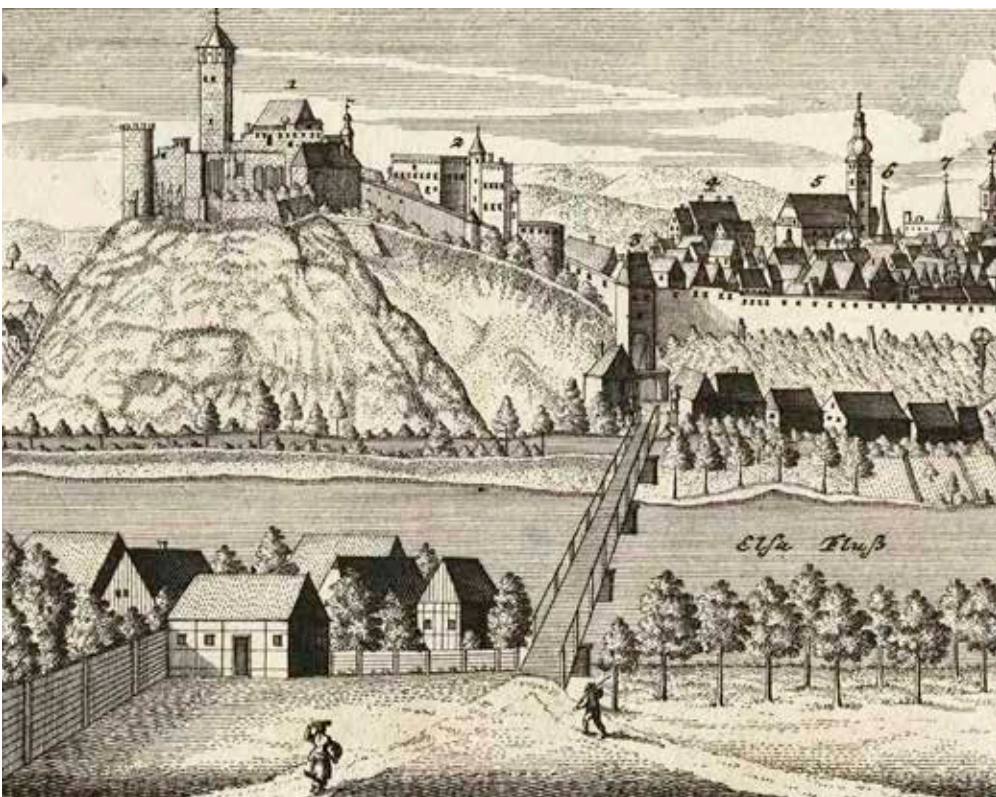


Rysunek z 1646 r. przedstawiający oblężenie zamku przez wojska cesarskie. W dolnej części widoczne rozlewisko Olzy przecinające starodawny szlak miedziany prowadzący na Węgry. Źródło: Zbiory prywatne autora

Ulica Ostrawska

W tragicznym dla Polski 1772 r. podjęto decyzję o budowie śląsko-galicyskiej szosy biegnącej z Opawy do Bielska przez Ostrawę i Cieszyn, która w założeniu była fragmentem większej całości, a więc drogi prowadzącej z Wiednia do Lwowa. Na przełomie lat 1775-1776 ruszyły właściwe prace budowlane, o czym wspominał nie tylko przytoczony już Paul Szurman, ale także pamiętnik wydany w 1860 r. z okazji 1050 rocznicy założenia Cieszyna, gdzie w części kalendarium znajduje się następujący przypis: „1775 - Budowanie drogi (cesarskiej) z Ołomuńca przez Opawę i Cieszyn do Lwowa”.

Prace trwały do początku 1783 r. z przerwą spowodowaną wybuchem wojny o sukcesję bawarską, która toczyła się w latach 1778-1779. Budowa przebiegała jednocześnie w dwóch kierunkach, przy czym według stanu z 1780 r. były gotowe następujące odcinki: Ostrawa Polska – Mistrzowice oraz Grodziec – Ogródzka. Do spiesznego wznowienia robót przystąpiono w 1781 r., kiedy dowiedziano się, że przez Cieszyn podróżować będzie wielki książę Paweł I Romanow (późniejszy cesarz Rosji). I faktycznie w tymże roku książę zabawił w Cieszynie, czego dowodem



Wycinek z panoramy miasta z 1734 r. autorstwa Friedricha Bernharda Wenera z widocznym rozdrożem dróg prowadzących do Alei Masaryka oraz do Sibicy (szlak miedziany).

Źródło: Biblioteka Uniwersytecka we Wrocławiu

jest tablica pamiątkowa umieszczona w korytarzu hotelu „Pod Brunatnym Jeleciem”. Według Christiana d’Elvert – autora wydanej w 1855 r. monografii poświęconej historii budowy dróg na Morawach i Śląsku Austriackim – szosa, którą wtenczas nazywano ul. Opawską, a obecnie ul. Ostrawską, została w latach 1781-1783 wydłużona o brakujące odcinki. Niemniej jednak prace przebiegały w pośpiechu, co odbiło się na stanie technicznym drogi. W następnych latach za sprawą braku dobrej woli i odpowiedniego nadzoru stan drogi szybko się pogarszał, aż w końcu niektóre jej odcinki stały się całkowicie nieprzejezdne. W 1790 r. drogą podróżował Stanisław Staszic, który zanotował: „Droga z Bielska do Cieszyna nieskończona, zła i górzysta”. Liczne skargi napływające do władz przyczyniły się w 1797 r. do zatwierdzenia funduszy niezbędnych na remont wadliwych odcinków oraz korekty przebiegu drogi przed samym Cieszynem.

W tym miejscu należy wyjaśnić, że przed korektą końcowego odcinka ul. Ostrawskiej jej trakt prowadził do obecnych Alei Masaryka, gdzie kończył swój bieg na styku z wówczas jeszcze drewnianym mostem przez Olzę, a więc w miej-

scu, gdzie dziś znajduje się „Czytelnia i kawiarnia Avion”. Po korekcie, która miała miejsce w latach 1797-1804 droga ta kończyła swój bieg na istniejącym do dziś skrzyżowaniu z ul. Frydecką i ul. Jabłonkowską. Powodem, dla którego pierwotnie droga ta zmierzała do alei był fakt, że już w drugiej połowie XVI wieku w miejscu tym zaczęła się kształtować jednostka osadnicza o dość zwartej zabudowie będącej własnością książąt cieszyńskich (w późniejszym okresie osada ta stała się dzielnicą Cieszyna). Areał ten początkowo nazywano Kamieńcem, albowiem za sprawą nieuregulowanego koryta rzeki Olzy dochodziło podczas powodzi do dewastacji terenu zalewowego kamieniami rzeczynymi unoszonymi przez wezbrany nurt. Skutki takiej powodzi zostały utrwalone na rysunku z 1646 r. przedstawiającym oblężenie zamku przez wojska cesarskie, gdzie doskonale widać boczne ramiona rzeki prowadzące do alei. O strategicznym znaczeniu Kamieńca świadczyły chociażby zabudowania tzw. solarni, a więc cesarskich magazynów soli, w których składowano sól sprowadzaną m.in. z Wieliczki. Zapewne z tego też powodu w alejach usytuowano dwa małe obiekty sakralne, których obecność potwierdza austriacka mapa wojskowa z 1780 r. Pierwszy obiekt to istniejąca do dziś rzeźba św. Jana Nepomucena, który według tradycji ludowej chronił pola i zasiewy przed powodzią. Drugim obiektem jest kapliczka św. Krzyża, która w 1897 r. została zastąpiona współczesną kapliczką św. Teresy ufundowaną przez rodzinę Grabków. Dodajmy, że tego typu obiekty wznoszono przy ważnych szlakach komunikacyjnych w celach wotywnych i dziękczynnych.

Ulica Frydecka

Już w trakcie budowy ul. Ostrawskiej zaprojektowano kolejną szosę, tzw. galicyjską, której atutem był krótszy dystans. Szlak ten bowiem prowadził z Ołomuńca do Bielska przez Frydek i Cieszyn. Tym razem prace budowlane nie napotykały istotnych przeszkód, wobec czego roboty przebiegały znacznie krócej, bo w latach 1782-1787. Według przytoczanej już monografii Christiana d’Elvert, odcinek drogi z Frydku do Cieszyna oddano do użytku już początkiem listopada 1785 r. Naocznym świadkiem jej budowy był ks. Josef Angel Gerich w Domasłowicach Górnych, który o wydarzeniu wspominał w dokumencie umieszczonym w bani wieży kościoła. Szosa początkowo nosiła nazwę Ołomuniecka, jednak w późniejszym okresie została przemianowana na obowiązującą po dziś dzień ul. Frydecką. Krótco po otwarciu stała się główną arterią dojazdową do Cieszyna, spychając wcześniej wybudowaną ul. Ostrawską na drugi plan (przypomnijmy, że w owym czasie droga Ostrawska nadal prowadziła do alei). W kronice miasta Cieszyna spisanej w 1825 r. przez Aloysego Kaufmanna autor podaje, że powstanie ul. Frydeckiej przyczyniło się do upadku wspomnianych już magazynów soli, bowiem nie były usytuowane bezpo-

średnio przy nowo wybudowanej szosie Frydeckiej, zaś ul. Ostrawska biegnąca do alei przestała odgrywać wiodącą rolę. O zamknięciu solarni przesądziło także nizinne położenie, przez co miejsce to było regularnie nękane powodzią. Z tego też powodu nowe magazyny wzniesiono na Górnym Przedmieściu niedaleko kościoła ewangelickiego.

Droga Frydecka prowadząca wprost na nowy kamiennieo-drewniany most przez Olzę przyczyniła się do powstania kolejnej po Kamieńcu jednostki osadniczej, która zaczęła się kształtować wzdłuż niej. Impuls, który zapoczątkował ten proces, zawdzięczamy ówczesnemu właścicielowi Księstwa Cieszyńskiego Albertowi Kazimierzowi Sasko-Cieszyńskiemu (synowi polskiego króla i elektora saskiego Augusta III), który w 1794 r. z przedmieścia Brandys wyodrębnił część areału, dając tym samym początek nowemu przedmieściu nazwanemu na cześć księcia Saską Kępą. Kaufmann podaje w swojej kronice, że książę dążył do pobudzenia handlu sukniem, przez co nowe przedmieście miało zostać zasiedlone przede wszystkim sukniennikami, dla których zbudowano fabrykę na rozdrożu ulic Frydeckiej i Jabłonkowskiej. By przyciągnąć rzemieślników, przyznano im szereg przywilejów i korzyści, w tym odrębny cech. Jednak ostatecznie fabryka nie przyniosła wymierzonych korzyści i po 1815 r. została zamknięta.

Pomimo nieudanego planu gospodarczego droga z upływem lat zaczęła odgrywać rolę przysłowiowej osi, wokół której ostatecznie ukształtowała się lewobrzeżna część miasta. 24 listopada 1866 r. „Gwiazdka Cieszyńska” odnotowała: „W tych dniach wytyczyli już miernicy miejsca około Cieszyna dla kolei budować się mającej od Bogumina do Węgier. W Cieszynie przerznie ona prawie drogę przy trzech mytach na Saskiej Kępie”. Wiadomość ta zapowiadała budowę Kolei Koszycko-Bogumińskiej, której toru przecięły ul. Frydecką na wysokości skrzyżowania trzech szos cesarskich, czyli ulic Ostrawskiej, Frydeckiej i Jabłonkowskiej. Odtąd droga Frydecka nie kończyła już swego biegu na moście przez Olzę, a na torach kolejowych. Odcięty fragment drogi, który został po drugiej stronie torowiska, w 1892 r. oficjalnie nazwano ulicą Saska Kępa – obecnie jest to ul. Główna.

Ulica Jabłonkowska

Trzecią i zarazem ostatnią szosą cesarską zmierzającą do Cieszyna była droga prowadząca z Węgier przez Przełęcz Jabłonkowską. Trasa ta miała służyć za główny trakt solny. Protoplastą nowej drogi był rzekomo starodawny szlak miedziany. Prace budowlane przebiegały w latach 1794–1802, choć źródła archiwalne podają, że już w 1779 r. istniały fragmenty tej drogi. Stan techniczny tych odcinków był jednak taki, że nie nadawały się one do naprawy, wobec czego podjęto decyzję o budowie zupełnie nowej drogi, zaś pierwotne fragmenty posłużyły podobno do

budowy tzw. traktu wołowego, którym pędzono stada bydła rogatego. Szosę początkowo nazywano ul. Węgierską, by później zmienić nazwę na obowiązującą do dziś ul. Jabłonkowską. Nowa droga docierała do skrzyżowania z ul. Frydecką i ul. Ostrawską – powstało tu rozwidlenie, które było wówczas najważniejszym węzłem transportowym całego Śląska Cieszyńskiego. Miejsce to potocznie nazywano „Trzy myta”, co rzecz jasna odnosiło się do poboru opłat drogowych, z których następnie finansowano budowy oraz remonty szos cesarskich. W miejscu trzech rogatki znajdowały się budki poborców, szlabany zamykające ruch drogowy oraz kierunkowskaz, o którym wspomina w kwietniu 1858 r. „Gwiazdka Cieszyńska” w żartobliwym cyklu Jury i Janka: „Janek. Ja prawie, że już trzeba uciekać za trzy myta. Jura. Ale jak tam przyjdiesz, uwidzisz słup z trzema rękami, co ci pokazuje trzy strony świata”.

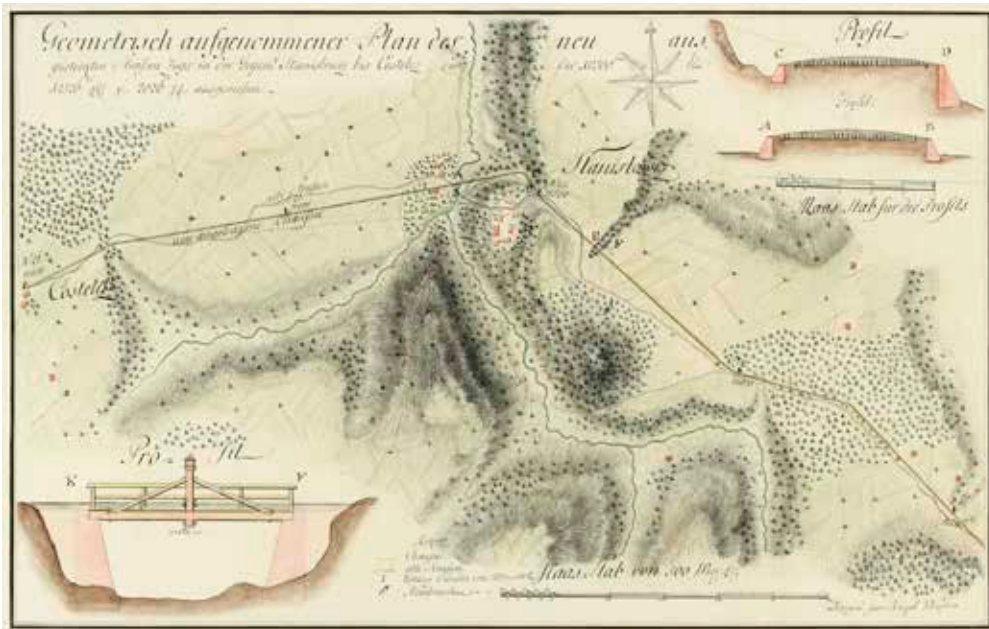
O znaczeniu tego miejsca świadczyły dwa małe obiekty sakralne, które usytuowano na rozstaju dróg. Pierwszym z nich była kapliczka św. Antoniego Padewskiego, która



Wycinek z planu miasta z 1775 r. autorstwa Franza von Cerriniego przedstawiający zabudowę Alei Masaryka i prowadzącą doń drogę. Źródło: Muzeum Orawskie – Książnica Čaploviča



Wycinek z mapy Cieszyna i okolic z lat 1785-1789 przedstawiający szosę Frydecką (po prawej) oraz szosę Ostrawską (po lewej), która przed korektą biegła do Alei Masaryka. Źródło: Austriacka Biblioteka Narodowa



Projekt szosy Ostrawskiej z 1776 r. autorstwa Josefa Wussina. Odcinek Kościelec – Stanisławice.
Źródło: Archiwum Ziemskie w Opawie

stała w narożniku ulic Jabłonkowskiej i Frydeckiej. Dodajmy, że święty ten jest m.in. patronem podróźnych. Drugim był krzyż przydrożny, który dla odmiany stał w narożniku ul. Frydeckiej i ul. Ostrawskiej. Te dwa obiekty nie przetrwały do czasów współczesnych, gdyż znajdowały się zbyt blisko budowanej w 1888 r. Kolei Miast Śląskich.

Prom linowy

Jak już zostało odnotowane, ul. Ostrawska przed korektą końcowego odcinka prowadziła do obecnych Alei Masaryka. Historyk Franciszek Popiołek w książce „Dzieje Cieszyna” wydanej w 1916 r. napisał: „W 1751 r. został uszkodzony niedawno zbudowany most Długi”. Poświadcza to kosztorys napraw sporządzony 11 lipca 1751 r. dla Urzędu Cesarsko-Królewskiego w Opawie, gdzie nazywany jest mostem „Wielkim”. Oprócz niego wzmiankowany jest również most „Mały” (drewniana kładka), który usytuowany był naprzeciwko tzw. Wielkiego Młyna na styku obecnych ulic Młyńska Brama i Przykopa. Remont mostu musiał zostać źle wykonany, albowiem przytaczany już Michał Mniszech w 1768 r. napisał: „Na wyjeździe do Cieszyna przebywa się most drewniany na niewielkiej rzece Olzie. Most znajduje się w opłakanym stanie”. W tak złej kondycji trwał on przez kolejne lata, zanim wzniesiono jego następcę.

Konieczność budowy nowego mostu wynikała nie tylko z racji alarmującego stanu technicznego, ale przede wszystkim z potrzeby udrożnienia wjazdu do miasta. Przypomnijmy, że do Cieszyna miała zostać doprowadzona nowoczesna szosa, wobec czego również most musiał spełniać odpowiednie wymagania. W latach 1771 i 1772 Cieszyn ponownie nawiedziły powodzie, które jeszcze bardziej nadwyrężyły drewnianą konstrukcję mostu. Jego kres musiał nastąpić początkiem 1780 r., gdyż na austriackiej mapie wojskowej z tego samego roku przeprawy mostowej już nie zaznaczono. Potwierdzeniem tego jest również list cieszyńskiego Starszego Krajowego Rudolfa barona Cselesty z 2 kwietnia 1780 r. adresowany do Urzędu Cesarско-Królewskiego w Opawie w sprawie planowanych ćwiczeń wojskowych. Z listu można wyczytać, że kapitan dowodzący 3. cesarsko-królewskim batalionem pułku Carla Colloredo, hrabia von Khunburg, będzie korzystał z książęcego folwarku w Mostach koło Cieszyna, który od lat służy za poligon. Dodaje jednak, że plac ćwiczeń znajduje się po drugiej stronie Olzy, wobec czego żołnierze skoszarowani w Cieszynie muszą przepływać się przez rzekę. Napotykają przy tym na ogromne trudności, ponieważ przekraczają ją w miejscu zburzonej kładki znajdującej się przy Wielkim Młynie. Wprawdzie Komora Książęca wybudowała w tym miejscu prowizoryczne przejście, niemniej nadaje się ono do użycia tylko podczas niskiego stanu wody. W dalszej części listu autor zaznacza, że pod koniec bieżącego miesiąca ma przez Cieszyn przejeżdżać kilka dużych transportów z Galicji, które będzie trzeba najpierw rozładować, następnie przepławić na drugi brzeg i ponownie załadować, co przełoży się na kilkudniowe opóźnienie. W zaistniałej sytuacji Cselesta, który reprezentował organy administracyjne Księstwa Cieszyńskiego, domagał się odbudowy zburzonej kładki, argumentując, że prowizoryczne przejście nie nadaje się do użytku, a osoby chcące z niego korzystać narażają się na niebezpieczeństwo, wskutek czego nie będą mogli w niedziele i święta przychodzić do kościoła.

Pomysł odbudowy kładki nie został zaakceptowany przez władze w Opawie, gdyż nie rozwiązywał istoty problemu polegającej na braku mostu Długiego. W tej sytuacji sprawę przekazano dyrektorowi budowlanemu i drogowemu Franzowi von Cerriniemu, który zamiast odbudowy kładki zaproponował uruchomienie przeprawy promowej – jako rozwiązania tymczasowego, zanim powstanie nowy most Długi. Już 12 maja 1780 r. Cerrini wysłał do Urzędu Cesarско-Królewskiego w Opawie sprawozdanie dotyczące przeprawy promowej wraz z załączonym planem i opisem jej działania. W liście podaje, że próbna przeprawa, której celem było przetransportowanie wozów, zakończyła się pełnym sukcesem. Zaznacza, że dla mechanizmu wyciągarki linowej znajdującej się na prawym brzegu zbudowano zadaszony obiekt, który ma chronić mechanizm przed deszczem i kradzieżą. Dalej Cerrini odnotowuje, że w budynku może przebywać stróż, który obsługuje prom,

a zarazem pilnuje nocą urządzeń. Do tego celu przeszkolono mieszkańca Kaliwody, który w ten sposób zastąpił dotychczasowego dyspozytora Kaintza. Kaliwoda jako przewoźnik otrzymywał miesięczne wynagrodzenie. W tym miejscu Gerrini podkreśla, że bardzo trudno było znaleźć osobę mieszkającą na przedmieściach przylegających do Olzy, która zechciałaby obsługiwać prom. W kolejnej części sprawozdania tłumaczy, że z promu można korzystać, dopóki woda w rzece nie zamrznie, po czym przekonuje, że pojedyncza osoba nie jest w stanie na dłuższą metę podołać wszystkim wymaganiom. Na zakończenie dodaje jednak, że dyspozytor Kaintz, który był odpowiedzialny za budowę promu i szkolenie Kaliwody, będzie nadal zapewniał pomoc i wsparcie. Z dołączonego do listu rysunku wynika, że za przeprawę służył prom górnołiniowy. Do poruszania się w poprzek rzeki wykorzystywano siłę nurtu, która nadawała promowi prędkość i kierunek. Prom poruszał się po linie, która zawieszona była nad rzeką, przy czym napięcie liny zapewniała wyciągarka. Manewrowanie odbywało się przy pomocy rolek zawieszonych na linie i prowadnic. Na brzegach znajdowały się przystanie umożliwiające cumowanie oraz zejście na ląd.

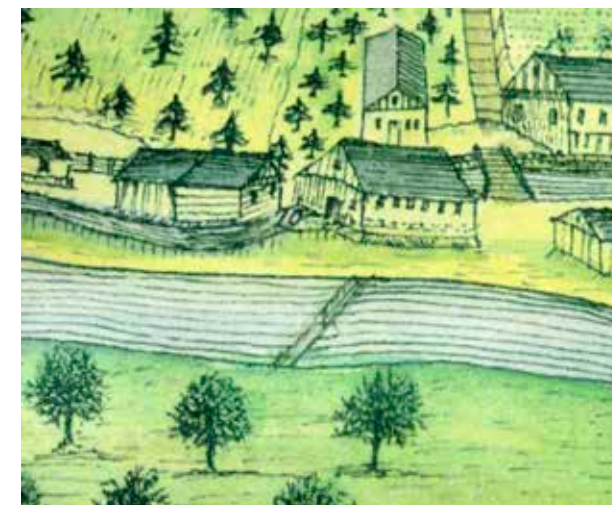
Dla uzupełnienia powyższego rozdziału należy także wspomnieć o innej tymczasowej przeprawie, która powstała dzięki ks. Janowi Leopoldowi Szersznikowi. Świadectwem tego są jego rękopiśmienne dokumenty, gdzie pod datą 10 listopada 1795 roku znajduje się szczegółowo opisana instrukcja obsługi małego mostu pontonowego. Oprócz właściwych objaśnień można znaleźć również brudnopis darowizny opatrzonej datą 22 stycznia 1808 r. Odnosi się on do uroczystej ceremonii wprowadzenia szkoły kadetów cesarsko-królewskiego pułku piechoty hrabiego Wenzla Colloredo do nowego budynku internatu. Szersznik w akcie darowizny tłumaczy, że jako młodzieniec znajdował wiele przyjemności w zdobywaniu wiedzy wojskowej. Kiedy został nauczycielem gimnazjum katolickiego, zlecił dla celów edukacyjnych wykonanie małego mostu pontonowego (być może został zainspirowany powyżej opisaną przeprawą promową), który przyciągał uwagę uczniów i zachęcał ich do zdobywania dalszej wiedzy. Dalej wyjaśnia, że obecnie jest już starym i schorowanym człowiekiem, a różnego rodzaju obowiązki służbowe uniemożliwiają mu przeprowadzanie praktycznych pokazów. Dlatego postanowił przekazać nieużywany „pontonnierapparat” do budowy mostu o długości około 7 klastrów (1 klasterek = 1,8965 m) wraz z trzema wozami służącymi do transportu. Na zakończenie prosi dowództwo pułku, by przyjęło przeprawę na własność, gdyż niezmiernie go to uszczęśliwi, gdy będzie wiedział, że przyczynił się do podniesienia umiejętności kadetów.

Nieznane są późniejsze losy małego mostu pontonowego. Można tylko przypuszczać, że przechowywany był w dawnych magazynach soli w alejach, które od

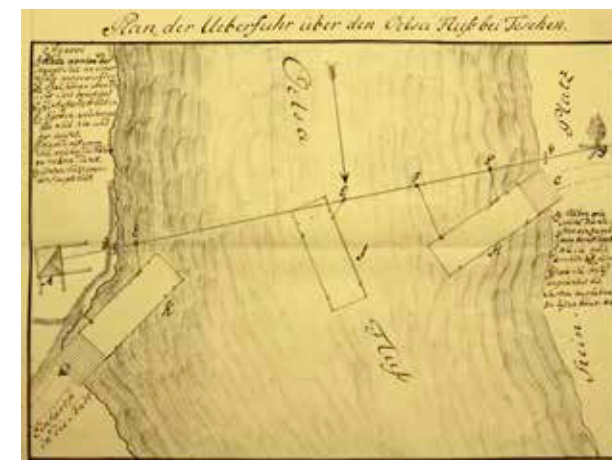
1801 r. służyły za składnice wojskowe lub w koszarach kadetów, które znajdowały się w dawnej fabryce sukieniczej na rozdrożu ul. Frydeckiej i ul. Jabłonkowskiej.

Most Solny

Do budowy nowego mostu przystąpiono w 1781 r., a zakończono ją najprawdopodobniej w roku następnym, kiedy ruszyły prace związane z budową szosy Frydeckiej rozpoczynającej się na opisywanym moście. Szersznik w wydanej w 1810 r. „Leksykonie pisarzy i artystów Księstwa Cieszyńskiego” odnotował: „Powstał piękny, liczący 36 klastrów długi most na Olzie pod Cieszynem, oparty na 3 filarach z kamienia ciosanego”. Dodajmy, że także przyczółki zbudowano z tego samego budulca, natomiast dźwigary i przęsła wykonano z drewna. Nowa przeprawa funkcjonowała pod niejedną nazwą. Najstarsza nazwa to most Solny, gdyż prowadził do wzmiankowanych już solarni w alejach. Kiedy owe solarnie zostały przeniesione na Górne Przedmieście, przyjął nazwę mostu Cesarskiego, co rzecz jasna miało związek z szosami cesarskimi. Kolejne nazwy to: most Zamkowy z racji tego, że znajdował się u podnóża grodu Piastów cieszyńskich oraz most Główny, którą to nazwę zaczęto stosować po 1880 r., kiedy powstał most Gurniaka (obecnie most Wolności przy ul. Strzelniczej).



Wycinek z planu perspektywicznego miasta sprzed 1780 r. przedstawiający kładkę oraz Wielki Młyn. Na przestrzeni wieków w miejscu tym stało co najmniej pięć przepraw. Ostatnią był most „Przepustkowy” rozebrany w 1982 r.
Źródło: Zbiory prywatne autora



Rysunek z 1780 r. przedstawiający sposób przeprawy przez Olzę za pomocą promu linowego.
Źródło: Archiwum Ziemi Opawie



Zimowe ujęcie mostu Solnego wykonane przez Richarda Jastrzembkiego około 1870 r.
Źródło: Zbiory prywatne autora

Tak jak wszystkie tego typu przeprawy, most narażony był na niszczące powodzie. Pierwszą z nich zanotował kronikarz Aloys Kaufmann: „W sierpniu 1803 r. nagle oberwanie chmury w Beskidach było tak ogromne, że wezbrana Olza przelewała się ponad jezdnią mostu uszkadzając dość poważnie jego konstrukcję”. Następną groźną nawałnicę opisał w pamiętniku „Dło pamięci Narodu Ludzkiego” Jura Gaydzica z Cisownicy: „W 1813 r. w Cieszynie Olza też tak wielko była, że most chciała wziąć, dziecko w kolepcie niosło, ale go chycili z kolepkom zywego”. O kolejnych powodziach wspomina w swoim dzienniku Andrzej Cinciała, gdzie pod datą 12 sierpnia 1846 r. napisał: „Wczora była okropna u nas woda, jeszcze większa jak w roku przeszłym. Udają, że jeszcze jeden strzewic wyżej była. Rozszerzyła się Olza w swoim łożu szeroko i wystąpiła daleko za jej wyznaczone granice. Cały Kamieniec stał we wodzie, przez aleje się woda waliła tak jako Olzą i gdyś wejrzał z zamkowego grónia, wszystko w wodzie stało. Na tysiące szkody porobiła, przyszła bowiem z nienazdania, bo się w gorach gdzieś obłok urwał. Mosty pokręciła i nasz most Cieszyński o mało się nie musiał poddać, bo gdy woda się do największego stopnia wzniosła, przyniosła strom zgory i ten uderzył wpiłerz (filar) tak, że się most zachwiał. Długo się trzymał na tem pilarzu i woda się zanim opierała i krzyku dosyć było. I parę ludzi tu i we Frydku miało uginąć”. Najbardziej newralgicznym miejscem były właśnie wspomniane filary, a dokładniej rzecz ujmując izbice, których zadaniem było chronić filary przed naporem m.in. kier lodowych.

Historia mostu mogła się zakończyć już w 1866 r. Jak podaje historyk Janusz Spyra: „W czasie wojny austriacko-pruskiej burmistrzowi Cieszyna Johannowi Demelowi udało się nie dopuścić do zniszczenia mostu przez Olzę, za co został przez cesarza podniesiony do stanu szlacheckiego z predykatem *von Elswehr*”. W 1880 r. kolejna duża powódź nadwyrężyła konstrukcję mostu. W sześć lat później prze-

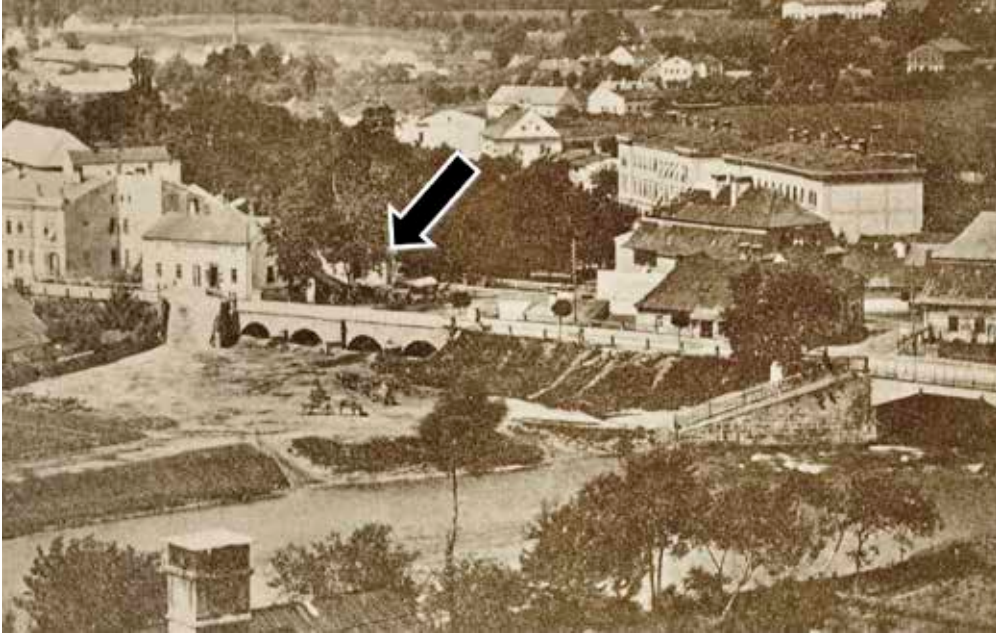


Ujęcie z mostu zalewowego na nieuregulowane koryto rzeczne wykonane przez Richarda Jastrzembkiego około 1870 r. Źródło: Zbiory prywatne autora

prowadzono dosyć szczegółowe oględziny, w trakcie których stwierdzono uszkodzenie lewobrzeżnego filara i ubytki w drewnianej konstrukcji przęseł. Uszczerbki te doprowadziły do podjęcia decyzji o ograniczeniu maksymalnego obciążenia mostu, a także tymczasowym zamknięciu pasa ruchu dla pieszych. Rozporządzenie to spotkało się z protestem ludności, która domagała się rychłej naprawy. Ponadto mieszkańcy byli zdania, że wieloletni pobór opłat za przejazd mostem, czyli tzw. myto mostowe, powinno zostać przekazane na budowę zupełnie nowego mostu. Ostatecznie jeszcze tego samego roku przeprowadzono niezbędny remont, jednak było to wyłącznie doraźne rozwiązanie. Już w 1888 r. podczas kolejnej powodzi most musiał zostać całkowicie zamknięty i dopiero po obniżeniu poziomu wody został ponownie otwarty. To krótkotrwałe zamknięcie dostępu do lewobrzeżnych przedmieść Cieszyna po raz kolejny wywołało dyskusje nad koniecznością budowy nowej przeprawy. W następnym roku prasa cieszyńska informowała: „Nasz zgrzybiały most budzi poważne obawy w obliczu rosnącego natężenia ruchu. Wczoraj przeprowadzono ponownie śledztwo i okazało się, że wytrzymałość filarów pozostawia wiele do życzenia”. Ostatecznie most rozebrano w czerwcu 1891 r., a na jego miejscu wzniesiono kolejny, tym razem stalowy o konstrukcji kratownicowej, który przetrwał do 1 września 1939 r.

Most inundacyjny

Równoległe z budową mostu Solnego przebiegały prace związane z mostem inundacyjnym (z łac. *inundatio* – zalanie). Tego typu mosty wznoszono w strefach zalewowych, do których przedmieścia Kamieńca jak najbardziej się zaliczały. W trakcie budowy obecnej ul. Głównej, czyli wówczas odcinka szosy Frydeckiej, przeprowadzono niwelację terenu. Poziomowanie drogi było podyktowane spadkiem terenu



Widok z ul. Śrutarskiej na okolice przylegające do ul. Głównej. Strzałka wskazuje na most zalewowy. Zdjęcie autorstwa Antona Branda z 1880 r. Źródło: Muzeum Śląska Cieszyńskiego

w kierunku koryta rzeki. Dla wyobrażenia różnic wysokościowych podajmy, że na odcinku od skrzyżowania ul. Głównej z ul. Dworcową po koryto rzeki teren obniża się o około 6 m. W wyniku niwelacji powstał nasyp drogowy, który przeciął obszar Kamieńca na dwie połowy. Ażeby w razie powodzi wylana rzeka nie destabilizowała warstwy nasypu, konieczna była budowa mostu zalewowego, który umożliwił swobodny przepływ wezbranej wody. Kiedy w 1794 r. powstało nowe przedmieście Saska Kępa, wyraz „Kępa” nie był jeszcze stosowany. W polskojęzycznych wydawnictwach używano określenia Saska Góra, bowiem kształt nasypu przypominał górę. Most zalewowy stanął w odległości około 50 m od mostu Solnego i w odróżnieniu od niego był w pełni mostem kamiennym. Jego konstrukcja składała się z przyczółków, trzech filarów z izbicami oraz czterech prześeł. Długość mostu wynosiła 30 m, zaś szerokość jezdni 6,6 m. Wysokość prześwitu pomiędzy sklepieniem a terenem wynosiła około 2 m, natomiast rozstaw filarów 6 m. Krańce mostu były ozdobione cokołami, z których wychodziły balustrady.

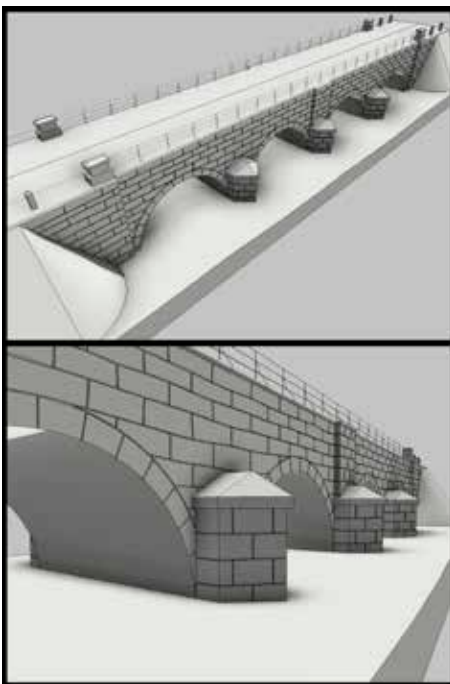
W 1883 r. powstał projekt autorstwa inżyniera miejskiego Karla Khünla dotyczący poszerzenia mostu o dodatkowe 6,8 m. Potrzeba poszerzenia jezdni wynikała z dynamicznego rozwoju lewobrzeżnych przedmieść. Ruch pomiędzy wschodnią a zachodnią częścią miasta wymagał zwiększenia przepustowości mostu. W drugiej połowie XIX wieku przebiegła długo wyczekiwana regulacja koryta rzeki, która nie tylko wzmocniła brzegi, ale przede wszystkim podwyższyła poziom nabrzeża. Odtąd ryzyko podtopień zostało wyraźnie zmniejszone. Konieczność uregulowania nurtu rzecznoego była konsekwencją rewolucji budowlanej w dzielnicach Kamieńca i Saskiej Kępy, gdzie w najbardziej narażonych na zalania alejach powstały m.in.



Pocztówka z 1903 r. przedstawiająca widok z okna drukarni Prochasków na ul. Głównej. W dolnej części zdjęcia widoczny fragment mostu zalewowego. Źródło: Zbiory prywatne autora

dwa gmachy szkolne, kościół oraz wille prominentnych mieszczan. W wyniku przeprowadzonej regulacji most zalewowy przestał pełnić swoją pierwotną rolę, dlatego w 1891 r. podczas budowy stalowego mostu przez Olzę zasypano dwa z czterech przepustów. Nadto przeprowadzono renowację górnych części prześeł, gdzie od dłuższego czasu obserwowano erozję kamiennych bloków. Powodem pozostawienia dwóch drożnych przepustów był plan połączenia współczesnych Alei Masaryka z Aleją Wolności bez konieczności przekraczania ul. Głównej. Ostatecznie z zamiaru tego zrezygnowano, wobec czego w 1903 r. podjęto decyzję o zasypaniu pozostałych dwóch przepustów, uformowaniu w ich miejscu zboczy i posadzeniu drzew. O ukrytym w ten sposób moście zalewowym z biegiem lat całkowicie zapomniano.

Dokładnie 110 lat później, w 2013 roku, przeglądając zasoby Archiwum Państwowego w Katowicach Oddział w Cieszynie, natrafiłem na plany regulacyjne ulicy Saska Kępa, na których zaznaczono sąsiadujące ze sobą dwa mosty, a więc Solny i zalewowy. Było to odkrycie niebywałe i początkowo całkowicie zagadkowe, gdyż o istnieniu tego drugiego mostu nie wzmiankowała dotąd żadna praca. Dlatego też próba nakreślenia jego historii napotykała na szereg trudności. Przede wszystkim rezultaty kwerendy archiwalnej okazały się być niezmiernie skąpe. Zaledwie szczątkowe informacje można było wyśledzić w prasie regionalnej, protokołach posiedzeń rady miejskiej oraz w różnego rodzaju planach sytuacyjnych. W tym samym roku Muzeum Śląska Cieszyńskiego upubliczniło zdigitalizowane zbiory fotograficzne, wśród których znajdowało się unikatowe zdjęcie przedstawiające



Wizualizacja przestrzenna mostu zalewowego. Źródło: Czesław Kraina

widok z ul. Śrutarskiej (na prawym brzegu rzeki Olzy) w stronę obecnej ul. Głównej. Na pierwszym planie zdjęcie przedstawia nabrzeże nazywane współcześnie Aleją Pokoju oraz odcinek ul. Głównej z jej zabudową. W środku kadru utrwalono w całej okazałości właściwy most zalewowy, zaś w prawej części zdjęcia fragment mostu Solnego. W oddali widać zabudowania obecnych Alei Masaryka. Autorem archiwalnego zdjęcia na tekturce jest Anton Brand, który miał swoje atelier w Morawskiej Ostrawie przy ul. Zamkowej. Do Cieszyna zawitał we wrześniu 1880 r., kiedy przy ul. Jabłonkowskiej odbywała się *Śląska Wystawa przemysłowa, rolnicza i leśnicza*, w której on sam brał udział. Zapewne owocem jego pobytu jest właśnie opisywane zdjęcie. Do zbiorów MŚC fotografia trafiła ze spuścizny Pol-

skiego Towarzystwa Ludoznawczego, przy czym do niedawna uważano, że wcale nie przedstawia ona Cieszyna. Sugerował to napis firmowy: „Ant. Brand, Fotograf In M.-Ostrau” zamieszczony na rewersie zdjęcia oraz nietypowe miejsce, z którego je wykonano. Zaznaczmy, że zdecydowaną większość zdjęć z przełomu XIX i XX wieku dokumentujących lewobrzeżne przedmieścia (obecny Czeski Cieszyn) wykonywano z Wieży Piastowskiej lub z tarasu widokowego Góry Zamkowej.

Nie ulega wątpliwości, że niejako na nowo odkryty most zalewowy zalicza się do grona najcenniejszych i zarazem najstarszych zabytków Czeskiego Cieszyna, przy czym dotąd uważano za najstarszy obiekt dom z 1833 r. stojący w Alejach Masaryka 76/18. Czy zatem po 120 latach władze miasta zechcą na powrót odsłonić unikatowy most o niespotykanych na całym Śląsku Cieszyńskim walorach historycznych?

Joseph Wussin

Powstanie powyżej opisanych szlaków komunikacyjnych, jak i związanych z tym budowli inżynierskich, zawdzięczamy inspektorowi budowy dróg dla Śląska Austriackiego i Moraw Josephowi Wussinowi. Jego bogaty życiorys został spisany i opublikowany przez ks. Leopolda Szersznika we wspomnianym już „Leksykonie pisarzy i artystów Księstwa Cieszyńskiego”. Niestety w pracy tej autor popełnił kil-



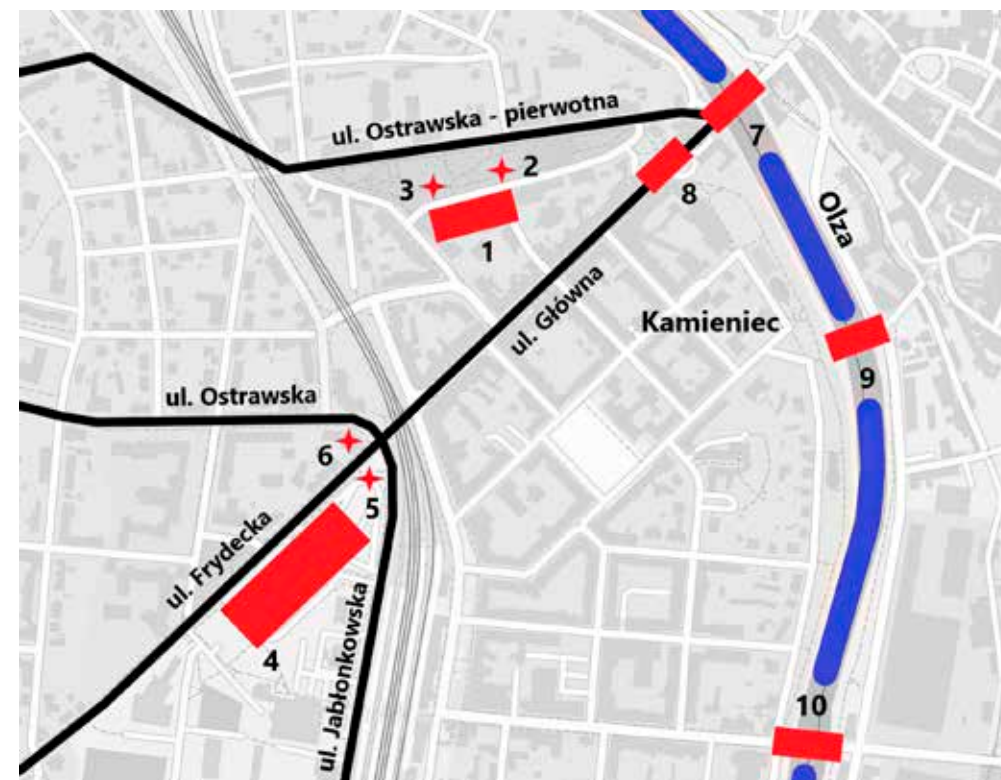
Widok z Alei Masaryka w kierunku ul. Głównej. W tym miejscu znajduje się most zalewowy. Źródło: Czesław Kraina

ka błędów faktograficznych. Za przykład może posłużyć chociażby most drogowy, który rzekomo miał stanąć na rzece Morawce. W rzeczywistości szosa cesarska prowadząca z Frydku w żadnym miejscu nie przecinała przytaczanej rzeki. Inne błędy odnoszą się do pisowni nazw geograficznych w Czechach i na Morawach. Szersznik przemilczał również informacje o defraudacji funduszy państwowych, co można tłumaczyć koleżeńskimi relacjami i wspólnymi pasjami, jakie łączyły obu panów. W biogramie nie podał daty śmierci ani miejsca pochówku, co jest zrozumiałe, gdyż Wussin zmarł dopiero po wydaniu leksykonu.

Mniej rozległy życiorys przedstawił także Christian d'Elvert w przytaczanej już monografii poświęconej historii budowy dróg na Morawach i Śląsku Austriackim. Autor po części opierał się na życiorysie spisany przez Szersznika, wobec czego powielił niektóre błędy. Co jednak istotne, zanotował nieznane wcześniej fakty, w tym dokładną datę śmierci. Trzeci życiorys pojawił się w sierpniu 1926 r. na łamach wydawanego w Czeskim Cieszynie dziennika „Silesia”, gdzie w rubryce nazwanej „Teschinensia” opublikowano artykuł pod tytułem: „Josef Wussin, budowniczy dróg cesarskich na Śląsku i Morawach”. Autorem rubryki był najprawdopodobniej ówczesny kustosz Muzeum Miejskiego w Cieszynie Viktor Karger, który de facto przepisał życiorys napisany przez Szersznika, nie prostując zawartych w nim błędów. Karger nie zaznajomił się również z pracą Christiana d'Elvert, gdyż w przeciwnym razie w zakończeniu artykułu nie napisałby: „Roku śmierci Wussina i jego grobu nie udało się ustalić”. Dla nakreślenia biogramu z uwzględnieniem przede wszystkim wątków Śląska Cieszyńskiego posłużą nam powyższe życiorysy oraz źródła uzupełniające.

Josef Wussin urodził się 15 kwietnia 1753 r. w Wiedniu, jednak jeszcze tego samego roku rodzina przeniosła się do Koszyc w ówczesnych Węgrzech, gdzie pozostała do 1768 r. Następnie Wussinowie udali się do Pragi, gdzie ojciec Johann został komisarzem do spraw budowy dróg. W międzyczasie Josef rozpoczął studia humanistyczne w Wiedniu, a następnie filozoficzne i inżynierskie w Pradze. Jednocześnie zaczął praktykę zawodową przy budowie dróg w pobliżu Wysoczan. W połowie 1771 r. został skierowany do prac przy budowie drogi z Czechich Budziejowic do granicy z Austrią. Dla tego odcinka sporządził pierwszą autorską dokumentację projektową. Następnie został wysłany do Čáslavia, gdzie do końca sierpnia 1775 r. nadzorował budowę drogi prowadzącej do Litomyśla. We wrześniu 1775 r. przybył do Opawy, gdzie pod kierownictwem dyrektora budowlanego i drogowego Franza von Cerriniego powierzono mu wszystkie obowiązki związane z budowaną w tym czasie drogą morawską. W marcu 1776 r. został mianowany komisarzem do spraw budowy dróg na Śląsku Cieszyńskim, Opawskim, Karniowskim i Nyskim. Jego obowiązkiem było planowanie przebiegu traktów, sporządzanie wszelkich planów, wykonywanie pomiarów geodezyjnych, projektowanie przepustów, mostów i innych budowli drogowych. W ten sposób na budowanej szosie Ostrawskiej z Ostrawy Polskiej do Bielska powstały mosty o konstrukcji kamienno-drewnianej przekraczające następujące rzeki: Stonawkę w Cierlicku Górnym, Bobrówkę na Bobrku pod Cieszynem, Wisłę w Skoczowie, Jasienicę w Jasienicy, Wapienicę w Wapienicy i Białą w Bielsku.

W 1781 r. został inżynierem drogowym. W następnym roku rozpoczął prace związane z budową szosy Frydeckiej z Cieszyna do Frydka. Według jego projektu powstały kolejne mosty na Olzie w Cieszynie, Stonawce w Trzanowicach, Łucynie w Wojkowicach i Ostrawicy pod Frydkiem. W 1784 r. zlecono mu zaprojektowanie drogi z Ołomuńca do Svitavy. Początkiem września 1785 r. zamieszkał w Nowym Jiczynie, gdzie pod koniec tego samego roku został przeniesiony w stan spoczynku. Możliwe, że przedwczesne zwolnienie wynikało z postępowania dyscyplinarnego mającego związek z defraudacją funduszy państwowych. W Archiwum Ziemi Opawskiej znajdują się liczące paręset stron akta sprawy z lat 1775-1782, wobec czego można uznać, że przewinienia były poważne. W okresie zawieszenia zawodowego zajmował się własnymi pasjami, a więc historią, geografią, chemią, mineralogią, naukami przyrodniczymi, a zwłaszcza astronomią. W styczniu 1786 r. przeprowadził się do Wiednia, gdzie jako współautor przygotowywał nowe wydanie atlasu. W 1788 r. został ponownie zatrudniony na miejsce ustępującego Franza von Cerriniego (dawnego przełożonego Wussina), na stanowisku inspektora budowy dróg dla Śląska Austriackiego i Moraw (na tej pozycji pozostał do 1803). W 1801 r. otrzymał zlecenie dworu cesarskiego na budowę kanału wodnego prowadzącego



Mapa sytuacyjna. Źródło: Czesław Kraina

1. Magazyny soli · 2. Rzeźba św. Jana Nepomucena · 3. Kapliczka św. Krzyża · 4. Fabryka sukienicza
5. Kapliczka św. Antoniego Padewskiego · 6. Krzyż przydrożny · 7. Most Solny
8. Most zalewowy · 9. Prom linowy · 10. Most Gurniaka

z Wiedeńskiego Nowego Miasta. W dwa lata później miał przejąć nadzorowanie budowy dróg w Dolnej Austrii, jednak 18 kwietnia tego samego roku doznał udaru mózgu. W jego wyniku utracił przejściowo mowę, a powrót do zdrowia trwał ponad 5 miesięcy. Z końcem września przeprowadził się do Brna. W 1804 r. rozpoczął kurację uzdrowiskową w Trenczyńskich Cieplicach oraz w Pieszczanach, która nie przyniosła znaczącej poprawy. Z tego powodu w październiku tegoż roku podjął decyzję o przejściu na emeryturę. W 1805 r. przeprowadził się do Cieszyna, co jeszcze bardziej zacieśniło jego koleżeńskie relacje z Szersznikiem, z którym znał się od 1777 r. Jego pobyt w Cieszynie nie trwał zbyt długo, co być może było spowodowane powikłaniami zdrowotnymi, dlatego powrócił do Brna, gdzie zmarł 21 stycznia 1813 r. w wyniku kolejnego udaru.

STANISŁAW KOŁEK

Sibica – mój drugi dom rodzinny

Wstęp

Moim pierwszym domem rodzinnym była Karwina Frysztat. Tam spędziłem dzieciństwo, chodziłem do szkół, stąd dojeżdżałem na uczelnię w Ostrawie. W 1983 roku, w wieku 25 lat, razem z żoną i dwójką małych dzieci postanowiliśmy osiedlić się w Czeskim Cieszynie Sibicy.

Historia Sibicy

Pierwsza pisemna wzmianka o wsi Sibica pochodzi z 1461 roku, kiedy to książę cieszyński Wacław I przekazuje ją wraz z innymi dobrami swemu bratu Przemysławowi II. Herb wioski utrzymany jest w kolorach Piastów cieszyńskich, widnieje na nim złota harfa na błękitnej tarczy. Na starych mapach austriackich widnieje nazwa Schibitz, a późniejsza czeska nazwa wsi przyjęła się jako Svibice. W centrum wioski wzniesiono w 1855 roku kaplicę, którą w 1893 roku przebudowano na kościółek św. Jadwigi. Z tego samego okresu pochodzi cmentarz, którego prawa strona była przeznaczona do grzebania zmarłych ewangelików, a lewa strona dla katolików. Pierwszą szkołę we wsi zbudowali z własnych składek Polacy w 1873 roku. Była ona i jest do dnia dzisiejszego ważnym miejscem krzewienia polskości w Sibicy. W roku 1912 zbudowano większą, piętrową szkołę niemiecką, do której przeniesiono



Kościół św. Jadwigi z 1893 r.



Sibica na początku XX w.

także i polskie klasy. W roku 1921 w tym samym budynku otworzono pierwszą mniejszościową klasę czeską, do której na początku zapisano 19 uczniów.

W drugiej połowie XIX wieku pierwotnie rolniczy charakter miejscowości zaczął się zmieniać pod wpływem rewolucji przemysłowej. W 1870 roku przez wieś wzdłuż ulicy Jabłonkowskiej wytyczono trasę kolei żelaznej. W przeciągu XX wieku w Sibicy rozbudowano towarowy dworzec kolejowy do szerokości 24 równoległych torów. W 1886 roku Franciszek Górniak (1854-1899) założył cegielnię, którą stopniowo modernizował. W 1895 zbudował drugi piec oraz wprowadził maszyny parowe do wykonywania najcięższych prac. Był działaczem wspierającym polskie życie narodowe. Znany jest przede wszystkim z tego, że ofiarował cegły na budowę polskiego Domu Narodowego na rynku w Cieszynie.

Za torami kolejowymi wzniesiono dominujący do dzisiaj nad Sibicą wysoki budynek – siedmiokondygnacyjny gmach słodowni, nazywany przez miejscowych malcownią. Produkowała ona sód nie tylko dla miejscowych browarów, ale także na eksport do państw Europy Zachodniej.

Po drugiej wojnie światowej w 1947 roku Sibicę administracyjnie połączono z Czeskim Cieszynem. W tym samym roku tutejsi Polacy założyli Miejsce Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.



Sibicka szkoła z 1873 r. (ok. 1955 r.)



Szkoła niemiecka, polska od 1912 r., czeska od 1921 r.



Malcownia



Sibica – osiedle w 2006 r.

Skąd się wzięli górnicy w Sibicy?

Po roku 1980 powstało osiedle bloków z wielkiej płyty i tym samym zmienił się wiejski krajobraz Sibicy, jej charakter i struktura narodowościowa. Według ówczesnych statystyk na terenie Czeskiego Cieszyna dla górników wybudowano przeszło 600 mieszkań. Paradoksalnie miało to także wpływ na wzrastającą ilość dzieci w polskiej szkole podstawowej, bowiem oprócz ludności napływowej z różnych regionów Republiki Czeskiej, na osiedlu zamieszkali również zaolziańscy Polacy. Prawie nikt już nie pamięta, iż w tym czasie w rejonie Żukowa planowano budowę nowej kopalni węgla kamiennego. Na mapach geologicznych wyznaczono już nawet pola wydobywcze Żuków-wschód i Żuków-zachód ciągnące się od granicy na Olzie w Sibicy aż po Stonawkę w Trzanowicach. Na szczęście w latach 90. wstrzymano realizację tych projektów. Jednak pomimo tego z pokładów węgla zalegających

Czas pracy w kopalni wynosi około 6 godzin. Dlaczego? Ponieważ po zjechaniu na dół górnicy udają się na podziemny „dworzec kolejowy”. Wsiadają do kilku różnych pociągów, które ruszają potem po kilka kilometrów w różnych kierunkach w zależności od miejsca pracy. Pociągi wąskotorowe z kilkoma wagonami poruszają się dość szybko po poziomych torach po głównych chodnikach, czyli po przekopach. Ale to jeszcze nie koniec podróży. Na końcowych stacjach pracownicy przesiadają się do kolejki zawieszanej na jednej szynie pod „sufitem” chodnika i wyruszają w dalszą podróż. Tym razem chodnik nie prowadzi już poziomo, ale w zależności od ułożenia pokładów węgla. Pociąg zatrzymuje się zawsze przed drzwiami wentylacyjnymi, pomocnik maszynisty je otwiera i po przejechaniu pociągu znowu je zamyka. Na miejsce pracy górnicy docierają po około jednej godzinie od zjechania na dół. Czyli godzinę trwa transport tam, 6 godzin pracy, godzina na transport powrotny „ku zachcie”, w sumie 8 godzin. Pasuje! Z tego powodu wprowadzono system czterozmianowy, który zapewnia wydobywanie non stop. Po szychcie „farung na wyrch”, mycie w „kómpielu” i biegiem na autobus w kierunku Sibicy. Po drodze do domu obowiązkowe piwo w restauracji „Kisuca”, która też działa w systemie non stop, 24 godziny na dobę. Ku czci!

głęboko pod powierzchnią ziemi ludzie i tak korzystają. Za pomocą odwiertów w Żukowie wydobywa się ze złóż karbonowych gaz ziemny, który używany jest do produkcji ciepła w zakładach przemysłowych oraz ogrzewania mieszkań. Nie trzeba chyba podkreślać, że z gazu ziemnego korzystamy także dzięki pracy górników.

Po studiach w 1982 roku od razu otrzymałem nowe górnicze mieszkanie w Sibicy. Codziennie w godzinach porannych od 4.30 do 5.00 z przystanków autobusowych odjeżdżało kilkanaście autobusów w kierunku większości kopalń Zagłębia Karwińskiego. To samo działo się 6 razy w ciągu 24 godzin, ponieważ wszystkie kopalnie działały równolegle w systemie trzy- i czterozmianowym. Rano od 6.00 rozpoczynała się zmiana przygotowawcza, podczas której przebiegała konserwacja i remont maszyn oraz wszystkie czynności związane z przygotowaniem wydobywania. Zmiany produkcyjne rozpoczynały się od 12.00, 18.00 i 00.00. Oprócz tego były zmiany pomocnicze, które rozpoczynały się od 14.00 i 22.00.

Granice na mapach

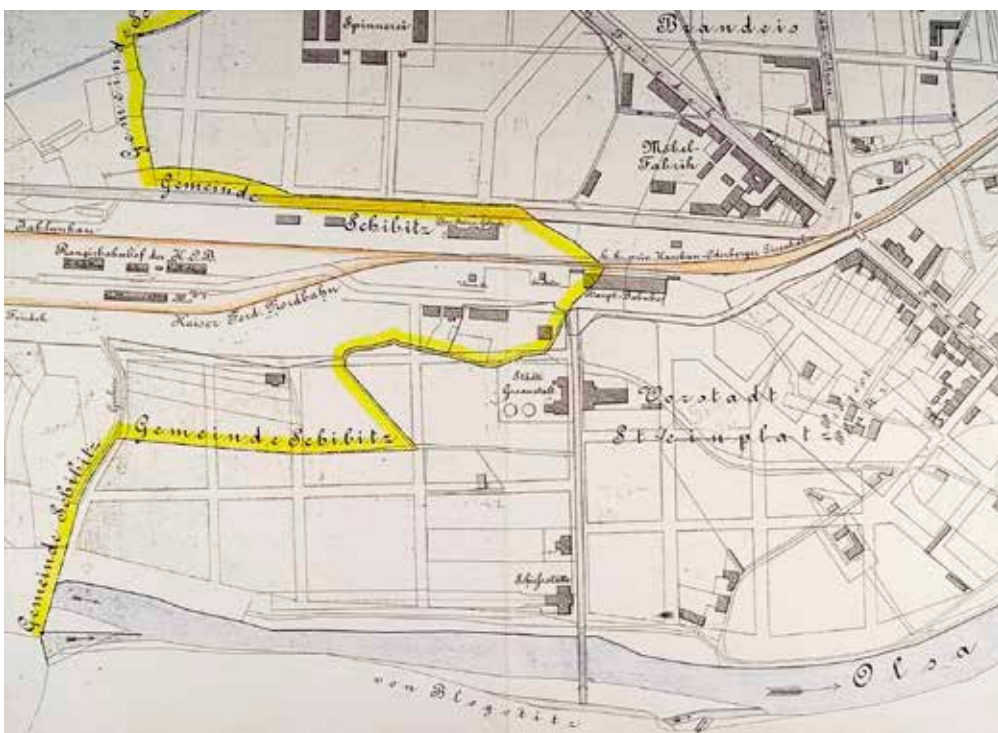
Tak jak historyczny Śląsk dzieli się na Dolny i Górny, podobnie Zaolzie, chyba od czasów jego powstania w 1920 roku, podzielone jest na „hawiyrski doły” oraz górzystą „goralię”. Pamiętam, że ten niepisany podział nabierał konkretnych kształtów w szkołach średnich podczas ustalania dwu drużyn w meczach piłki nożnej. Uczniowie mieszkający na terenach od Bogumina przez Orłową, Karwinę aż po Sibicę włącznie grali w zespole Hawiyrzy, natomiast mieszkający od Ropicy przez Trzyniec, Jabłonków aż po tunel w Mostach grali jako Gorole. Można by powiedzieć, że tą umowną linią była granica między powiatami Karwina i Frydek-Mistek. Z tego punktu widzenia to właściwie Sibica i Ropica są miejscowościami granicznymi.

– Ropica ma trzy dworce kolejowe! – chwalił się zawsze kolega z tej miejscowości. Patrząc jednak na mapę, można zaobserwować ciekawe, aż nienaturalne załamania



Sibica za nami i przed nami, a przystanek na Balinach to Ropica

linii granicy w okolicach przystanku kolejowego nazwanego notabene „Ropica przystanek”. Tory kolejowe przed przystankiem oraz około 400 m za przystankiem, łącznie z mostem na Olzie, znajdują się na terenie Sibicy. Skąd więc wzięła się jego nazwa? Logicznie przecież powinno być „Sibica przystanek”. Drugi przystanek w Ropicy to dworzec kolejowy niedaleko centrum wsi z pięknym zabytkowym budynkiem. Tu wszystko gra i śpiewa. Natomiast trze-



Mapa historycznych granic Sibicy sprzed 1909 r.

ci przystanek kolejowy „Ropica Zalesie” według mapy katastralnej leży na terenie Trzecieża... Ktoś musiał chyba mocno lobbować, by „Ropica miała trzy dworce”.

Dla kartografów na południowych rubieżach Sibicy na granicy polsko-czeskiej znajduje się kolejny ciekawy punkt. Mianowicie na mapie stykają się cztery miejscowości: Czeski Cieszyn-Sibica, Trzyniec-Osówki, Cieszyn-Błogocice i wieś Puńców, a zarazem trzy powiaty: Karwina, Cieszyn i Frydek-Mistek. A więc mamy tutaj w tym jedynym punkcie nie tylko państwowy dwustyk, ale też i powiatowy trójstyk, a nawet czterostyk, jeśli chodzi o miejscowości. W części Sibicy zwanej Baliny granica państwowa opuszcza środek koryta rzeki Olzy, by pod kątem prostym skierować się na jej prawy brzeg. Biegnie dalej lekko pod górę okrążając rezerwat przyrody Wielkie Doły. Nazwa pochodzi z czasów, kiedy kopano tutaj wapień potrzebny dla huty trzynieckiej. Do dzisiaj można zauważyć miejsca dawnego wydobywania. Przed ponad stu laty, przed podziałem Śląska Cieszyńskiego, przez obecny rezerwat po prawym brzegu Olzy prowadziła główna droga z Końskiej do Cieszyna. Od 1920 roku Olza tworzy naturalną granicę państwową tylko od Sibicy do Karwiny Raju oraz od Dzieńmorowic po ujście do Odry w Boguminie (z kilkukilometrową przerwą w Wierzniowicach). Łączna długość granicy na Olzie wynosi więc tylko 25 km, co stanowi ¼ jej całkowitej długości.

Wróćmy jednak do historycznej północnej granicy Sibicy z Cieszynem, bo właśnie tutaj miała ona bardzo ciekawy przebieg. Dzisiaj już mało kto wie, że część dworca głównego w Czeskim Cieszynie znajdowała się na terenie Sibicy. Obrazowo można powiedzieć, że dawny lokal restauracji II kategorii (tzw. Dwójki) leżał w Cieszynie, a lokal IV kategorii (tzw. Jutrzenki) znajdował się już w Sibicy. I to w tym samym budynku dworca kolejowego. Granica potem przecinała ulicę Strzelniczą, Fabryczną, Graniczną, zmierzała w stronę ulicy Potocznej i przed bramą Parku Adama Sikory przecinała Olzę. Na początku XX wieku doszło jednak do zmiany. „Gwiazdka Cieszyńska” z 6 stycznia 1909 r. donosi: „Wcielenie Nowej Sibicy do Cieszyna odbyło się w sobotę, dnia 2. bieżącego miesiąca. Odnośną umowę podpisali ze strony Sibicy: burmistrz p. Branny i radni: pp. Tomanek, Macura i sekretarz gminny p. Szczygieł. Sibica otrzymała od miasta Cieszyna za odstąpienie Nowej Sibicy 20.000 Koron”. I tak zagmatwaną granicę wyprostowano: biegła teraz po dzisiejszej ulicy Potocznej prostopadle przez tory kolejowe oraz ulicę Jabłonkowską i przecina niemalże na połowę tereny, na których stoi dzisiaj market Tesco. I tak w Tesco po lewej stronie alejki głównej zakupy robi się na terenie Sibicy, a w przyległych sklepikach na terenie historycznego Cieszyna. A przez bramę Parku Adama Sikory, gdzie w ubiegłym roku odbył się Festiwal PZKO, nadal wchodzimy do historycznej Sibicy. Fundator gruntu pod park Adam Sikora (1846-1910) to kolejny zasłużony dla polskości działacz na terenie Śląska Cieszyńskiego.

Rzeki i potoki

Wschodnią granicę Sibicy tworzy rzeka Olza, z wyjątkiem części prawobrzeżnego rezerwatu na wspomnianych już Balinach. Do Sibicy należała także część terenów Błogocic na prawym brzegu rzeki, które po podziale Śląska Cieszyńskiego w 1920 roku przydzielono do Polski. Na rzece zbudowano cztery stopnie wodne, przez miejscowych nazywane gaciami. Pod drugim stopniem wpada do Olzy rzeka Ropiczanka, która ma swe źródła w Beskidach na stokach góry Ropica (szczyt 1083 m n.p.m.). Na trzecim stopniu bierze początek prawobrzeżna Młynówka, która zasilana wodą z Puńcówki płynie przez tzw. Cieszyńską Wenecję wzdłuż romantycznej uliczki Przykopa. Młynówka wpada potem do Bobrówki, a ta po chwili do Olzy.



Sibica Baliny, rezerwat Wielkie Doły



Gospoda Dělo czyli Armata z 1897 r. (obecnie nieczynna)

Przez centrum Sibicy przepływa potok Sadowy, który ma ujście do Olzy za Parkiem Adama Sikory. Jego źródło znajduje się w Żukowie Dolnym. Sadowy tworzy naturalną granicę między starą częścią osady a osiedlem mieszkaniowym. Most przez potok na ulicy Jabłonkowskiej ma ciekawą konstrukcję. Składa się z trzech części. Środkowa w kształcie kamiennego sklepienia pamięta jeszcze czasy, kiedy budowano tutaj „cysorskóm ceste”. Dwie przestronne boczne betonowe części zapewniły możliwość poszerzenia ulicy i budowę chodników. Swego czasu po ulewnym deszczu ciasny środkowy przepust pod mostem zapchało wywrócone drzewo, a wezbrane wody potoku zalały domy zaskoczonych sibiczian.

Należy jeszcze wspomnieć o tylko częściowo zachowanej lewobrzeżnej Młynówce, która kiedyś napędzała kilka młynów. Swój początek brała na stopniu wodnym Ropiczanki w pobliżu wspomnianego już dworca kolejowego w Ropicy. Nieopodal napędzała mechanizmy pierwszego młyna. Dzisiaj znajduje się tam skład kamienia kruszonego. Dalej Młynówka krzyżowała się z potokiem Rakowiec, podpływała pod nasyp torów kolejowych prowadzących w kierunku Frydka. Następnie koło gospody Armata w centrum wioski łączyła swe wody z potokiem Sadowym. Niedługo jednak się „kumały”, bo przed niewielką zaporą Młynówka kontynuowała swój dalszy bieg. Jej zlikwidowane koryto można wyśledzić tylko na podstawie historycznych map. Dzisiaj przepływałyby na zapleczach marketów Lidl, Tesco i Billa, by napędzać tzw. Stary Młyn przy ulicy Ostrawskiej. Trzeci z kolei młyn znajdował się w okolicy dzisiejszej restauracji „Na Brandysie”. Tam Młynówka spełniwszy swe zadania wpadała do rzeczki Grabinki, by wspólnie mogły połączyć swe wody z Olzą.



Polska Szkoła Podstawowa w Sibicy na ul. Polnej, 2023 r.

150 lat polskiej szkoły w Sibicy

Szkołę w Sibicy wybudowano, jak już wspomniano, w 1873 roku, na skrzyżowaniu dróg Jabłonkowskiej i Dolno-Żukowskiej. W niedzielę 16 listopada 1873 została ona uroczystie otwarta. „Gwiazdka Cieszyńska” z 22 listopada 1873 roku opisała przebieg tego wydarzenia i tekst przemówienia Jana Glajcara (1823-1911), radnego gminy i jednego z założycieli szkoły. Językiem nauczania był język polski, język macierzysty większości mieszkańców wsi. W pierwszym roku szkolnym zapisano do szkoły 59 dzieci, reszta uczęszczała jeszcze do szkół w Cieszynie. Z biegiem lat uczniów przybywało. W latach 1911-1912 gmina wybudowała nowy budynek szkolny. Istniejącą szkołę rozszerzono na czteroklasową, ale równocześnie, decyzją ówczesnych władz gminy, stała się szkołą niemiecką. W starym budynku pozostawiono jedną klasę z polskim językiem nauczania aż do 1919 roku, kiedy ją przeniesiono do nowego gmachu, a szkołę rozszerzono na pięcioklasową. W 1920 roku po podziale Śląska Cieszyńskiego i przyłączeniu Zaolzia do Czechosłowacji, w Sibicy działała pięcioklasowa szkoła niemiecka i dwuklasowa szkoła polska. W 1921 roku otwarto jedną klasę czeską. Wszystkie trzy szkoły mieściły się w tym samym budynku.

Po przyłączeniu Zaolzia do Polski w 1938 roku zamknięto szkołę niemiecką i czeską. Na początku okupacji niemieckiej w 1939 roku szkoła polska została zamknięta. Po zakończeniu II wojny światowej w 1945 roku ponownie otwarto czeską szkołę, a na krótko również polską, którą jednak już w następnym roku



Dawna szkoła polska, obecnie Dom Polski PZKO, 2023 r.

Dawny budynek polskiej szkoły z 1873 roku, dzisiaj Dom Polski PZKO Sibica, to siedziba prężnie działającego MK PZKO. We wrześniu 2023 roku w tym budynku pani prezes Irena Kołek otworzyła coroczną imprezę „Kobzolszo!”, czyli święto ziemniaka. W obecności dyrektora szkoły Marka Grycza oraz całego grona pedagogicznego z Sibicy zainaugurowano również obchody jubileuszowego roku szkolnego 2023/2024. Odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej przypominającej 150-lecie polskiego szkolnictwa w Sibicy, którego dokonał wicehetman województwa morawsko-śląskiego Stanisław Folwarczny. Ponad 300 gości na PZKO-wskiej imprezie zaproszono także do obejrzenia wystawy, którą z tej okazji przygotował Marian Steffek z Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków. W drugiej sali można było obejrzeć historyczną klasę ze starymi ławkami z kałamarzami, książkami, zeszytami i pomocami naukowymi. Wystawiono także do wglądu stare i nowe kroniki szkolne oraz kroniki Miejscowego Koła PZKO. W maju 2024 roku odbędzie się uroczysta akademie szkolna w Ośrodku Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie. Wszystko wskazuje na to, że polska szkoła w Sibicy ma przed sobą kolejne pomyślne lata.

znów zamknięto. W 1948 roku nauczanie w języku polskim przywrócono, ale dwuklasowej polskiej szkoły nie umieszczono w nowym, dobrze wyposażonym gmachu, ale w starym, ciasnym, zaniedbanym budynku bez odpowiedniego inwentarza. Dzięki ogromnemu wysiłkowi nauczycieli, rodziców i przyjaciół szkoły stary budynek doprowadzono w następnych latach do stanu używalności. W 1958 roku dobudowano w ciągu pół roku szatnię, gabinet i kancelarię, w następnym roku przeprowadzono remont kapitalny całego budynku. Później przeprowadzono dalsze ulepszenia i wyposażono szkołę w pomoce naukowe. Dyrektorem szkoły był w latach 1949-1962 Wilhelm Mandrysz, zaś po nim w latach

1962-1983 Łucja Franek. W 1983 roku decyzją Powiatowej Rady Narodowej szkoła przestała być samodzielną placówką. Do 1991 roku działała tu tylko jedna zamiejscowa klasa (roczniki 1 i 2) czeskokocieszyńskiej podstawówki. Duże zasługi w tym, że szkoły w Sibicy nie zamknięto zupełnie, miał pan Stanisław Pielesz, który interweniował w tej sprawie u ówczesnych władz politycznych.

2 września 1991 r. ponownie otwarto samodzielną małoklasową Szkołę Podstawową z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie-Sibicy, a jej dyrektorką została Irena Ochodek. W latach 90. XX wieku liczba uczniów znacząco wzrosła, dlatego wykorzystano opuszczony budynek przy ulicy Przykopa oraz jeden lokal w Domu PZKO przy ulicy Jabłonkowskiej i umieszczono w nich kolejne klasy.

1 stycznia 2003 r. szkoła stała się zamiejscową placówką szkoły w Czeskim Cieszynie przy ulicy Hawliczka. Z powodów ekonomicznych 30 czerwca 2003 r. placówkę przeniesiono do nowego budynku polskiego przedszkola przy ulicy Polnej 10. Tak więc obecnie szkoła wraz z przedszkolem mieści się w jednym budynku, co stwarza lepsze warunki do współpracy. Kierowniczką szkoły jest Dagmar Ručka, a dyrektorem Marek Grycz. W roku szkolnym 2023/2024 w trzech klasach naukę rozpoczęło 45 dzieci. Niewielka liczba uczniów w klasie stwarza dogodne warunki dla indywidualnego podejścia do każdego dziecka w procesie nauczania. Do polskiego przedszkola zapisanych jest obecnie 25 dzieci.

Szkoła ma do dyspozycji klasopracownię komputerową, stołówkę szkolną oraz boisko. Zajęcia wychowania fizycznego odbywają się również w sali gimnastycznej czeskiej szkoły. Popołudnie uczniowie spędzają w świetlicy szkolnej, a duży ogród stwarza dogodne warunki do zajęć na świeżym powietrzu. Ponadto szkoła oferuje dzieciom naukę religii rzymskokatolickiej i ewangelickiej, kółko języka angielskiego, informatyki, kółko kreatywne, szachy i kółko twórczego myślenia. Oczywiście szkoła to nie tylko nauka, ale również wycieczki i inne przygody.

Podsumowanie

W Sibicy przeżyłem ponad 40 lat, tutaj założyłem rodzinę, poznałem wspaniałych przyjaciół, razem z żoną Ireną pracowaliśmy społecznie najpierw w Macierzy Szkolnej, a dotąd pracujemy w zarządzie MK PZKO. Od roku jestem na emeryturze, więc wolne chwile spędzamy razem w ogrodzie na Balinach nad Olzą i cieszymy się, kiedy odwiedzi nas trójka naszych dorosłych dzieci z partnerami i szóstką wnuków. W lecie razem z wnukami budujemy domek na drzewie lub kamienny zamek na rzecznej wyspie. Mamy też niewielką sezonową zaporę wodną, w której łowimy rybki. Starsze wnuki dziadek nauczył już śpiewać „Płyniesz Olzo po dolinie...”. Sibica to po prostu mój drugi dom rodzinny.

LIDIA KOSIEC

Błędowice – raj nieutracony?

ZDJĘCIA ANDRZEJ PAWLAS

Błędowice Dolne są dziś w przeważającej części dzielnicą Hawierzowa, nadal najmłodszego miasta w Republice Czeskiej. Coraz częściej mówi się i pisze o dawnych gminach, które zostały pochłonięte przez szkody górnicze i hutnicze, które po prostu przeminęły, ale dzięki ludziom mającym zdolność przywracania pamięci na nowo odżywają. Są też jednak wioski, na terenie których zbudowano miasta i osiedla, gminy, które uległy stopniowo zalewowi wielkiej płyty, ale mimo wszystko nie zniknęły z map, a przede wszystkim z pamięci dawnych mieszkańców oraz ich potomnych.

Takim właśnie miejscem są Błędowice Dolne, a świadectwo wiejskiego charakteru miejscowości stanowią dzielnice, które jeszcze przypominają to, że kiedyś w dolinie Łucyny wśród pól i lasów nasi przodkowie pobudowali swoje domy, gospodarzyli na polach i w ogródkach, pracowali na pańskim, troszczyli się o gospodarstwa, ziemię uprawną, sady... Choć tych miejsc również nie ominęła inwazja spowodowana dziś wysiewem nowych domków, których styl architektoniczny jest absolutnie rozmaity. Jednak wiejski klimat po części pozostał.

Jak dojechać do Błędowic?

Można z różnych kierunków. Rozpocznijmy od Cieszyna – historycznej stolicy naszego regionu, Śląska Cieszyńskiego. Opisywana gmina leży bowiem na szlaku słynnej drogi cesarskiej wybudowanej w XVIII wieku, łączącej dawniej Kraków z Cieszynem i Ostrawą. Do dziś w języku starszych mieszkańców gminy występuje pojęcie *cysorsko*, a ostatnim świadectwem jej dawnego biegu są sędziwe drzewa (lipa i jesion) wśród miejskiej zabudowy. Do dziś szosa pomiędzy Czeskim Cieszynem a Hawierzowem należy do bardzo malowniczych: zakrętasy i pokaźne kopce, niesamowity widok z Kościelca w stronę Beskidów, panorama całego naszego górskiego bogactwa.



Rok 1963 – ostatnie żniwa na polu rolnika Olszara, Podlesi

Od strony Karwiny droga do Błędowic prowadzi przez niedawno jeszcze nie-wzbudzające uwagi tereny pogórnice, mija dziś już słynny krzywy kościół św. Piotra z Alkantary, potem biegnie przez Suchą Górną i Średnią. Ta ostatnia również całkowicie zmieniła swoje oblicze, ulegając nowoczesnej zabudowie.

Można jechać od strony Ostrawy i Szonowa – tu też kłania się droga cesarska.

Można od Frydku, dziś Frydku-Mistku, tędy już nie prowadzą nas szerokie podmiejskie arterie, ale malownicza droga wijąca się wśród pól z pięknymi widokami. Mija ona między innymi Błędowice Górne, które nie będą tematem tego tekstu, oraz dolnobłędowicki katolicki kościół św. Małgorzaty.

Poza tym istnieje jeszcze czerwony szlak pieszy, co może zaskakiwać, ale kto jest piechurem wie, że oznaczone trasy turystyczne prowadzą wędrowców nie tylko przez góry. Tak więc wędrujemy w towarzystwie biało-czerwonych znaków (po przejściu 20 km) na szczyt Praszywej. Najpiękniejszy fragment trasy to właśnie jej błędowicki etap wzdłuż malowniczo meandrującej rzeki Łucyny. Zresztą w tym tańczącym stylu nasza rzeka w drugą stronę dociera aż do Ostrawy i w okolicy Zamku Śląskoostrowskiego uchodzi do Ostrawicy.

Podlesi

Dawne Błędowice Dolne, podobnie jak inne miejscowości, posiadały własne nazwy miejscowe, które do dziś funkcjonują w świadomości mieszkańców opisywanej gminy albo tego, co z niej pozostało. Ich przykłady zapisano w oryginalnym



Spacer skrajem Pańskiego Lasu,
z prawej pole w Żywocicach

a *Podlesi* wraz z całym swoim urokiem ukryło się w pamięci mieszkańców i na starych zdjęciach. Dzisiejsza betonowa zabudowa sprawia, że człowiek niezorientowany w temacie i przejeżdżający dziś przez Hawierzów nigdy by nie pomyślał, że jeszcze w latach 50. poprzedniego stulecia *Olszarów Las* był prawdziwym lasem dającym cień, grzyby, owoce leśne, schronienie zwierzynie, radość dzieciom. Pozostał w jego miejscu park leśny, a w nim drzewa, które dużo pamiętają. Na *Podlesiu* był też staw, na którym dzieciaki wyprawiały harce na ówczesnych prostych, przypinanych rzemykami do buczków łyżwach. Co może zaskakiwać, pozostała po nim wierzba, dziś przyglądająca się dziecięcym wyczynom na nowoczesnym placu zabaw. Przez dawne błędowickie *Podlesi*, niegdyś obsadzone poczciwymi gospodarstwami, prowadzi główna hawierzowska arteria biegnąca ze śródmieścia pod górę w stronę byłego hotelu Merkurs. Nikt, kto nie był tu przed laty albo nie posiada własnych wspomnień z tych miejsc, nie uwierzy, że zniknęła pokaźna część ważnej gminy na Śląsku Cieszyńskim.

brzmieniu, zgodnym z miejscowym zwyczajem. Są więc *Siedloki, Świyrkla, Fojstwi, Góry, Kopiec, Parcela, Kawkowice, Myszorka, Centrum, Kaszperczok, Zokościeli, Międzydoli, Dólniok, Dótek, Łąki, Podlesi...* Niezapomniane *Podlesi* wspominane jest często przez dawnych błędowian. Właśnie ta, uważana za najbardziej malowniczą część Błędowic, pochłonięta została w całości przez rosnące na wszystkie strony od lat 50. ubiegłego wieku nowe miasto Hawierzów. Nasi przodkowie wspominają, że zapowiadano coś innego. Miasto, które zrodziło się na terenie Szumbarku, miało się „skończyć” gdzieś w okolicach dzisiejszego centrum (obecnie dom handlowy Elan i plac centralny). Rodziny, które najczęściej w okresie międzywojennym, ale też później pobudowały się na *Podlesiu*, miały spać spokojnie. Stało się inaczej – pola, łąki i domy zostały pokonane przez potrzeby lokalowe oraz zryw budowlany,



Nieistniejący dziś pawilon w Parku Macierzy, pierwsza połowa lat 60. XX wieku

Łucyna

Rzeka wędrująca spod góry Praszywej w Beskidzie Śląsko-Morawskim i wpadająca po przebyciu niespełna 38 kilometrów do Ostrawicy jest nierozłącznie związana z Błędowicami Dolnymi. Po opuszczeniu sąsiednich Błędowic Górnych postanawia meandrować, czyli tworzyć zakola, zataczać kręgi wrzynające się czasem bardzo zdecydowanie w otaczające ją brzegi. Oczom wędrowca podążającego czerwonym szlakiem turystycznym w stronę Beskidów zostanie sprezentowany inny świat. Niedużo, może cztery kilometry spaceru, a krajobrazowo zupełnie coś innego niż pulsujące niedaleko duże miasto. Nie zabrakło na szczęście tego skrawka przyrody, bo miejsca otaczające rzekę są terenem zalewowym i dzięki temu ta część Błędowic została uratowana. Kiedyś rzeka po długotrwałych deszczach zalewała łąki, opuszczając je po kilku dniach. Dziś takie zjawisko jest wyjątkowe, opady rzadko powodują wezbranie Łucyny. W miejscu, gdzie nasza rzeka wpływa na teren dawnych Błędowic Średnich, kiedyś miejscowi zażywali uciech wodnych pod *zostawą*, czyli uroczym, typowym dla naszych rzek miejscem, z którego odprowadzano *młynkę* czy *młynówkę* w celu doprowadzenia wody do jednego z gminnych młynów. Dzieci nazywały to miejsce wodospadem, bo u podstawy rzeka spiętrzała się nad głowami i można było wejść pod spływającą z hukiem wodę. Naturalne,

niewymyślone przez nikogo w celach komercyjnych adrenalinowe przeżycie. Zakątek otoczony magiczną zielonością umożliwił wielu dzieciakom opanowanie umiejętności pływackich. Dziś na szczęście ta okolica za bardzo się nie zmieniła, jednak koryto rzeki pod *zostawą* wypełniono wielkimi głazami, które naruszyły wygląd tego miejsca. Zresztą kilka kilometrów wyżej opisywana rzeka w latach 60. minionego wieku została przegrodzona wysoką betonową tamą w miejscu, gdzie powstała Zapora Żermanicka.

Łucyna pojawiła się w tytule pracy naukowej słynnego polskiego lingwisty Jana Stanisława Bystronia „O mowie polskiej w dorzeczu Łucyny i Stonawki”, była też rzeką magiczną dla spędzającego dzieciństwo w Błędowicach poety i pisarza Wiesława Adama Bergera.

Strużnik

Potok, którego nazwa „Strużnik” prawdopodobnie wywodzi się od słowa *struga*, też wiele znaczy dla mieszkańców Błędowic. Choć po niespełna czterech kilometrach własnego istnienia oddaje swoje wody Łucynie, jednak w czasie swego biegu wiele widział. To właśnie w dolinie Strużnika pod koniec lat 20. minionego wieku miejscowi Polacy zrzeszeni w Kole Macierzy Szkolnej stworzyli ku uciechu mieszkańców niezapomniany Park Macierzy, który od roku 1930 stał się miejscem imprez, festynów szkolnych, dożynek. Tu spotykali się harcerze przy ogniskach, urządzano przedstawienia pod gołym niebem, za przysmak służyły ryby łowione wyłącznie w Łucynie albo młynce. Park Macierzy założono ze smakiem, na gruntach ofiarowanych przez rozumiejących potrzebę życia społecznego miejscowych gospodarzy. Niezapomnianym elementem tego zakątka był elegancki pawilon ze spadzistym dachem i kunsztownym balkonem. Właśnie tu w czasie imprez mogły przygrywać miejscowe orkiestry. Prawdziwa to była idylla!

Po latach okupacji gospodarzem parku stało się Miejsce Koło PZKO. Jego członkowie utrzymywali to uroczne miejsce, szanując spuściznę. Stopniowo jednak potok Strużnik stawał się coraz mniej atrakcyjnym miejscem zamieszkania ryb i raków, a ponad doliną pojawiły się pierwsze zabudowania rozpychającego się miasta... Działalność MK PZKO skupiła się w nowej siedzibie w centrum Błędowic. Dziś nie ma pawilonu, okrągłego podium do występów i potańcówek. Pozostały zarośla olszowe, stare drzewa, a u starszych pokoleń – wspomnienia.

Drzewiönka Kotuli

Z jednej strony opisywanego potoku Strużnik wznosi się spadziste, stosunkowo wysokie zbocze. Nie ma już nad Strużnikiem malowniczego drewnianego mostka z pęknięciem pośrodku. Prowadził od Parku Macierzy na wysoką stromiznę, a po-



Odśtonienie pomnika poległych w I wojnie światowej, czerwiec 1923 r.

tem dalej na *Fojstwi*. Pozostało jednak coś, co przekonuje do dziś dnia o rolniczym charakterze Dolnych Błędowic, o tym, że mieszkańcy dawnej wioski szanowali ziemię i to, co im dawała.

Drewniana chałupka w czasie rozbudowy miasta celowo została zachowana i dziś jest stosunkowo znanym obiektem muzealnym. Tego rodzaju drzewiönki były na Śląsku Cieszyńskim typowe dla okresu od końca XVIII do końca XIX stulecia. Jako datę budowy opisywanej drzewiönki podaje się rok 1781, kojarzący się wszystkim z patentem tolerancyjnym cesarza Józefa II. Dziś chałupka jest ekspozycją muzealną, przewodniczki rzetelnie pokazują dawne izby, opowiedzą o historii i pokażą ciekawe ekspozyty związane z życiem codziennym naszych przodków. Są imprezy z udziałem błędowickich „Kamratów”, pokazy rzemiosł. Do najciekawszych należą wyroby miejscowych garncarzy, Błędowice Dolne należały bowiem do większych ośrodków garncarskich. Błędowicką ceramikę łatwo rozpoznać po czystej, śmietanowobiałej polewie i roślinnych motywach w dekorze. Drzewiönka stoi w ustronnym miejscu, nad opadającym w stronę potoka ogrodem, z sąsiadującą stodołą (młodsza od chałupki) i powieternikiem. Jednak dojście do tego idyllicznego zakątka jest absurdem naszych czasów. Prowadzi przez areał garażowy i wywołuje trudne do opisania emocje u ludzi zmierzających do drzewiönki. Pomimo dobrego oznakowania niektórzy mają problem z jej odszukaniem. A warto, naprawdę warto.

Powieterniki

Z krajobrazem Błędowic nieodłącznie kojarzą się *powieterniki*, czyli nieduże młynki do przemiału zbóż. Są charakterystyczne dla oblicza Śląska Cieszyńskiego i jego terenów przygranicznych. W samych Błędowicach Dolnych oraz okolicznych miejscowościach (przykładowo Szonów, Błędowice Średnie i Górne, Datynie Dolne, Cierlicko, Olbrachcice i wiele innych w bliższej i dalszej okolicy) można ich wypatrywać, do czego najlepiej posłużyć się uważnym spacerem. W bardzo dobrym stanie jest młynek koło wspomnianej drzewiówki Kotuli.

W zasadzie jest to typ wiatraka obrotowego. Jego skrzydła, tzw. łopaty, były początkowo drewniane, później z blachy żelaznej. Obroty łopat uruchamiały prosty w konstrukcji mechanizm przemiałowy z wykorzystaniem wiatru, później silnika. Urządzenie służyło przede wszystkim do śrutowania zboża. *Powieterniki* są uroczymi małymi zabytkami, uważny obserwator i miłośnik naszych krajobrazów z pewnością ucieszy się na ich widok. Choć wiele z nich dzisiaj prezentuje się szczerząco, dobrze, że w cieniu wielkiego miasta zadbano o jeden z młynków.

Szkoła

Dzieje polskich placówek edukacyjnych wymagają fachowej wiedzy opartej na źródłach historycznych. Nie inaczej jest w wypadku Błędowic Dolnych. Istniejąca do dziś polska szkoła też doczekała się swoich historycznych życiorysów. Dziś stoi jak przed laty – w tym samym miejscu od roku 1911, nienaruszona rażąco zmianami architektonicznymi, choć remonty oczywiście co jakiś czas przebiegały. Jasnożółta elewacja i pocziwy ciemnoczerwony dach, tak zapamiętała ją większość z nas. Nie czas i miejsce w tym momencie na opisywanie jej zawiłej historii. Jeden fakt jest jednak bezsprzeczny – placówka jest najstarszą szkołą na terenie miasta Hawierzowa. Od kilku lat przy furtce prowadzącej do ogrodu szkolnego stoi symboliczna czerwona kredka sporej wysokości, a umieszczona na niej tabliczka informuje o rodowodzie szkoły i jej wieku. Ze względu na to, że szlakiem prowadzącym w pobliżu szkoły podążają szczególnie w weekendy liczni spacerowicze, tabliczka ta wywołuje reakcje. Różne, najczęstszą jest jednak wielkie zdziwienie. Dobrze się stało, że ten symbol, umieszczony tu z inicjatywy Rodziców dziatwy szkolnej, symbolicznie informuje o rodowodzie błędowickiej podstawówki.

Dla żądnych wiedzy o pochodzeniu błędowickich autochtonów oraz ich szkoły najważniejszym powinien być pomnik mieszczący się głębiej w ogrodzie, w jego centralnej części. Rok 1922. Aktywne Miejscowe Kółko Rolnicze podejmuje się budowy pomnika. Błędowice nadal żyją pamięcią niedawno skończonej wielkiej wojny. Uroczystość odsłonięcia odbyła się w czerwcu 1923 roku. 39 nazwisk i napis



Szkoła pod koniec lat 60. XX wieku, pomiędzy drzewami widoczny opisywany pomnik

„Na pamiątkę poległych z Błędowic Dolnych w wojnie 1914-1918”. Któż mógł wtedy przewidzieć, że tylko przez kolejnych 16 lat miejscowi obywatele będą cieszyć się pokojem. Ofiarom kolejnego starcia demonów poświęcono pomnik na miejscowym cmentarzu ewangelickim. Troszczą się o niego miejscowi pezetkaowcy.

Tak było i tak jest

Centrum opisywanej gminy co do zabudowy zbytnio się nie zmieniło. Stoi i działa szkoła, w jej sąsiedztwie kościół ewangelicki i nieulegające (na szczęście) radykalnym zmianom zabudowania fary, dawnej szkoły ewangelickiej, pozostał dwór i okoliczne domy. Niestety metamorfozie uległ budynek przedszkola, które przeniesiono do pobliskiej szkoły, a jego siedzibę przekształcono w prywatny dom mieszkalny.

Piesi nadal mogą przejść chodnikiem między płotami, ulubioną błędowicką „uliczką”. W zeszłym wieku prowadziła ona w kierunku dawnej gospody „Zborówka”, dziś Domu PZKO, który stanął w jej miejscu w latach 80. XX wieku. Dawna nazwa tego obiektu nadal funkcjonuje dzięki przekazowi ustnemu. Sielankę błędowickiego centrum w znaczącym stopniu burzy wzmagający się z każdym rokiem



Polska szkoła i kościół ewangelicki w Błędowicach Dolnych, rok 1964

ruch samochodowy. Nie do opanowania – tak jest właściwie wszędzie, piesze powroty do domu to rzadkość. Wygoda i pędząca naprzód nowoczesność wygrywa z tradycją.

Kościół ewangelicki

Droga do Hawierzowa od strony Cieszyna prowadzi przez znany *Błędowicki Kopiec*. Pokażne wzniesienie, kiedyś sporadycznie zabudowane, pełne pól, dziś pokryte ciasną zabudową domków jednopiętrowych. W oddali z południowo-zachodniej strony widoczne są ślady dawnych sielskich Błędowic, czyli między innymi *Dólniok* i *Międzydole*. Podlesi po przeciwległej stronie to dziś wieżowce i bloki.

Uważny podróżny zmierzający w stronę miasta zauważy charakterystyczną piękną wieżę kościoła ewangelickiego. Sąsiad szkoły prezentuje się dostojnie, zbudowano go po patencie tolerancyjnym cesarza Józefa II. Należy do luteranckich kościołów tolerancji i jest jednym z najstarszych przybytków tego typu na naszym terenie (wraz z kościołem w Ligotce Kameralnej). Pierwotnie Dom Modlitwy bez wieży, został w roku 1852 wzbogacony tym niezbędnym elementem wraz z dzwonami i od tego czasu patronuje całej dawnej wiosce. Budowla o klasycystycznej architekturze po kilku generalnych remontach na szczęście nie zmieniła zasadniczo swego charakteru. Piękne jest brzmienie dzwonów, urzeka swoją wspaniałością wnętrza, które zaskakuje osoby przybywające tu po raz pierwszy. Monumentalny ołtarz w stylu przypominającym barok, dostojne posągi apostołów po jego bokach,



Remont kościoła, rok 1965



Kościół ewangelicki, rok 1981

a przede wszystkim nietypowo umieszczona ambona, wysoko w centralnym miejscu samego ołtarza. Dwa poziomy zdobnych pawlaczy. Zaskakujące są też kolorowe freski na sklepieniu, które symbolicznie wzywają wiernych do podniesienia głowy. Kogut, symbol czujności i zwiastowania nadchodzącego dnia, często występuje w kościołach protestanckich i nie tylko. W Błędowicach umieszczony został na końcu dachu naprzeciwko wieży, uważny przechodzień bez trudu go zauważy.

Gmach kościoła kilkakrotnie remontowano, niedawno kompleksowemu odświeżeniu poddane też zostały pięknie brzmiące organy firmy Reger z Krnova, wstawiono nowe okna kościelne, którym przywrócono pierwotny biały odcień.

Poza tym?

Błędem byłoby sądzić, że niewymienione w tekście miejsca i obiekty są mniej znaczące. Powyższy wybór jest intuicyjny, pozostało jeszcze wiele ciekawego i wartościowego do opisanie. Zabytkowa brama starego cmentarza ewangelickiego z polskimi napisami, stojący nieco na uboczu kościół katolicki św. Małgorzaty, budynek dawnego Domu Robotniczego, przystosowana do innych celów dawna gospoda *U Wyncla*, w której kiedyś Scena Polska Teatru Cieszyńskiego wystawiała swoje spektakle, jest też czekający na lepsze czasy budynek remizy strażackiej... Wszystko ciekawe i warte opisanie.

Czas płynie i zmienia... nie wszystko. Są na szczęście ludzie, którzy potrafią wspominać dawne czasy i pozytywnie zarażać kolejne pokolenia. Błędowice w pewnym momencie zostały poddane próbie przetrwania. Obroniły się, warto je odwiedzić i wyciągnąć rękę w stronę niełatwej jak zawsze historii.

OTYLIA TOBOŁA

Wójt małego Kuwejt

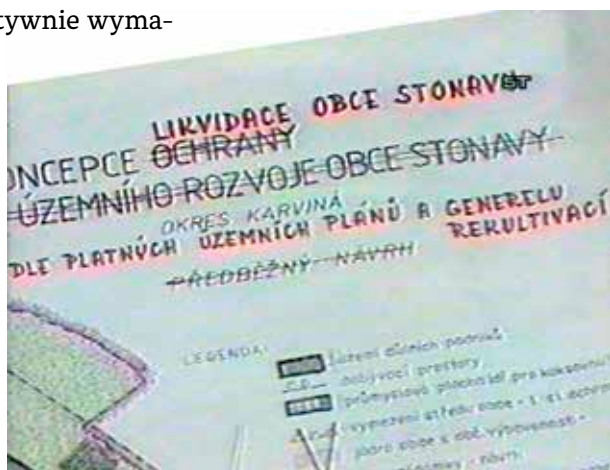
W eźmy to tu od kościoła – powiedział mój przewodnik, pierwszy operator stonawskiej telewizji Stanisław Orszulik – tu są Górzany, tam dalej Bonków, za rzeką są Dolany. W lewo od Dolan Krzywy Dół i Hołkowice. Nad Hołkowicami w kierunku Suchej – Nowy Świat. W prawo dalej od niego – Ameryka. Aż tam przy suskim lesie była Katarzyna, Stawy, no i Meksyk. Był Meksyk.

A teraz mówią, że tu jest Kuwejt.

Nazwana „małym Kuwejtem” Stonawa była dawniej wioską rolniczą z pięcioma folwarkami: Smółkowcem na granicy z Olbrachcicami, Owczarnią i Drzewienikiem w Bonkowie, Nowym Dworem na Hołkowicach i największym z nich, Dworem Zamkowym na Dolanach. Także niezatrudnieni w folwarkach stonawianie posiadali niewielki kawałek pola, lecz na życie zarabiali w kopalniach, które znajdowały się w sąsiednich miejscowościach. Kiedy węgiel znaleziono pod Stonawą, już tylko cud mógł ją uchronić przed losem tamtych górniczych wsi i miasteczek.

Nazwa „Stonawa” miała zostać definitywnie wyznaczona z map.

W latach pięćdziesiątych XX wieku znaleziono węgiel na granicy Stonawy z Suchą Górną i zaczęto głębić szyby kopalni „Suchá-Stonava”, niedługo potem przemianowej na „9. Květen”. Prawie w tym samym czasie w dzielnicy Meksyk wyrastały już dwa zakłady kopalni „ČSM” – „Sever” i „Jih” – oraz zakład przeróbki węgla i ciepłownia. Także tej kopalni musiały ustąpić miejsca dziesiątki hektarów lasu, pól i pa-



Podjęto decyzję o likwidacji Stonawy...



Andrzej Feber, wójt Stonawy w latach 1990-2022, od 2022 r. wicewójt, senator w latach 2000-2006 i od 2022 r.

stwisk. Sto domów w sadach i ogrodach zostało zburzonych i zrównanych z ziemią. Mieszkańcy masowo się wyprowadzali.

W 1972 roku na granicy Stonawy z Darkowem zaczęto budować kopalnię „Darkov”. Początki wydobywania ciągnących się stąd aż ku Karwinie pokładów węgla sięgały połowy XIX wieku i były związane z głębinieniem karwińskiego szybu Gabriela. W stonawskiej kopalni „Darkov” wydobywanie zaczęło się w 1982 roku.

I tak wieś otoczona z trzech stron kopalniami, których pola wydobywcze wciwały się głęboko w jej teren, i w których prowadzono bezwzględnie eksploatację rabunkową, płaciła najwyższą cenę za swoje niechciane bogactwo.

Przysłowiowym gwoździem do trumny stała się budowa gigantycznej koksowni, która pomiędzy zakładem „ČSM-Sever” a dzielnicą Górzany zagarnęła kolejnych sto hektarów ziemi. Wycięto pięćdziesiąt hektarów lasu, zniszczono grunty orne, łąki i ogrody. Kilkadziesiąt domów zostało zburzonych, a ich mieszkańcy przenieśli się do budynków z wielkiej płyty w pobliskich miastach albo do dwu niewielkich osiedli wybudowanych w dzielnicach Górzany i Nowy Świat. W dzielnicy Hołkowice przed domami, które jeszcze stały, zaplanowano poszerzenie drogi dojazdowej do koksowni i zabranie tutejszym mieszkańcom resztek ciszy i spokoju.

Stonawa = Zagłada

W Czechach zmiany polityczne jeszcze się nie zaczęły, podczas gdy w Polsce nabrały już znacznego rozpędu. Cieszyński antykwariusz, poeta i opozycjonista Jerzy Kronhold i jego przyjaciele z Solidarności Polsko-Czechosłowackiej w Cieszynie postanowili organizować manifestacje przeciw stonawskiej koksowni budowanej tuż za polską granicą. W akcję protestacyjną włączyła się Macierz Ziemi Cieszyńskiej. Osiemdziesiąt procent emitowanych przez koksownię gazów trujących, argumentowała, spadnie na tereny polskie. Beskidzkim lasom grozi zagłada. „Stonawa = Zagłada. Żądamy wstrzymania budowy koksowni w Stonawie!!!” – głosiły napisy na afiszach i transparentach.

Wkrótce protesty ekologiczne przybrały polityczne akcenty. Manifestacja 19 maja 1989 r. zgromadziła na polskim brzegu Olzy około dwustu protestujących. Na czeskim brzegu odgrodzonym kordonem policji zjawili się kilka osób i od razu zgarnęły je służby bezpieczeństwa.

– W jednym z naszych telewizyjnych programów – ciągnął swą opowieść Stanisław Orszulik – dyrektor kopalni J. P. powiedział, że oni mieli w planie uczynić ze Stonawy olbrzymie jezioro, wokół którego ludzie uprawialiby rekreację. Widzimy na przykładzie Łąk, jaka to rekreacja.

Ówczesni decydenci postanowili, że Stonawy ma nie być. Zamierzali przyłączyć część tego, co z niej zostanie, do miasta Karwina, a część do wsi Olbrachcice.

Taki los gotowali wiosce z długą, nietuzinkową historią...

Swoją kartę zapisali w niej również Febrowie, którzy Stonawę zasiedlają od prawie trzystu lat.

Stare stonawskie rody

Ród wójta „małego Kuwejtu” wywodzi się od Febrów kowali. Budynek kuźni już nie istnieje, lecz wójt go jeszcze pamięta, ponieważ będąc dzieckiem lubił asystować wujkowi Jankowi przy podkuwaniu koni.

Matka pochodziła z dużej ewangelickiej rodziny Recmaników, znanej z pielęgnowania polskość na tych terenach. 26 stycznia 1919 roku krwawe walki czechosłowacko-polskiej wojny przeniosły się do Stonawy, a niedługo po zawieszeniu broni pod Skoczowem zaczął się burzliwy okres przedplebiscytowy. Dziadek Józef Recmanik w sposób dość radykalny bronił polskość swojej ojcowizny i musiał uciekać do Polski. Zamieszkał w Chybiu, tam się ożenił i pozostał po polskiej stronie granicy. Nie skorzystał z amnestii ogłoszonej kilka lat po podziale Śląska Cieszyńskiego, lecz odwiedzał rodzinę w Stonawie.



Przed budynkiem kuźni Febrów

Zacząła się II wojna światowa, a wraz z nią przymusowa germanizacja. Dziadkowie Febrowie, nie bacząc na konsekwencje, określili swoją narodowość jako polską i ich szesnastoletni syn Bronisław, ojciec Andrzeja, został wywieziony na roboty przymusowe do Zagłębia Ruhry. I jak tysiące innych polskich robotników był wystawiony na niemieckie szykany i alianckie bombardowania.

Kuzyn ojca, podchorąży rezerwy Leon Feber, ukończył Seminarium Nauczycielskie w Cieszynie i nauczał w polskich szkołach w Dąbrowie i Pietwałdzie. Po przyłączeniu Zaolzia do Polski znalazł się w gronie absolwentów Centrum Wyszkołenia Lotnictwa Nr 1 i wybuch wojny zastał go w Dęblinie. Rodzina długo nie miała o nim wiadomości. Dopiero z zawiadomienia PCK w Moskwie z datą 4 lutego 1940 roku dowiedziała się o jego pobycie w sowieckiej niewoli. Dwa miesiące później został zamordowany w Charkowie razem z 3800 polskimi oficerami z obozu jenieckiego w Starobielsku.

* * *

Wojna nie oszczędziła też rodziny Recmaników, którzy tak samo nie podpisali volkslisty. Brat dziadka, Jan Recmanik, był rzutkim przedsiębiorcą. Obok gospody innego brata Recmanika stała jego prosperująca rzeźnia. W piątek 8 września 1939 roku Niemcy zamknęli go w podziemiach karwińskiego ratusza wraz z innymi dziewiętnastoma Polakami z Suchej, Karwiny, Łąk i Stonawy i po brutalnych przesłuchaniach 18 września przywieźli w grupie ośmiu więźniów do suskiego lasu niedaleko kopalni Barbara. Tam kazano im wykopać dół. Był to grób dla pierwszych dwunastu Polaków zamordowanych według listy „Sonderfahndungsbuch Polen”



Józef Recmanik (drugi z lewej) w armii austriackiej (1916)

przygotowanej przed wojną także z pomocą konfidentów z niemieckiej mniejszości na Śląsku Cieszyńskim.

Recmanik zasypując ciała zabitych, uderzył rydlem w pień drzewa. Chciał w ten sposób oznaczyć miejsce pochówku, żeby móc je po wojnie odnaleźć. Końca wojny nie przeżył. Jego rzeźnię upatrzył sobie Niemiec z Rumunii i wywieziono go do KL Auschwitz, gdzie zginął.

Inny brat dziadka Recmanika należał we wsi do zamożniejszych gospodarzy. Jak opowiadał jego wówczas dziesięcioletni syn Karol, tydzień przed świętami Bożego Narodzenia zjawili się wcześniej rano na ich podwórzu trzej policjanci z wozem i kazali się rodzinie naprędce spakować. Zamknęli dom i zabrali klucze. Ze Stonawy wysiedlili w tym dniu także braci Masymiliana i Eugeniusza Febrów mających własne gospodarstwa, Józefa Delonga i Józefa Böhma z Górzan. Prowadzili ich przez Cieszyn i Jabłonków do Istebnej. Po dwóch miesiącach rodzina Recmaników została wywieziona do Bilau (Biała Nyska), gdzie musiała pracować w olbrzymim majątku barona Ludwiga von Falkenhausena.

Po wojnie skonfiskowane przez Niemców gospodarstwo zabrało na mocy dekretów Beneša państwo czechosłowackie i Recmanikowie musieli do 1949 roku płacić mu czynsz ze swojej własności.

Zrzędzenia losu

Skończyła się wojna, a stosunki pomiędzy Czechosłowacją i Polską znów stały się wrogie. Wielu młodych Polaków z Zaolzia przedostało się do Polski, żeby tam móc rozpocząć studia. Los chciał, że ojciec Andrzeja, Bronisław, zdał do szkoły przemysłowej w Bielsku i tam po drugiej stronie granicy poznał Bronisławę, córkę Józefa Recmanika, który przed Czechami uciekał ćwierć wieku temu do Polski.

Młodzi wzięli ślub i zamieszkali w rodzinnej wiosce swoich przodków. W 1952 urodził się ich jedyny syn Andrzej.

Andrzej Feber ukończył dwie wyższe uczelnie, kolejarską w Żylinie i górniczą w Ostrawie. Najpierw pracował na kolei, później przeniósł się do pracy w kopalni „ČSA” w Karwinie. Mieszkał z rodziną, żoną Ewą i dziećmi Jolantą i Wojciechem, w unowocześnionym mieszkaniu w domu rodzinnym w dzielnicy Hołkowice. Oboje z żoną dawali pierwszeństwo życiu na wsi, cichej i spokojnej, z dala od miejskiego zgiełku. I tu nagle w 1988 roku „zwierzchność” postanowiła zakłócić im ten spokój i poszerzyć drogę dojazdową do koksowni biegnącą tuż pod oknami domków rodzinnych. Ludzie poczuli się bezradni, nie wiedzieli, jak temu zapobiec. Przyszły wójt wystąpił z petycją do władzy, wówczas jeszcze komunistycznej, niemniej również tu dochodził już do głosu, aczkolwiek opieszale, duch gorbaczewskich przemian. Wśród mieszkańców urządził zbiórkę na pokrycie kosztów ekspertyzy, która przekonała decydentów, że budowa obwodnicy będzie tańsza od poszerzenia starej drogi.

– W ten sposób – skomentował Feber tamten życiowy epizod – nieformalnie „wszedłem do polityki”.

W listopadzie 1990 roku odbyły się pierwsze wolne wybory do samorządów gminnych. Starując z listy Forum Obywatelskiego, Andrzej Feber otrzymał największą liczbę głosów i został wójtem. Teraz na terenie swojej rodzinnej wsi miał szansę zmienić charakter polityki samorządowej w stosunku do kopalni i innych dużych przedsiębiorstw.



Bronisława z domu Recmanik i Bronisław Feber, rodzice wójta Stonawy

Wójtę ponad trzy dekady

Tamtymi wyborami rozpoczął się jego trzydziestodwuletni maraton w funkcji wójta wioski skazanej na niebyt, wioski, która jednak niedługo miała się stać owym przysłowiowym „małym Kuwejtem”.

Ludziom, którzy starali się zrozumieć fenomen ciągłego obdarzania Febra zaufaniem w postaci liczby oddawanych na niego głosów, wyjaśniano, że jest to polityk z wizją, a tacy nie rodzą się na kamieniu. Posiada cenną umiejętność prowadzenia skutecznych negocjacji z właścicielami kopalni, w działaniach jest konsekwentny, niekonfliktowy i umie jednoczyć ludzi różnych narodowości.

Dzięki parlamentarzystom pochodzącym z Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego w 1992 roku został zaproszony do udziału w pracach nad projektem nowej ustawy o górnictwie.

– Trzeba spowodować, żeby w tych wagonach z „naszym czarnym złotem” nie odjeżdżały pieniądze w kierunku Pragi, Wiednia czy innych miejsc Europy w takich ilościach, jak dotąd – przekonywał twórców nowej ustawy. – Tych pieniędzy więcej powinno pozostawać w miejscu, gdzie ciężki przemysł uprzykrza ludziom życie. Prowadzi do szkód górniczych, które trzeba usuwać.

– Każdy ma swoje interesy – dodawał po wejściu ustawy w życie. – Te interesy są odmienne, ale respektujemy się. Do tej pory kopalnie patrzyły tylko na własne korzyści i niszczyły wioskę. Teraz zaczynają żyć z nią w symbiozie, dla obopólnej dobra. Ci, którzy nam zazdroszczą, widzą tylko te pieniądze. Ale one same nie przychodzą. Dajemy zatrudnienie ponad ośmiu tysiącom ludzi, którzy korzystają z naszych dróg, sieci inżynierskich, restauracji itp. Zostawiają tu ślad, nie zawsze pozytywny. A my musimy inwestować w naprawy.

Trudne początki

Po rządach komunistów zostały w Stonawie dziesiątki hektarów martwej ziemi z czarnymi osadnikami mułu węglowego. Zdążyły już wyrosnąć fundamenty i mury niechcianej koksowni. Gotowa była jej kanalizacja. Przywracanie do życia wioski spisanej na straty, już wykreślonej z rejestru gmin, zdawało się być przedsięwzięciem niewykonalnym. Dewastacja nie dotyczyła tylko przestrzeni i zabudowy,



Dziesiątki domów zostało zburzonych...



W Stonawie wybudowano pierwszy Dom Robotniczy na Śląsku Cieszyńskim



Siedziba Stowarzyszenia Spożywczego dla Robotników i Rolników w Stonawie

lecz także ludzkich umysłów. Ludzie nie widzieli tu swojej przyszłości. Byli apatyczni i zrezygnowani. Nawet ci, którzy nie musieli, woleli się wyprowadzić, i wioska dalej pustoszała. Z ponad czterech i pół tysiąca mieszkańców (1961) zostało ich zaledwie półtora tysiąca. Wciąż nie było wiadomo, co z tą koksownią. Decyzja o zaniechaniu jej budowy zapadła dopiero w 1991 roku.

– Najtrudniejsze były cztery lata pierwszej kadencji – wspominał Feber. – Do samorządu weszła jednak grupa zapaleńców, którzy tak samo jak ja chcieli uratować Stonawę.

Dawniej w Stonawie kwitło życie kulturalne i społeczne.

Także wójt Feber brał w nim żywy udział. Polacy wystawiali półprofesjonalne przedstawienia, nieraz z udziałem późniejszych zawodowych aktorów i reżyserów. Śpiewali w chórach, zakładali zespoły i orkiestry. Działało stowarzyszenie umundurowanych górników, straż pożarna, młodzi trenowali piłkę nożną i inne sporty. Gwarem tętniły szkoły i przedszkola.

Teraz nie było już dawnych dzielnic: Ameryki, Meksyku, Katarzyny. Krzywy Dół zniknął wraz z polską szkołą. Nie było drugiego stopnia polskiej szkoły na Hołkowicach. Wkrótce pierwszego stopnia też miało nie być. Z czeskiej podstawówki pozostał pierwszy stopień, niewielu uczniów i nauczyciele dorabiający do emerytury. Młodzi pedagodzy nie widzieli dla siebie perspektyw i nie kwapili się do podjęcia tu pracy.

– Łamaliśmy sobie głowę nad tym, co z tym fantem zrobić – powiedział Feber. – Jak ludziom, którzy tu zostali, dodać otuchy, przekonać ich, że może to być dobre miejsce do życia? Jak zachęcić młode małżeństwa do osiedlenia się w Stonawie?

Dwa lata po zmianie ustroju udało się wreszcie zatrzymać spadek liczby mieszkańców. Stopniowo zaczęło ich przybywać. Dla młodych małżeństw argumentem do zamieszkania było ponowne otwarcie, po wielkich oporach ze strony władz powiatu, pełnoklasowej szkoły podstawowej.

Pod jedną dyрекcją zostały połączone wszystkie placówki szkolne i przedszkolne.

Utrata samodzielności polskiej szkoły małoklasowej i przedszkola nie od razu spodobała się reprezentacji polskiej mniejszości w RC. Z uczniami było jednak raz lepiej, raz gorzej. Po tej dewastacji Stonawa już nigdy nie miała być taka jak dawniej – polska. Wspólna dyrekcja miała ratować szkołę w obliczu spadku liczby Polaków na Zaolziu.

– Ten nowy dyrektor, świetny menedżer, pochodził z okolic Znojma – uchylił rąbka tajemnicy wójt „małego Kuwejtu” – na współzycie Czechów i Polaków patrzył z innej perspektywy. Był wolny od uprzedzeń i animozji, które my, niestety, odziedziczyliśmy po minionej epoce.

Stonawska zaradność

Już nieraz w historii stonawianie przecierali szlaki nowatorskim inicjatywom. Wioska sto lat temu zdominowana przez polskich socjalistów stała się pionierem nowego stylu przedsiębiorczości. W 1896 roku sześciu mieszkańców urządziło zbiórke na zakup domu nr 49 i w celu złamania monopolu właścicieli fabryk i kopalni założyły tu pierwszą na Śląsku Cieszyńskim spółdzielnię: Stowarzyszenie Spożywcze dla Robotników i Chłopów.

Spółdzielcy już wkrótce stali się właścicielami kilku sklepów, piekarni, rzeźni, działek budowlanych, parku samochodowego. Wybudowano kilka mieszkań, wynajmowano konie do prac polowych, mielono ziarno na mąkę i paszę, sprzedawano siano, słomę, materiały budowlane. Powstały spółdzielcze filie w Darkowie, Raju, Cierlicku, Suchej Górnej i Dolnej, Kaczycach, Chybiu, a biura podłączono do sieci telefonicznej.

Na tym samym stonawskim cmentarzu spoczywają dwaj nieprzejednani rywale. Lider socjalistów Alojzy Bonczek, który doprowadził do wybudowania pierwszego na Śląsku Cieszyńskim Domu Robotniczego (1905), i to w ciągu rekordowych siedmiu miesięcy, oraz proboszcz Franciszek Krzystek, budowniczy kościoła pw. Marii Magdaleny (1910) uważanego w regionie za perłę architektury sakralnej.

– Tego kościoła miało już nie być – przypomniał początki zmian w Stonawie diakon Stanisław Brzózka. – Wzgórze, gdzie go zbudowano, obniżyło się o metr. Na ścianach pojawiły się pęknięcia i kościół miano zburzyć.

Od razu po zmianach grupa skupiona wokół Febra rozpoczęła rozmowy w ministerstwie kultury i w 1991 roku kościół został wpisany do rejestru zabytków.

Wkrótce wzbogacił się o dwa nowe dzwony, odlane w zamian za te skradzione przez Niemców. Za pieniądze z odszkodowań z kopalni „ČSM” zabezpieczono go, odrestaurowano i założono ogrzewanie ciepłem geotermalnym.

Kiedy długoletni solista Opery Komicznej w Berlinie Klemens Słowiozeczek zdradził swój zamiar powrotu w rodzinne strony, wójt Feber zobaczył w tym szansę podniesienia stonawskiej kultury na najwyższy poziom.

– Zburzono nam tu dwa domy – poskarżył się sławny barytonista – lecz dzięki Andrzejowi mogłem tymczasowo zamieszkać w Domu Robotniczym. Inni uciekali, a mnie wtedy zmuszono do wyprowadzki i rezygnacji z obywatelstwa. Pragokoncert nie był zainteresowany pieniędzmi, które w Niemczech zarabiałem.

Dzięki Słowioczkowi kościół z doskonałą akustyką stał się miejscem coraz popularniejszych koncertów, które ściągaly do Stonawy rzesze miłośników różnych stylów muzyki. W odpustowe popołudnia kościół pękał w szwach.

Przyjaźń wójta z Klemensem Słowioczkiem oraz czeskim kompozytorem i pedagogiem Leonem Jiřicą zaowocowała powstaniem międzynarodowego konkursu ansambli wokalnych „Stonawska Barbórka”. Pomysł okazał się trafiony, ponieważ tego rodzaju konkursy należą w Europie do rzadkości. Od 2006 roku przyjeżdża w grudniu do Stonawy około czterdziestu zespołów wokalnych, które tworzą uczniowie szkół muzycznych wszystkich poziomów. Ich występy ocenia międzynarodowe jury.



Klemens Słowiozeczek,
solista Komische Oper Berlin



Jest taka mogiła

Cmentarz pod katolickim kościołem jest miejscem spoczynku polskich żołnierzy z 12. i 8. pułku piechoty oraz milicjantów, którzy w styczniu 1919 roku staczali zacięte boje z przeważającymi siłami czechosłowackimi. Siedmiu lub ośmiu nie zginęło w walce. Zostali zakatowani, gdy już byli ranni i skończyła im się amunicja. Leżą we wspólnej mogile, a ich nazwiska zostały wygrawerowane na marmurowej płycie – naprzeciw żelaznego krzyża i czarnej tabliczki ze złotym napisem.



Grób Alojzego Bonczka, czołowego działacza socjalistycznego



Grób ks. Franciszka Krzystka, budowniczego stonawskiego kościoła

Nieco dalej spoczywa w rodzinnym grobie stonawski milicjant Alojzy Friedel, który również bronił ojczyzny przed „czeskim najeźdźcą”, jak wyrażała się o legionistach ówczesna prawie w stu procentach polska Stonawa.

Dla Polaków mogiła stała się symbolem polskiego patriotyzmu i czeskiej brutalności, i niezależnie od panującego ustroju pamiętali o poległych i pomordowanych żołnierzach. Straż honorową – jawnie czy skrycie – trzymali i harcerze, i pionierzy. Nauczyciele przyprowadzali tu uczniów. W Dzień Zaduszny mieszkańcy przynosili na grób kwiaty i zapalali znicze.

Po zmianie ustroju spotkania przy mogile stały się bardziej uroczyste. W ostatnim czasie odbywają się co roku z udziałem przedstawicieli państwa polskiego i wojska.

Andrzej Feber, który zawsze deklaruje się publicznie jako Polak, a jego wnuki chodzą do polskich szkół i przedszkola, jest wybierany na wójta w wiosce z tą symboliczną polską mogiłą, wiosce zamieszkałej w przeważającej mierze już przez Czechów. Co myślą o czczeniu tej polskiej mogiły czescy radni?

– Od zawsze chodzimy z moim zastępcą w Dzień Zaduszny składać kwiaty i zapalać znicze pod pomnikami i tablicami ku pamięci naszych ofiar wojny. Pod katolickim kościołem jest pomnik z nazwiskami stonawian poległych w pierwszej wojnie światowej, na cmentarzu jest symboliczny grób ofiar drugiej wojny. Na frontowej ścianie ratusza są dwie tablice z nazwiskami niemieckich i sowieckich ofiar.

Co roku zanosimy też kwiaty na grób polskich żołnierzy, którzy stracili życie w wojnie czechosłowacko-polskiej.

Jakoś w 1993 roku byłem w tym czasie na urlopie i wówczas mój czeski zastępca poszedł sam z kwiatami na tę polską mogiłę i w imieniu gminy zapalił znicz.



Mogiła dwudziestu polskich żołnierzy, ofiar wojny czechosłowacko-polskiej

Pierwsza telewizja

Wójt „małego Kuwejt” pod wieloma względami wyprzedzał swoje czasy. W 1990 roku Stonawa stała się pierwszą wioską z własną telewizją, nadającą dwujęzyczne programy. Zaczęło się od nieczynnego na skutek szkód górniczych radiowęzła, do którego wójt od zawsze żywił niechęć. Kojarzył mu się z okresem nakazów i zakazów. Kiedy po powrocie ze słowackiej uczelni chciał w sobotę dłużej pospać, z megafonu rozlegały się skoczne polki i wezwania do udziału w brygadach i czynach społecznych.

Operator Orszulik tak wspominał te czasy:

– Pewnej niedzieli wójt zobaczył mnie z kamerą przed kościołem, gdzie odbywało się bierzmowanie i zwierzył mi się z pomysłu zastąpienia tego uszkodzonego radiowęzła telewizją z prawdziwego zdarzenia.

Orszulik był członkiem kółka filmowego, działającego w karwińskiej „Kovonie”. Miał kamerę i znał się na kręceniu filmów. Po rozmowie przed kościołem zaproszono go na posiedzenie zarządu gminy.

– Przyniosłem im parę kaset ze swoimi filmami. W gminie nie mieli ani kamery, ani studia i tylko czarno-biały telewizor. Ale zgodziłem się zostać pierwszym operatorem mającej powstać stonawskiej telewizji.

W mieszkaniu w karwińskim bloku jego synowa Marta przygotowywała programy, po czym syn Wiesław zawoził kasetę na kopalnię, której wieża służyła za nadajnik. Mieszkańcy byli zachwyceni. Państwowa telewizja najwyżej przyjeżdża-



Dom PZKO jest własnością gminy. Stonawskie koło PZKO ma w nim swoją siedzibę



Secesyjna willa w Hołkowicach po remoncie kapitalnym

ła do którejś z kopalni z okazji pobicia górniczego rekordu. Teraz mogli zobaczyć na ekranie znajomych, sąsiadów, a także siebie, kiedy mieli coś ciekawego do przekazania i pokazania.

Za rozwojem wypadków w Stonawie nie nadążali z przyjmowaniem nowych ustaw czechosłowaccy parlamentarzyści. Zwolniła się część kanałów telewizyjnych przysługujących armii, lecz wciąż obowiązywał państwowy monopol. Stonawska telewizja nadawała więc półlegalnie.

I zaczęło się dochodzenie.

– Miałem trochę kłopotów – przyznaje wójt – ale zatrudniłem dobrego prawnika i wyciągnął mnie z tego.

(Po 2000 roku stonawską licencję przyznano telewizji Polar Ostrava, lecz dzięki umowie samorządu z nowym właścicielem zostały zachowane polskie reportaże w ramach „Stonawskich Ekspresów”).

Dość było burzenia

Samorząd z Feberem na czele zdecydował, że w Stonawie już niczego nie będzie się burzyć. Ponad stuletnie budynki stanowiące świadectwo minionej epoki należy zachować dla potomności. O rejonach wydobywczych nie decydowali już dyrektorzy kopalni, którzy zresztą często się zmieniali. W czasie swoich ośmiu kadencji, wójt Feber pertraktował z dwudziestoma dyrektorami.

– Każdy był inny, z każdym należało inaczej rozmawiać – powiedział po latach. – Polityka to „maksimum możliwego porozumienia się”. To nie usztywnianie pozycji na przeciwnych barykadach. Czynne kopalnie są dla gmin wielkim szczęściem. Kłopot zaczyna się, gdy stają się nieczynne. Wtedy gmina nie ma już z nich żadnej korzyści.

Zachował się budynek Domu Robotniczego i dawna siedziba Stowarzyszenia Spożywczego. Na uroczystości otwarcia (po pierwszym gruntownym remoncie) Domu PZKO, który wcześniej był Domem Katolickiej Młodzieży, a jeszcze wcześniej gospodą Stańkusa, wystąpił Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”.

Z funduszu odszkodowań górniczych został zabezpieczony i odrestaurowany budynek polskiej ludówki na Górzanach z 1853 roku, gdzie dzieci uczą się dziś w języku czeskim.

Zabezpieczono przed rozsypaniem się, zrekonstruowano i zmodernizowano budynek polskiej szkoły na Hołkowicach i przyległe dobudówki z przedszkolem. W sąsiedztwie za płotem wzrok przyciąga odnowiona secesyjna willa w ogrodzie, z mieszkaniami komunalnymi.

Szkoła na Hołkowicach

Do polskiej szkoły na Hołkowicach miał Feber, podobnie jak wielu jej absolwentów, sentyment szczególny...

– U schyłku XIX w. wybudowana w Olbrachcicach wspólna szkoła miejscowych i stonawskich ewangelików zaczynała być zbyt ciasna – opowiadał w stonawskiej telewizji, zerkając do starej kroniki szkolnej, Karol Recmanik. – Stonawianie postanowili wybudować swoją, na Hołkowicach.

1 września 1898 roku zebrali się na podwórzu Pawła Cieniały, ponieważ nie było tak dużej sali, która mogłaby ich wszystkich pomieścić. Wybrali trzydziestoosobowe „przedstawicielstwo szkolne” z przewodniczącym Janem Zypcerem, zastępcą Józefem Jonsztą, skarbnikiem Pawłem Cieniałą i Józefem Recmanikiem, dziadkiem Karola, w funkcji sekretarza. Wybrali też delegację, która miała pojechać do hrabiego Larysza z prośbą o podarowanie im upatrzonej działki. Larysz odmówił, tłumacząc, że to majorat, majątek dziedziczny i nikt nie ma prawa przekazywać go w darze. Uparci ewangelicy pojechali do swojego najwyższego przedstawiciela na Śląsku, doktora Theodora Haasego.

Wstawiennictwo Haasego poskutkowało i w miesiąc później stonawianie otrzymali od hrabiego upragniony morg ziemi (56 arów). Po wybraniu komitetu budowy rozpoczęły prace. Glinę na cegły, ręcznie wyrabiane i wypalane w piecach, uzyskiwali z glinianki Tyrlika pod ewangelickim cmentarzem. Kamień sprowadzali z Gród-



Tablica pamiątkowa na budynku czeskiej szkoły na Górzanach, dawniej budynek polskiej szkoły ludowej



Tablica pamiątkowa na budynku polskiej szkoły na Hołkowicach, dawniej szkoła ewangelicka

ku, wapno z wapiennika Jasia w Lesznej, drewno z rajeckich lasów barona Bessa.

Olbrachciccy ewangelicy zwrócili im udział włożony w budowę wspólnej szkoły, 1800 reńskich austriackich. Resztę wyłożyli z własnych kieszeni. Ci, co płacili podatek gruntowy, przeważnie rolnicy i zamożniejsi chałupnicy, zobowiązali się przekazać na rzecz budowy czterdzieści procent kwoty tego podatku. Pozostali wpłacali co miesiąc jedną koronę austriacką. (Według spisu ludności z 1910 roku mieszkało w Stonawie 835 ewangelików.)

W ciągu zaledwie paru miesięcy mury wyciągnięto do pierwszego piętra i przykryto dachem. Dzieci rozpoczęły naukę w poniedziałek 5 listopada 1900 roku.

– Kierownikiem szkoły został w wyniku konkursu Karol Kluz, który napisał tę piękną kronikę – zakończył opowieść Karol Recmanik.

Kosztowny remont

Pod Hołkowicami, a więc również pod ewangelickim kościołem i szkołą, znajdują się dwa wyrobiska kopalni „ČSM”. W 2007 roku węgiel z pierwszego był już wydobyty. Do eksploatacji zasobów z sąsiedniego kopalnia właśnie się przymerzała. Robót w podziemiach nie wytrzymałyby fundamenty szkoły ułożone sto lat temu z kamiennych głazów. Górnicy musieli więc czekać do zakończenia prac mających je wzmocnić.

Inżynier Herold Wasil, ekspert od ankrowania zagrożonych domów w Stonawie, potrafił docenić dzieło dawnych budowniczych:

– Musimy mieć ogromny szacunek dla naszych przodków – zapewniał w stonawskiej telewizji. – Dysponowali minimalnymi środkami, a potrafili wybudować bardzo ładne i funkcjonalne obiekty. O sprawach pozwoleń i zatwierdzeń kolaudacyjnych nie ma co mówić. To, co wymagało jednego podpisu i jednego dnia omówień, dziś trwa rok, dwa, a nawet cztery lata.



Budynek polskiej szkoły, dawniej ewangelicka szkoła wyznaniowa

Na stu dwudzieste urodziny (2020) budynek polskiej szkoły zyskał całkowicie nową szatę. Remont pochłonął w sumie 35 milionów koron. Kwotę 13 milionów zaczerpnięto z funduszy Unii Europejskiej i Województwa Morawsko-Śląskiego. W budynku oprócz polskich klas mieszczą się sale stonawskiej filii karwińskiej szkoły muzycznej oraz kuchnia dla wszystkich placówek szkolnych, a obok w przybudówce polskie przedszkole.

Tylko więcej uczących się tu dzieci życzyliby sobie jej absolwenci...

Wioska roku

Ambitny plan zagospodarowania przestrzennego zaczął przekładać się na jakość życia mieszkańców oraz ich aktywność. Wieś została całkowicie zgazyfikowana, kompletnie przebudowano sieć elektryczną, założono nową kanalizację i uzbrojono tereny pod osiedle nowych domów jednorodzinnych na Bonkowie. Stare budynki zostały wzmocnione i upiękzone. Ratusz zapewniał mieszkańcom bezpłatną pomoc prawną przy uzyskiwaniu odszkodowań z kopalni. Oferował korzystne pożyczki na podniesienie standardu mieszkań. Wyrosły nowe domy wielorodzinne, mieszkań przybyło w nowych domach opieki, otwarto halę sportową, boisko piłkarskie i lekkoatletyczne, boisko do minigolfa, korty tenisowe i place zabaw dla dzieci.

Do stonawskich potoków wróciły raki, których nie było tu przez pół wieku. Wyczyszczone osadniki zmieniły się w wypełnione rybami stawy. Ludzie zaczęli otrzymywać z kasy gminnej dotacje na hodowanie zwierząt domowych, co stało się unikatem w skali całego kraju. Otrzymali darmowy internet. Dzieci, za pół darmo, zaczęły wyjeżdżać na czternastodniowe kolonie nad Adriatykiem.

Wróciło życie społeczne. Obok pielęgnującej tradycję i kulturę przodków koła PZKO, w związku zaczęli się zrzeszać działkowcy, myśliwi, pszczelarze, sportowcy, strażacy i umundurowani górnicy. Stonawskie kopalnie dały się przekonać, że posiadanie orkiestry górniczej z grupą mażorettek jest sprawą prestiżu, objęły ją patronatem i wysłały na festiwal w Korei.

Stonawa miała się czym pochwalić i w 2000 roku, niespełna dziesięć lat po swoim zmartwychwstaniu, postanowiła ubiegać się o tytuł „Wioska roku”.

W wojewódzkich eliminacjach zajęła pierwsze miejsce. W ogólnopolskim finale miejsce trzecie. Zwycięzca konkursu, południowomorawski urokliwy Słup położony na skraju Morawskiego Krasu nigdy nie musiał walczyć o prawo do istnienia. Mógł się już tylko upiększać, więc Stonawa przyjęła „brązowy medal” z prawdziwą satysfakcją.

Gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze

W 2000 roku Andrzej Feber został senatorem (2000-2006) i sukces ten powtórzył w 2022 roku. Niedawno jego nazwisko stało się głośne w związku z projektem pilotażowym „Dzieci szkolne do dentysty” realizowanym wspólnie z właścicielem ostrawskiej kliniki stomatologicznej ANJA, Lubomírem Beranem.

Obaj panowie pamiętają czasy, kiedy pod opieką nauczyciela uczniowie dwa razy w roku odwiedzali dentystę. W 1992 roku zaniechano tej formy prewencji, a odpowiedzialność za zęby dzieci przeniesiono na ich rodziców.

Dziś znalezienie dentysty, który w dodatku miałby zawartą umowę z kasą chorych, graniczy z cudem. W województwie morawsko-śląskim nie ma do niego dostępu sto tysięcy mieszkańców. Kolejne setki tysięcy są skazane na pokrywanie kosztów podstawowego leczenia z własnej kieszeni.

Klinika Berana, która prowadzi stomatologiczne pogotowie, przyjmuje co miesiąc do dwóch tysięcy pacjentów. Większość z nich w ten sposób rozwiązuje swój problem z brakiem lekarza. Co trzecim pacjentem jest dziecko poniżej piętnastego roku życia. Dla wielu z nich to w ogóle pierwsza wizyta u dentysty.

Te powody legły u podstaw wspólnego projektu senatora i lekarza.

W marcu do ostrawskiej kliniki wyjechało na pierwszy ogień 29 uczniów ze Stonawy i Dąbrowy. Lekarze zbadali im zęby i naliczyli 138 ubytków. Rekordziści mieli ich ponad dwanaście. Rodzice dzieci, których zęby wymagały leczenia, mie-



W dzielnicy Bonków powstało nowe osiedle domów jednorodzinnych

li już sami umówić się na wizytę. Zabiegi zobowiązała się pokrywać Powszechna Kasa Chorych (VZP).

Problem się pogłębia – stwierdził senator – ponieważ stan ten odpowiada pewnemu lobby. System wymaga zmian. Podatnik opłaca edukację lekarzom, więc oni powinni być zobowiązani odwdziaczyć mu się, na przykład pracując przez pewien czas w sektorze publicznym. Nie tylko za gotówkę.

Wiadomość o projekcie mocno zirytowała szefa Czeskiej Izby Stomatologicznej Romana Šmuclera, który jest właścicielem multidyscyplinarnego instytutu medy-



Jeden z nowych domów opieki społecznej ELIM z usługami Diakonii Śląskiej



Górnik i ratownik górniczy, senator Andrzej Feber towarzyszył prezydentowi RG Petrowi Pavlowi podczas jego wizyty w regionie (marzec 2023, kopalnia „Darkov”)

cyny estetycznej z główną kliniką w Pradze i kilkoma oddziałami w Karlowych Warach, Mariańskich Łaźniach, leczącego około 40% klientów z zagranicy, gdzie również posiada kliniki, np. w Londynie.

– W Ostrawie obiecują wyborcom, że wprowadzą lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku. A mamy XXI wiek – dał wyraz swemu oburzeniu. (...) – Zgłoszona liczba ubytków to prawie rekord świata. Wątpliwe, czy wszystko wymagało leczenia.

Według szefa dentystów lekarzy jest dość, tylko pacjenci nie umieją ich znaleźć.

Gminy w regionie nie przejęły się oburzeniem szefa stomatologów i do kliniki Berana wyjechały kolejne autokary – z Dzieńmorowic i Orłowej.

– Zapisano nam się około trzystu rodziców dzieci, które nie mają dentysty. Nie możemy udawać, że nie ma problemu – pochwaliła projekt burmistrz Orłowej.

Feber uważa, że jeśli presja będzie duża, uda się doprowadzić do zmian, bez względu na postawę zwolenników obecnego status quo. System w coraz większym stopniu przynosi korzyści prywatnym dentystom, a szkodzi płatnikom ubezpieczenia.

Suchej nitki nie zostawił na szefie stomatologów komentator i publicysta Štěpan Cháb:

„(...) Jedna piętnastominutowa sesja z higienistką, która po pokazaniu pacjentowi szczoteczki do zębów i jakiejś broszury z Izby Šmuclera wyciąga rękę po 1200 koron, stała się warunkiem wizyty u dentysty. (...) Po co przyjmować dzieci, skoro na fotelu mogą usiąść zdyscyplinowani i zamożni klienci stomatologii estetycznej, która jest specjalnością pana Šmuclera. Raczej tworzyć hollywoodzkie uśmiechy dla kaprysu najbogatszych dziesięciu tysięcy”.



Ostatnie wózki z urobkiem z zamykanych kopalni znalazły miejsce w stonawskim parku

Autorzy projektu chcą wywołać publiczną debatę na temat fundamentalnych zmian w systemie. Uważają, że problem rozwiązałoby przyjęcie trzystu zagranicznych lekarzy:

– W Polsce i na Słowacji tak zrobili i wyniki już są widoczne.

W centrum wsi przy asfaltowej ścieżce biegnącej wzdłuż placu zabaw ustawiono pierwszy symboliczny wózek węgla z okazji stulecia Stowarzyszenia Górniczego dla Stonawy i Okolicy, którego tradycje przejął Związek Umundurowanych Górników. Nieco dalej na podestach w cieniu drzew stoją ostatnie wózki z urobkiem z zamykanych zakładów. Cała republika została z jedną kopalnią – stonawską „ČSM”.

Dróżka dochodzi do pomnika Kamiennej Łzy upamiętniającej tych, którzy zginęli w podziemiach. 20 grudnia 2018 roku podzieliło ich tragiczny los trzynastu górników z tej ostatniej czynnej kopalni.

Zasypano szyby zakładu „9. Květen”. Teren zalano betonem. Zburzono stare budynki, aby przygotować miejsce pod nowe. Trzydzieści dwa hektary pokopalnianego brownfieldu przyjęła spółka Podolupark i przymierza się do nowych inwestycji, licząc na dotację z unijnego Funduszu Sprawiedliwej Transformacji.

Od dwóch lat wyciszana jest produkcja w kopalni „Darkov”. Miejsce po wyburzonej koksowni zarastają brzozy. Na jej obrzeżach zostały nieliczne siedziby mniejszych firm. Tam również czeka się na inwestorów.

A na Dolanach uzbrojone zostały nowe tereny pod budowę domów jednorodzinnych.

Stonawa wykorzystała swój czas i dziś jest dobrym adresem.

CZESŁAWA RUDNIK

Od pastwienia się do zachwyków

Zasiąść na widowni, zagłębić się w fotelu i ulec magii teatru. Przeżyć katharsis. Ale też spojrzeć krytycznym okiem, by poddać potem ocenie to, co się obejrzało. Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie nie obchodzi aktualnie żadnego okrągłego jubileuszu. Wspomnienia snuję z okazji moich osobistych trzydziestu lat nad recenzjami jej przedstawień.



Na teatrologii o Zaolziu

Zaczęło się od piosenek, polskich, międzywojennych, które bardzo lubię. *Jak drogie są wspomnienia* było pierwszym przedstawieniem Sceny Polskiej, które próbowałam zrecenzować. Pierwszym z całej serii, która potem nastąpiła, chociaż nie pierwszym w ogóle.

Przedsięwzięcia Sceny Polskiej brałam na warsztat już podczas ćwiczeń na studiach teatrologicznych w Krakowie. Lecz kiedy z sumienną dokładnością opisałam jeden ze spektakli, podsumowałam grę aktorów itp., okazało się, że popełniłam podstawowy błąd. Nie wzięłam pod uwagę, kto będzie czytał tę recenzję.

Czytelnikami byli przede wszystkim koledzy z grupy, których zainteresowało nie tyle samo przedstawienie, co teatr, w którym je zrealizowano. Nie wszyscy studenci teatrologii, a były to osoby z całej Polski, słyszeli o jedynym polskim zawodowym teatrze poza granicami kraju, jak lubiliśmy na Zaolziu określać Scenę Polską. I chcieli dowiedzieć się więcej.

Dobrze zorientowani w tej kwestii okazali się natomiast nasi wykładowcy, tu spotykałam się ze zrozumieniem i aprobatą, a na jednym z egzaminów nawet z plusem „za Zaolzie”. Jako temat pracy magisterskiej wybrałam oczywiście wątek rodzimy, pisałam o polskim ruchu teatralnym w naszym regionie w ostatnim wtedy dziesięcioleciu, czyli latach siedemdziesiątych dwudziestego stulecia.

Cieszyłam się potem, że miało sens podsumowanie najnowszych przedsięwzięć kulturalnych na Zaolziu w teatrze zawodowym i amatorskim i że może ktoś skorzysta z tych informacji, bo kiedy po obronie poszłam odebrać egzemplarz mojej pracy, pani sekretarka rozłożyła ręce: nie ma, została zabrana do biblioteki uniwersyteckiej.

Z maszynopisem pod pachą

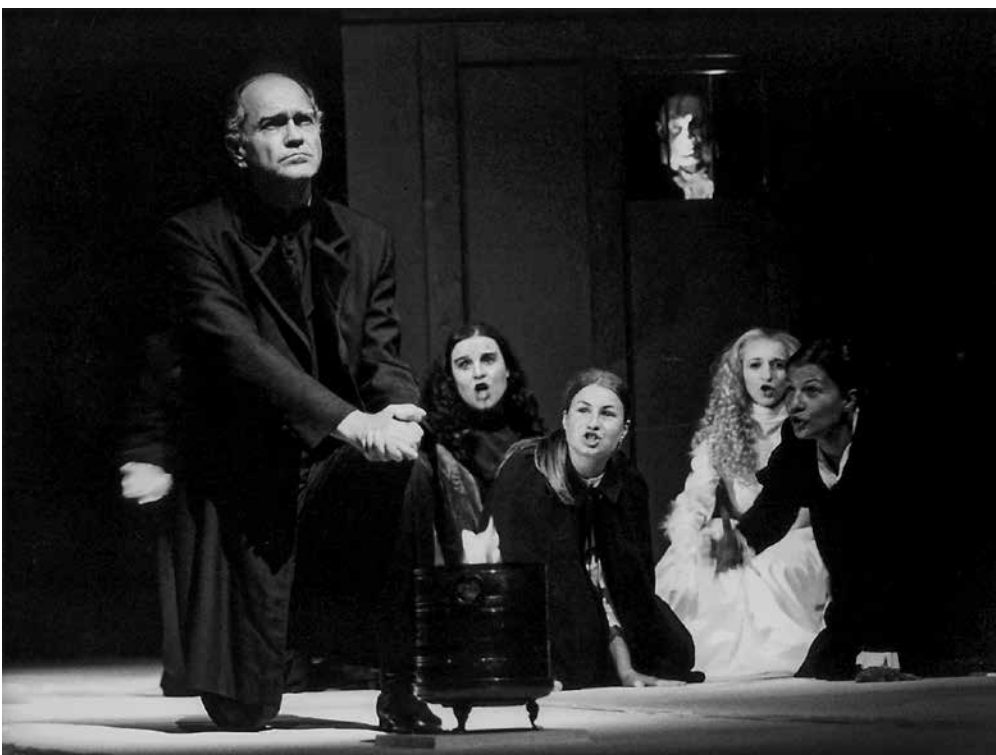
Wyposażona w wiedzę teoretyczną, pomna słów słynnego dramaturga, że świat jest teatrem, czyli, w mojej własnej interpretacji, rzeczywistością, którą należy skrytykować, ruszyłam po latach z maszynopisem do Teatru Cieszyńskiego. Z uwagą wstępną, że tekst nie jest recenzją sensu stricto, lecz moimi zmaganiem z materią słowa.

Pisanie o spektaklach na potrzeby teatru zaproponował mi ówczesny kierownik artystyczny Sceny Polskiej Rudolf Moliński. Dyskutowaliśmy, jaka ma być moja rola, że obojgu chodzi nam o dobro tej placówki. Przyjeżdżałam do Czeskiego Cieszyna na premiery, wpuszczano mnie nawet na próby, po czym spisywałam swoje refleksje odręcznie, przepisywałam na maszynie i przywoziłam do teatru. Oddawałam kierownictwu polskiego zespołu.

Trochę zaskoczona byłam, kiedy od razu pierwsza z recenzji ukazała się w „Zwrocie”. Wydawało mi się, że trzeba mieć większe doświadczenie dziennikarskie, by móc drukować swoje teksty w ambitnym miesięczniku. Oczywiście trochę zmieniałam zdanie, kiedy po trzech latach sama zaczęłam pracować w tej redakcji.

Pilnowałam już wtedy, by moje opinie o przedstawieniach Sceny Polskiej były bardziej wyważone. Wcześniej, pamiętając ze studiów o profesjonalnym traktowaniu teatru, oznaczającym zachowanie dystansu w każdej sytuacji, wychodziłam z założenia, że należy ostro, mocno krytycznie podejść do tematu. Do tego miałam w pamięci słowa kierownika artystycznego, który stwierdził w jakimś wywiadzie, że pragnie wyprowadzić teatr na średni poziom europejski. Moje późniejsze, po latach, przypomnienie mu owego zdania skwitowane zostało uśmiechem. Ale wcześniej, pastwiąc się nad spektaklami i wytykając niedociągnięcia, zastanawiałam się podczas każdej kolejnej premiery, czy to już ten poziom.

W rezultacie, ponieważ moje materiały przed ukazaniem się w „Zwrocie” czytane były w teatrze, jedna z recenzji nie została dopuszczona do druku, w innej po sugestii wyrzuciłam zdanie końcowe, by nie psuło wrażenia całości. Podsumowując te pierwsze lata, mogę stwierdzić, że Teatr Cieszyński był dla mnie łaskawy. A potem było już tylko lepiej. Spotykałam się z tolerancją, a nawet poważnym traktowaniem moich uwag. Przechodząc za kulisami, mogłam liczyć na uśmiech osób tam napotykanym.



Dziady, reż. Karol Suszka, 2001 r. Foto Wiesław Przeczek

Po trzydziestu latach pisania o Scenie Polskiej zupełnie zmieniło się moje nastawienie do jej przedsięwzięć, mój ogląd rzeczywistości teatralnej. Z trudnością przychodzi mi wynajdywanie błędów w sztuce scenicznej, w grze aktorskiej. Jestem bardziej skora do zachwytów, wszystkie przedstawienia mi się podobają.

Wierna publiczność

Nie opisuję już premier, które zawsze były pierwszą konfrontacją z widzem, chociaż obecnie teatry, także ten w Czeskim Cieszynie, zapraszają publiczność najczęściej już na ostatnią próbę generalną. Premiera nie powinna być punktem szczytowym możliwości aktorskich w budowaniu postaci w danym spektaklu. Postać ma rozwijać się w kolejnych wystawieniach.

Przedstawienie premierowe ma też specyficzną widownię. Zjawiają się rodziny, znajomi twórców i wykonawców, którzy bardziej entuzjastycznie i bezkrytycznie podchodzą do oglądanej inscenizacji. Zawsze są też widzowie z drugiej strony Olzy, co oczywiście bardzo cieszy. Bo wszyscy chcemy, żeby wiedzano o nas w Polsce.

Prawdziwa konfrontacja z publicznością następuje, śmiem twierdzić, podczas spektakli wyjazdowych Sceny Polskiej, która gra obecnie dla grup abonamento-

wych regularnie w Trzyńcu, Hawierzowie, Orłowej i Karwinie. Tam najszczęśliwiej jest śmiech lub cisza na widowni, a brawa w trakcie przedstawienia i podczas ukłonów nie są wymuszone, ale są reakcją na nastroje i emocje odbiorcy.

Teatr nazywany jest sztuką elitarną, co nie oznacza, że mają w nim bywać tylko jakieś bliżej nieokreślone elity. Po prostu trzeba się do odbioru przedstawienia odpowiednio przygotować – pisałam w jednej z recenzji. Niekiedy nie wystarczy zasiąść na widowni z myślą: bawcie mnie. Teatr służy rozrywce, ale przede wszystkim wzbogacaniu ducha; najlepiej, gdy przedstawienie pełni obydwa zadania.

Widz Sceny Polskiej stara się zrozumieć intencje reżysera, dużo wybacza swoim aktorom. Teatr jest dla niego odskocznią od szarej lub zabieganej codzienności, może chłonąć atmosferę świątyni sztuki. Niekiedy musi włączać wyobraźnię, a nawet głębsze pokłady intelektu, losy bohaterów skłaniają go do refleksji nad własnym życiem.

Zastanawiałam się też w którymś z artykułów, na jakim poziomie teatru powinien umieścić poprzeczkę, by nie stracić szacunku widza. Twórcy opisywanego wówczas spektaklu ustawili ją tak, by nawet najmniej zaawansowany widz potrafił ją przeskoczyć, koneser zaś nie czuł się urażony jej wysokością czy niskością.

Szczupleją szeregi wiernych widzów. Podczas jubileuszy nagradzano nie tylko seniorów twórców, ale także osoby najdłużej chodzące do tego teatru. Wracano z sentymentem do początków Sceny Polskiej, kiedy to częściej zespół teatralny przyjeżdżał do widza, do jego miejscowości, niż widz na przedstawienie do któregoś z kilku większych ośrodków. Wzruszenie wywoływało wspomnienie wizyt twórców teatru w domach widzów jako sposobu na zareklamowanie powstającej sceny.

Nasza prowincja

Kolejne jubileusze były czasem podsumowań, oceny dokonań tego polskiego teatru jako całości, jak również jego poszczególnych okresów rozwoju, kolejnych kierownictw, etapów podczas przeobrażeń od amatorskich początków po całkowicie profesjonalny dzień dzisiejszy, z niezmiennym jednak posłannictwem: rolą głosiciela polskiego słowa i nosiciela polskiej kultury. W naszej małej ojczyźnie, gdzie prowincjonalizm zawsze pojmujemy jako kategorię mentalną, nie geograficzną.

Prezentując wysoką polską kulturę, Scena Polska nie zapominała o własnych korzeniach, o swojej krainie. Powstawały przedstawienia na podstawie dzieł pisarzy ze Śląska Cieszyńskiego, widowiska mówiące o naszym regionie, jego historii, mieszkańcach. Oprócz pięknej polszczyzny zawierały niejednokrotnie teksty gwarowe, pieśni i tańce ludowe.

Nim zaczęłam pisać na łamach „Zwrotu” o Scenie Polskiej, w 1993 roku miała miejsce premiera *Czarnej Julki*, którą według powieści Gustawa Morcinka zrealizo-

wał Janusz Klimsza. Do twórczości pochodzącego z Karwiny pisarza powrócił jeszcze w 1997 roku w *Bajkach śląskich*. *Czarną Julkę* grano na festiwalach teatralnych, zdobyła Nagrodę Złamanego Szlabanu i uznanie krytyków teatralnych.

Dobrze że teatr, i to Scena Polska, ma obecnie do zaoferowania spektakl o starej Karwinie, *Krzywy kościół* (prapremiera 2022) w reżyserii Radowana Lipusa, którego scenariusz na podstawie czeskiej prozy Karin Lednickiej napisała i adaptacji scenicznej dokonała Renata Putzlacher. Na polskie przedstawienie przychodzą również czescy widzowie, jest ono promocją naszego regionu i polskiej w nim kultury.

Zastanawiam się, mając na uwadze także niebywały sukces *Krzywego kościoła*, czy dziś w czasach powszechnego internetu i mediów społecznościowych *Czarna Julka* potrafiłaby łatwiej przebić się do widza. Chociaż zrealizowana w 2019 roku w Scenie Polskiej inna inscenizacja na podstawie prozy Gustawa Morcinka *Siedem zegarków kopidoła Joachima Rybki* w reżyserii Wiesława Hołdysa też nie osiągnęła tak oszałamiającego sukcesu.

Starszego kopidoła Joachima Rybkę zagrał Karol Suszka, który był również odtwórcą roli głównej w spektaklu z 2016 roku *Rajska jabłotka* według Andrzeja Niedoby w reżyserii Bogdana Kokotki. Napisana gwarą sztuka o losach życiowych rodzimego górala dedykowana była stryjowi autora Władysławowi Niedobie, założycielowi Sceny Polskiej i jej pierwszemu kierownikowi artystycznemu.

Jednym ze spektakli, które zapamiętałam jako ważny, był wystawiony w 2002 roku *Most nad Łucyną* w reżyserii Karola Suszki. Artystycznego, teatralnego opracowania życiorysu Wiesława Adama Bergera dokonała Renata Putzlacher. Do urywków tekstów zaolziańskiego pisarza dodała własne przemyślenia oraz cytaty z dzieł klasyków. Starego Adama zagrał Ryszard Malinowski, młodego Dariusz Waraksa.

Dialog z widownią został tu wspianiale nawiązany – napisałam w recenzji. Widz zaolziański mógł odebrać spektakl emocjonalnie, ale wydawało się, że wiele wątków nosiło znamiona ponadregionalne i ponadczasowe; wiele spraw, które poruszał, miało charakter uniwersalny.

Teatr narodowy

Planowana na obecny sezon premiera *Dziadów*, którą reżyserować ma kierownik artystyczny Sceny Polskiej Bogdan Kokotek, przypomniała mi okoliczności towarzyszące poprzedniej inscenizacji dzieła Adama Mickiewicza, wystawionej w 2001 roku na jubileusz pięćdziesięciolecia Sceny Polskiej przez Karola Suszkę. Jego *Dziady* były wypadkową postrzegania teatru i Sceny Polskiej w nim, spojrzenia na rzeczywistość poprzez rodzimą kulturę i tradycję.



Rajska jabłotka, reż. Bogdan Kokotek, 2016 r. Foto Karin Dziadek

Różne były głosy przed premierą. Czy aby na pewno to odpowiednia pozycja repertuarowa obrazująca charakter i posłannictwo tego teatru, czy może służyć do podsumowania jubileuszu, czy nie należałoby zaprezentować widzowi zaolziańskiemu pozycji lżejszego kalibru. A może teatr chce dać do zrozumienia, że schodzi na dziady? Okazało się jednak, że osoby na scenie i widowni zeszyły się na dziadach, by wywołać ducha: jedności, patriotyzmu, polskości.

Wśród wydarzeń jubileuszowych było sympozjum naukowe, podczas którego mowa była o potrzebie i formach teatru narodowego i o różnych inscenizacjach *Dziadów*. Najbardziej zainteresowały mnie i utkwily w pamięci rozważania prof. Emila Orzechowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, notabene kiedyś mojego wykładowcy. Może warto do nich powrócić.

Prof. Orzechowski podjął tematykę teatru narodowego. Teatr narodowy to, jak mówił, teatr w chwili rozpaczy: społeczeństwo jednoczy się i buduje teatr narodowy w momentach zagrożenia czy kształtowania państwa. Kiedy deptana czy ograniczana jest jego wolność, kiedy trzeba przeciwstawić się złu i wezwać do walki. Albo kiedy powstaje nowy ład i naród potrzebuje zjednoczyć się w imię jakiejś idei.

W tym teatrze narodowym wystawia naród *Dziady*. Bo *Dziady* są częścią dziedzictwa narodowego, tworzą jeden z elementów składających się na całość zwaną teatrem narodowym, polskim teatrem narodowym.

MAGDALENA ĆMIEL

Mariusz Drong: „Fizyka wciągnęła mnie całkowicie”

Czy ja wiem, czy mój sąsiad Mariusz Drong z Gródka wpisuje się w stereotypowy obraz fizyka i naukowca? Trudno powiedzieć. Wygląda elegancko, trochę tajemniczo, ma nietuzinkowe poczucie humoru, często spaceruje i lubi imprezy. Kiedy dowiedział się, że już wkrótce będzie miał dwa dyplomy doktorskie i dalszy etap swojej kariery kontynuować będzie na amerykańskim uniwersytecie, z którym związany był m.in. Robert Oppenheimer, postanawiam, że muszę dowiedzieć się więcej. Cieszę się, że Mariusz zgodził się na wywiad.

Kiedy postanowiłeś, że zostaniesz fizykiem?

Po ukończeniu Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego wybrałem się na studia fizyki stosowanej na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale to jeszcze nie była ta chwila. Nie byłem dostatecznie dojrzały. Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że raczej nie przejdę do kolejnego semestru, wpadła mi w ręce książka „Feynmana wykłady z fizyki”. Wtedy dotarło do mnie, że nie chcę studiować nic innego, że za drugim razem dam z siebie wszystko. Zgłosiłem się na studia na VŠB-TUO w Ostrawie i rzeczywiście tak było. Fizyka wciągnęła mnie całkowicie i trzyma do dziś.

Czy myślałeś kiedykolwiek o innym zawodzie?

W gimnazjum słyszałem nieraz, że nie podołam kierunkowi, na którym będę musiał zdawać egzamin z matematyki. Paradoksalnie myślałem o architekturze, ale fizyka była zawsze numerem jeden.

Doktorat był dla ciebie kolejnym oczywistym krokiem?

Tak, nie chciałem porzucić swojej pasji. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym robić coś innego. W trakcie studiów magisterskich w Ostrawie wyjechałem na staż do Francji i tam poznałem swojego przyszłego promotora pracy doktorskiej. Podczas studiów doktoranckich wyjechałem do tego państwa czterokrotnie, spędzając tam za każdym razem pół roku. Obrona niebawem, tak więc jeśli mi się uda, będę miał

dwa dyplomy doktorskie: z czeskiego i francuskiego uniwersytetu.

Jak wspominasz czas spędzony wśród francuskich naukowców?

„École Polytechnique, IP Paris”, na której można studiować wszystkie dziedziny fizyki, które sobie tylko można wymarzyć, to wielki świat nauki. W okresie, który tam spędziłem, instytucja ta uzyskiwała dwie Nagrody Nobla. I to jest namacalne. Kiedy spotykasz tych wyjątkowych ludzi i widzisz ich twarze, czujesz, że to, co robisz, ma sens, że to nie jest abstrakcja.

Jak dawałeś sobie radę pod kątem francuskiego?

Języka francuskiego uczyłem się wprawdzie w gimnazjum, ale kiedy wyjechałem na staż, uświadomiłem sobie, że nie idzie mi najlepiej. Nie używałem go przez jakiś czas i bardzo wiele zapomniałem. Chodziłem więc na kursy językowe, ale w świecie akademickim trzeba znać przede wszystkim angielski. Cieszę się z tego, ponieważ z francuskim nie jest łatwo. Kiedy popełnisz błąd, miejscowi od razu dają ci to do zrozumienia i zaraz przechodzą na angielski. Więc jeśli nie mówisz perfekcyjnie, trudno w ogóle z Francuzami porozmawiać.

A jak wyglądało twoje życie akademickie we Francji?

Mam wrażenie, że we Francji doktorantów bardziej doceniają. Doktorant ma większy prestiż, ponieważ nie jest odbierany w kategorii studenta, ale osoby pracującej na kontrakcie. Jeśli chodzi o francuską kulturę, to ona mocno się zmienia, a obrazków przypominających dawne francuskie filmy jest coraz mniej. Muszę jednak przyznać, że miasteczko akademickie Palaiseau polubiłem bardzo. Mieszkałem w akademiku, który nie przypominał czeskich czy polskich realiów, miał charakter prywatnych mieszkań. Za wysoki standard trzeba było jednak stosunkowo dużo zapłacić.

W czym się specjalizujesz?

Koncentruję się na fizyce laserów. Interesuję się rozwijaniem metod analitycznych służących do ich opisu. Lasery emitują światło, którego nie można znaleźć w przyrodzie. Znalazły zastosowanie w wielu dziedzinach nauki i techniki, na przykład w komunikacji, w chirurgii, w spektroskopii. Ja zajmuję się małutkimi półprzewodnikowymi laserami, których człowiek nie widzi gołym okiem. Dzięki swojej



Mariusz pod Ambasadą Republiki Czeskiej w Luksemburgu



San Diego, 2022 r.

miniaturowej wielkości znajdują się między innymi w telefonach komórkowych i potrafią rozpoznać twarz użytkownika. Oprócz tego można powiedzieć, że bez takich mikrolaserów nie istniałby internet.

Jak duże są minilasery?

Od kilkudziesięciu do kilkuset mikrometrów. Jeden mikrometr to jedna tysięczna milimetra, więc są naprawdę malutkie. Fakt, że ich nie widzę, wcale mi nie przeszkadza, moja praca to czysta teoria. Zajmuję się prawami zachodzącymi w tej dziedzinie, tym, co w laserze się dzieje. Dużym plusem metod analitycznych jest to, że prawa możemy zapisywać wprost na kartce i manipulować z nimi matematycznie. Jednak poszczególne równania matematyczne mogą urosnąć do tak dużych rozmiarów, że jedna kartka nie będzie wystarczać. Dlatego ludzie dążą do rozwijania metod analitycznych, które pomogą im otaczającą ich rzeczywistość lepiej zrozumieć. W swojej pracy zajmuję się też designem laserów. Tu nie obejdziesz się bez komputera.

Do czego dążysz? Jak wygląda typ idealny laserów, którymi się zajmujesz?

Dążę do spójności i koherencji, czyli przewidywalności światła. W przypadku małych laserów jest ona bowiem niższa aniżeli w przypadku tych dużych. Do konstrukcji laserów z takimi właściwościami służą kryształy fotoniczne będące analogią do zwykłych kryształów w optyce. Z drugiej strony, takie lasery są „szybsze” i można je zastosować w komunikacji optycznej.



San Francisco, 2022 r.

Ciąg dalszy twojej ścieżki naukowej rozpoczniesz niebawem w USA. Skąd ten pomysł?

Wiedziałem, że po doktoracie chcę zostać w sferze akademickiej. Zdecydowałem się więc na tzw. post doc, czyli pierwszą poważną pozycję akademicką. Wówczas już nie ma się promotora, ale szefa, który zadaje konkretny projekt trwający od jednego do trzech lat. Najważniejsze jest zdobycie doświadczenia, tak więc często wyjeżdżam na konferencje. W zeszłym roku uczestniczyłem w konferencji w San Diego, podczas której wystąpił prof. Boubacar Kanté. Prezentował jedno ze swoich ważnych odkryć. Interesuje się, podobnie jak ja, małymi półprzewodnikowymi laserami. Profesorowi wraz z jego grupą badawczą udało się odkryć mechanizm umożliwiający wykonanie lasera, który będzie emitował światło na jednej długości falowej, bez względu na swoją wielkość. Miniaturowe lasery mają z tym problem. Byłem zafascynowany jego wystąpieniem, chciałem do niego podejść, ale nie było szans, żeby go złapać. Wszyscy uczestnicy chcieli z nim rozmawiać.

Zaczyna brzmieć trochę jak amerykański sen...

Uważam, że jeśli kiedyś zostanie udzielona Nagroda Nobla za fotonikę, to prof. Kanté będzie jednym z kandydatów do jej zdobycia. Na swoim koncie ma wiele odkryć. Jest stosunkowo młody, ma ogromny potencjał, więc postanowiłem do niego wysłać swoje CV. Odpisał i poprosił o wysłanie mu prezentacji na temat mojej pracy naukowej. Po pewnym czasie zaproponował mi przyjazd na Uniwersytet Ka-



Rynek w Massy, Francja – miejsce zamieszkania w latach 2021–2023

lifornijski w Berkeley z propozycją zaliczenia tam post doc. Moje marzenie się spełniło, będę się uczył od najlepszych. W dodatku w miejscu z niesamowitą historią. Berkeley jest jednym z ośrodków, w których prowadził swoje badania prof. Robert Oppenheimer, nazywany ojcem bomby atomowej.

Z jakimi oczekiwaniami szykujesz się do Stanów?

W Stanach byłem kilkakrotnie, zdaję sobie więc sprawę z tego, że ludzie żyją tam inaczej. W pierwszej kolejności będę się więc starał zadomowić i uczył żyć w innych realiach. Większość czasu będę jednak spędzał w pracy i tego nie mogę się już doczekać. Szkoda, że to wszystko nie jest bliżej domu, ponieważ będzie mi brakowało moich bliskich. Czuję jednak, że chciałbym tu wrócić.

A jak ma się polskie i czeskie podwórko fizyków?

Współcześni polscy jak i czescy fizycy mają na swoim koncie wiele odkryć i ciekawych dokonań. Wielu z nich pracuje za granicą, na przykład Wojciech Żurek, który pochodzi z Bielska-Białej. To jeden z największych autorytetów w dziedzinie podstaw fizyki kwantowej w Los Alamos National Laboratory. Nie oznacza to jednak, że w Polsce lub Czechach nie dzieje się nic ciekawego. W zakresie fotoniki współpracuję z Politechniką Łódzką. Brylują w fizyce obliczeniowej, prowadząc symulacje komputerowe, i należą do czołówki w Europie. Z czeskich fizyków warto wspomnieć o Tomášu Jungwirthcie, który zajmuje się m.in. nowymi formami magnetyzmu.

Jak spędzasz czas wolny? Siedzisz dużo w książkach?

Lubię nocne spacerować, wtedy znajduję chwilę na odreagowanie. Ruch jest dla mnie dość ważny. Od czasu do czasu też ćwiczę, ponieważ uważam, że poświęcenie się w całości pracy naukowej by mnie zabiło. Wielu fizyków biega maratony, chodzi po górach, ma swoje sportowe i różne inne pasje. Ponadto interesuję się sprawami dotyczącymi naszej cywilizacji. Jakie są jej zagrożenia i w jakim kierunku ludzie mieliby podążać, by jej nie zniszczyć. I dlatego też zafascynowała mnie fizyka. Stale bowiem odkrywamy świat, w którym się znaleźliśmy.

Tu świetnie widać, że również w twoim wypadku fizyka ma bardzo blisko do filozofii...

Jak najbardziej. Świat i człowiek interesował fizyków od zawsze.

Jaki powinien być współczesny fizyk, który chce odnieść sukces w swojej dziedzinie?

Powinien znaleźć swoją pasję i wówczas jego praca nie będzie dla niego tylko pracą. Nie wystarczy być mądrym i utalentowanym czy coś w tym stylu. Fizyk musi być zdolny do komunikacji i musi dobrze pracować w zespole. Jeżeli się odizoluje, to koniec. A kiedyś było przecież inaczej, naukowcy często pracowali sami lub w małych zespołach. Aktualnie to za mało. Zdobycze w postaci wielu odkryć zostały już przez nich zebrane; teraz przyszła kolej na te przyszłowiowe owoce, które zostały wyżej.

Wyobrażam sobie, jak szybko rozrasta się baza tekstów naukowych, ile konferencji organizowanych jest po całym świecie. To chyba niemożliwe, by ogarnąć wszelkie dostępne źródła...

Dokładnie. Popularne jest stwierdzenie: jeśli wymyśliłeś jakąś nową teorię, to zajrzyj do książek sowieckich z lat 50. i 60. minionego wieku i prawdopodobnie ją tam znajdziesz. Z kolei w sytuacji, kiedy jesteś pewien, że wykonałeś odkrywczy pomiar, to na bank opisali go wcześniej Japończycy.

To może być dla współczesnego fizyka demotywujące. Niech więc ogród twoich odkryć dalej rozkwita!



Mariusz i nocne życie w Paryżu

JOANNA PILCH

Każdy jest mile w Houghton widziany!

Rozmawiam z panem Józefem Zajęcem, emerytowanym pracownikiem Houghton Library – jednej z ponad 70 bibliotek należących do bibliotecznego systemu Harvard University. Proszę opisać swoje studia i Pana drogę z Polski do Ameryki.

Po maturze w Mielcu w 1972 r. zdecydowałem się zdawać na filologię romańską, bo tu najwyżej oceniałem swoje szanse na dostanie się na studia, a łatwo wtedy nie było. Udało się. Same studia filologiczne okazały się nader ciekawe – mnie zainteresowała w szczególności historia i gramatyka języka francuskiego oraz językoznawstwo porównawcze języków romańskich. Literatura zdecydowanie mniej. Studiowałem z zapałem, dobrymi wynikami, ale gdzieś w połowie studiów zajęły mnie, i to o wiele bardziej, zupełnie inne sprawy, mianowicie historia lokalna moich rodzinnych stron. A także archiwistyka, paleologia, genealogia, heraldyka, jako dyscypliny pomocne w historycznych kwerendach. Ta moja przygoda z archiwami i bibliotekami zaczęła się około roku 1975, zaś Jagiellonka stała się jakby drugim – obok Domu Studenckiego „Żaczek” – domem. Ostatecznie w czerwcu 1978 r. zamknąłem – Bogu dziękować – moje studia romanistyczne uzyskaniem stopnia magistra filologii romańskiej – specjalność nauczycielska. Fakt, *mediocri cum laude*, ale przecież z ogólnym wynikiem dobrym! Nie dołączyłem do większości moich kolegów-romanistów jako tzw. *romanisant* czyli nauczyciel i popularyzator języka i kultury francuskiej. Los pokierował mną inaczej, a z czasem angielski stał się dla mnie drugim, obok polskiego, językiem. Te pięć lat na romanistyce nie poszło przecież na marne! Pozostał mi wszakże tzw. cenzus i wynikający zeń *splendor alumni Almae Matris Jagellonicae*, co się wyraża dyplomem magistra UJ, pięknie oprawionym w ciemnobordową skórkę. No i – *last but not least* – ciągle dość dobra znajomość języka francuskiego, która w życiu realnym na niewiele mi się przydała. Kwiatek do kożucha, *dirais-je*.



Józef Zajęc w Domu Studenckim „Żaczek” w Krakowie (1979)

Natomiast pasja do studiowania historii przetrwała, i to do dziś. O takich jak ja entuzjastach i maniakach niezawodowo zajmujących się historią mówi się uprzednio „historyk-regionalista” albo wręcz „historyk-amator”, z akcentem na to drugie określenie. Owszem, amator, ale ja dodaję: *amator* od słowa *amo, amare!* Zaznaczam, że publikowałem, jak dotąd, niewiele – istotna jest dla mnie sama pasja poznawania, odkrywania, a także kompilowania tego, co uprzednio było nieodkryte i zupełnie nieznanne. Ale nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa.

Co do Ameryki, to nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Wyjechałem po prostu na zaproszenie amerykańskiej cioci Zofii, na 6-miesięczny pobyt w stanie Connecticut pod koniec listopada 1981 r. – a wyrwał wtedy z PRL-u, kto tylko mógł! W kilkanaście dni później, niejaki Jaruzelski Wojciech wyciął nam wszystkim Polakom *numerum pascudaeum* w postaci stanu wojennego. Pamiętam dokładnie ten dzień w Bostonie 13 grudnia 1981 r., *nota bene* po jakiejś strasznej imprezie w starym domu dawnego gubernatora stanu Massachusetts, na Jamaica Plain. Zdałem sobie sprawę, że trzeba będzie pomyśleć o urządzeniu sobie życia na emigracji, że na razie „nie ma powrotu, *Joey Boy*”. W efekcie do Polski, zamiast po paru miesiącach, przyjechałem po raz pierwszy dopiero po paru latach, w lipcu 1988 r.

Od tego roku bywałem już w Starym Kraju przynajmniej raz w roku, zaś od pięciu lat – pozostając na emeryturze – jeżdżę do Polski regularnie, a mogę powiedzieć, że i mieszkam. Wygodnie, w samym centrum Stołecznego Miasta Krakowa, które nie



Houghton Library



Harvard Library

ma sobie równych. Zaś na obczyźnie pozostają z różnych powodów nadal – w samym sercu pięknego, akademickiego *City of Cambridge, MA*. Pół na pół, tu i tam.

Na czym polegała Pana praca?

W Houghton Library przepracowałem 24 lata, w dziale udostępniania zbiorów (*public services*). Mój oficjalny tytuł: „*Library Assistant - Collection / Stacks Supervisor*”. Nie brzmi to może imponująco, ale proszę pamiętać, że byłem w USA świeżym emigrantem, bez amerykańskiego cenzusu i studiów bibliotekoznawczych.

Zasadniczą częścią mojej pracy w Houghton była obsługa czytelników oraz opieka nad zbiorami na zapleczu. Do pomocy miałem kolegów z mojego działu, stażystów, a także studentów Harvardu – zwykle naraz miałem kilka osób. Tych ostatnich zatrudniałem, uczyłem pracy i dozorowałem – co było szczególnie, dającą wiele satysfakcji częścią mojego zatrudnienia. Pomagałem ponadto moim kolegom w czytelniku, uczestniczyłem w różnych projektach, eventach, wystawach, obchodach itp. A także pomagałem przy katalogowaniu materiałów, zwłaszcza tych polskich, także francuskich. W 1998 r. miałem w Houghton, w *Amy Lowell Room*, własną, autorską wystawę z okazji dwusetnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, w oparciu o materiały znajdujące się na miejscu, w Houghton Library.

Jako ciekawostkę podam, że w maju 1995 r. gościem specjalnym biblioteki był urzędujący podówczas prezydent Republiki Czeskiej, Václav Havel, który odwiedził Uniwersytet Harvarda jako laureat nadanego mu właśnie stopnia honorowe-

go Harvardu (odpowiednik polskiego doktoratu *honoris causa*) i wygłosił okolicznościowy adres do studentów tejże uczelni. Asystowałem w sprawie tej wizyty, m.in. w przygotowaniu wystawy książek Václava Havla, publikowanych poza komunistyczną cenzurą Czechosłowacji. Mam do tej pory w pamięci uśmiech i przelotny uścisk dłoni Pana Prezydenta Republiki Czeskiej...

Pański opis stanowiska brzmi bardzo ciekawie i różnorodnie, kto by się spodziewał po pracy bibliotekarza takiej karuzeli wydarzeń i spotkań z prawdziwymi osobistościami. Mówię pół żartem, pół serio, ponieważ w powszechnej opinii wciąż uważa się – też się z tym spotkałam – że praca bibliotekarza i bibliotekarki polega na siedzeniu i wypożyczaniu książek...

Ależ ta praca w czytelni bibliotecznej tak wygląda do dziś, taka jest bowiem misja biblioteki, zwłaszcza zbiorów specjalnych – przechowanie zasobów dla następnych pokoleń oraz ich udostępnianie, w różnej formie, publiczności. Owszem, w ciągu tych dwudziestu paru lat pracy w Houghton Library miałem okazję spotkać wiele ciekawych osób, wiele znakomitości – głównie polskich – tak ze świata nauki, jak i mediów, biznesu, rozrywki, o politykach nie wspominając. Zwykle sprowadzało się to do zwiedzania pomieszczeń bibliotecznych, z magazynami zbiorów włącznie, spaceru po kampusie, ewentualnie dalszego zwiedzania Cambridge lub Bostonu, z programem towarzysko-rozrywkowym. Było to wszystko bardzo ciekawe, ale niektórych kontaktów z owych czasów do dziś się wstydzę... Ale o tym, sza, sza! – *ut de caeteris taceam!*

Pracował Pan w dziale starodruków. Czy wszystko już przeszło/przechodzi do formy zdigitalizowanej?

Jak już wspominałem uprzednio, Houghton Library jako biblioteka typu *special collections* gromadzi oprócz starych druków także rękopisy, grafiki, efemera, w tym także druki jak najbardziej współczesne spełniające kryteria *rare books*, jak np. *artist books*.



Na schodach Houghton z zaprzyjaźnionym Leszkiem Długoszem, śpiewającym poetą (2003). Koncertował w Bostonie, przynajmniej dwa razy, z wielkim powodzeniem.

skuje materiały o poszczególnych krajach i zagadnieniach?

Głównie drogą zakupów ze specjalnego funduszu, ale także darów od instytucji i osób prywatnych – w ten sposób trafiło do Houghton np. niezwykle cenne archiwum Józefa Wittlina, przekazane bibliotece przez wdowę po pisarzu, Halinę Wittlinową. Albo piękna kolekcja autografów polskich królów – od Stefana Batorego po Jana III Sobieskiego – którą ofiarował bibliotece węgierski emigrant-arystokrata, Imre de Vegh – skądinąd skromny urzędnik w USA. Kolejną formą pozyskiwania zbiorów przez Houghton Library jest wymiana z innymi bibliotekami.

Nazwa „Biblioteka Uniwersytetu w Harvardzie” brzmi poważnie i prestiżowo. Czy jest otwarta dla „przechodniów” i zwiedzających, czy raczej przestrzega surowych zasad?

Tutaj Panią zapewne zaskoczę: wystarczy przedstawić jeden dokument identyfikacyjny z fotografią i podać powód wizyty/temat kwerendy. Houghton Library, zgodnie z wolą fundatora, Arthura A. Houghtona, pozostaje bodaj jedyną instytucją typu *special collections library* na świecie, tak szeroko otwartą dla publiczności

Jak najbardziej, część materiałów zgromadzonych w Houghton została już zdigitalizowana – robi się to m.in. przy okazji udostępniania zbiorów w czytelni, bo za to płacą korzystający, jeśli zamawiają skany. Zajmują się tym służby *Harvard Library Imaging Services*, specjalna jednostka w gmachu biblioteki głównej, w Widener Library. O ile mi wiadomo, tylko niewielka część zbiorów została poddana digitalizacji, miliony książek spoczywają – i spoczywać długo jeszcze będą – na zwykłych, pocziwych półkach bibliotecznych...

Wyszukiwarka katalogu Houghton Library wyrzuciła kilkadziesiąt tysięcy wyników o Polsce. Jak biblioteka pozy-



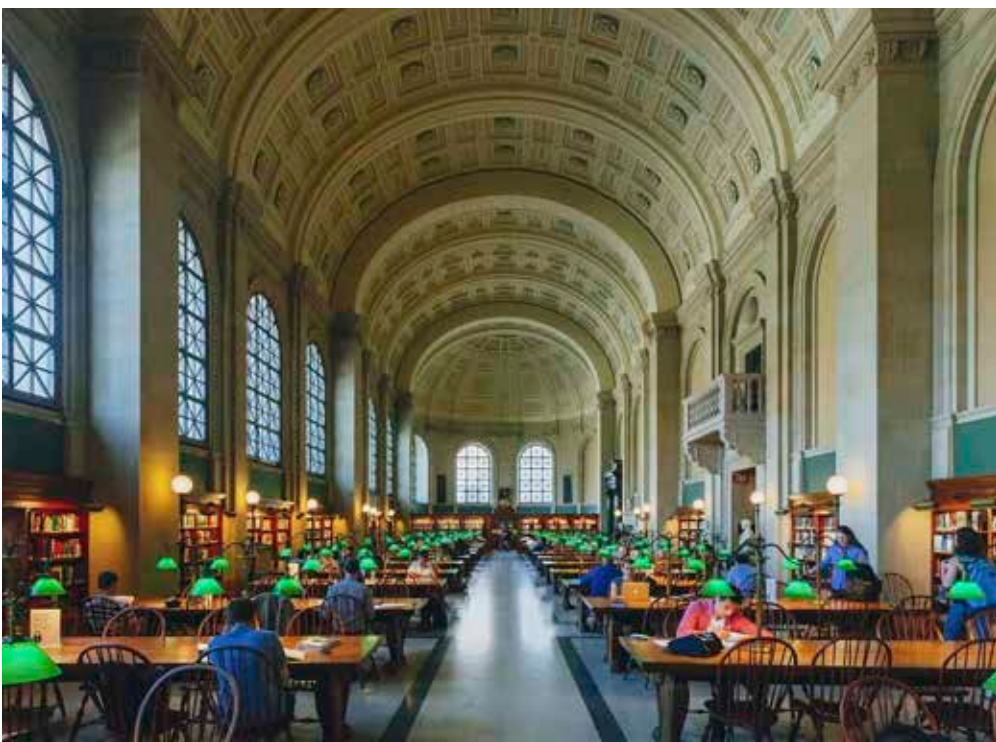
Miasteczko namiotowe na kampusie głównym, w pobliżu Widener Library, podczas protestów w listopadzie 2011 r. W głębi najstarszy zachowany budynek w obrębie kampusu, Massachusetts Hall z 1720 r., po prawej fragment budynku Harvard Hall z 1766 r. W tych okolicach w 1970 r. kręcono sceny do słynnego filmu „Love Story”.

– także dla owych „przechodniów”. *All are welcome at Houghton!* – bo już w innych jednostkach bibliotecznego systemu Harvarda broń Panie Boże!

A propos prestiżu – owszem jest, ale – tu kolejna ciekawostka – slogan „*you can't eat prestige*” to hasło bojowe lokalnego związku zawodowego (HUCTW). Dość skutecznego zresztą, jeśli chodzi o pracownicze roszczenia. Uczelnia pozostaje wszakże najbogatszą instytucją akademicką na świecie, największym, i to dość hojnym pracodawcą w stanie Massachusetts. Także w kwestii świadczeń emerytalnych, z których od lat już pięciu ja, *magna cum laude ac gaudia mea*, mam przyjemność korzystać...

Właśnie... z językiem łacińskim miał Pan z pewnością dużo do czynienia w swojej pracy ze starodrukami. To chyba pokrzepiające, móc wykorzystać swoją wiedzę ze studiów w praktyce, prawda? Z jakimi językami miał Pan przyjemność pracować?

W ramach moich studiów filologicznych, ukierunkowanych nota bene zdecydowanie językoznawczo, oprócz szeroko pojętego francuskiego – ze wszystkimi możliwymi gramatykami – miałem lektoraty rumuńskiego, włoskiego oraz dwuletni kurs łaciny. Ta ostatnia dawała mi najwięcej satysfakcji w postaci odkrywania i studiowania starych dokumentów, związanych z moimi historycznymi zamiłowaniem. Ale w pewnym momencie musiałem się też wziąć np. za niemiecki i nauczyć czytać szwabachę, bo nie było do kogo się z tym zwrócić. W pracy znajomość



Czytelnia Harvard Library

języków, owszem, przydawała się okazjonalnie, np. przy obsłudze osób korzystających z czytelni, także internetu. Od czasu do czasu wspomagałem też kolegów w różnych działach biblioteki, zwłaszcza w katalogowni. Może się Pani zdziwi, ale największe wrażenie wśród koleżeństwa robiła umiejętność odczytywania w języku rosyjskim, a to ze względu na inny alfabet. Bo łacina, starofrancuski czy szwabacha – owszem – ale to jakby oczywiste...

Przejdźmy teraz do biblioteki w sensie ogólnym. Jak porównałby Pan bibliotekę w Stanach i w Polsce... gdzie są największe różnice?

W tej chwili możemy mówić bardziej o podobieństwach, wręcz analogiach w funkcjonowaniu takiej np. Biblioteki Jagiellońskiej w porównaniu z Biblioteką Widenera – nawet system katalogowania i cyrkulacji jest zupełnie podobny (HOLLIS). Ale biblioteki – mówimy o instytucjach akademickich – ciągle się różnią, przede wszystkim zasobami, a także – przykładowo – stopniem digitalizacji zbiorów.

Pozostając w temacie biblioteki jako takiej... Tutaj na Zaolziu niektóre większe biblioteki próbują zmienić to utarte przeświadczenie, że bibliotekarz tylko siedzi i wypożycza książki – i próbują stać się przestrzenią dla wszystkich. Np. w Trzyńcu czy Karwinie istotną częścią jest kawiarnia, galeria, kluby dla seniorów i warsztaty dla

dzieci i młodzieży. Jak Pan myśli, mając doświadczenie w pracy w słynnej bibliotece, co jeszcze trzeba zrobić, by ludzie zaczęli uważać bibliotekę za miejsce dla każdego... i korzystać z niej?

Przede wszystkim do biblioteki akademickiej już nie przychodzą tak masowo jak kiedyś studenci i pracownicy nauki. I tak czytelnia główna (*Loker Reading Room*) i wypożyczalnia w Widenerze obecnie świeci na ogół pustkami, jak to mam okazję widzieć tu na co dzień. Biblioteki w tradycyjnym rozumieniu okazują się coraz bardziej zbędne, a to w związku z postępującym upowszechnieniem – mniej więcej od połowy lat 90. – nowej technologii. Są i inne czynniki, ale wyraźną cezurą jest tu pandemia, aczkolwiek stopniowe przechodzenie na zdalny system wykładów i zajęć akademickich miało już miejsce wcześniej. Mówiąc żartem, zawód bibliotekarza, tak jak kowala, kołodzieja, rymarza, zduna, szewca czy powroźnika, może być niedługo na wymarciu. Może, ale wcale nie musi, i pewnie nieprędko jeszcze, bo ciągle są ludzie, którzy mają pasję zaspokajania ciekawości przez czytanie drukowanego słowa, a nie tylko przez oglądanie obrazków na ekranie. A proszę pamiętać, że jak na razie digitalizacja objęła tylko niewielką część tego, co w ciągu wieków wygenerował ludzki umysł, a co nadal pozostaje w bibliotecznych magazynach. Publiczność do bibliotek można przyciągnąć m.in. przez organizowanie wystaw, spotkań autorskich, koncertów – co większość bibliotek z różnym powodzeniem dziś robi. Tak że, jak Pani wspomniała, otwieranie kawiarni, klubów i warsztatów – jak najbardziej. Niemniej trzeba jeszcze w tym wszystkim zwykłej motywacji, naturalnej ciekawości i pasji poznawania – zwłaszcza u ludzi młodych – a tego zaprogramować się za bardzo nie da. Ale bądźmy optymistami!



Józef Zajac w bibliotece w Czeskim Gieszynie

JANUSZ KLIMSZA

Górski Badachschan

ZDJĘCIA AUTORA

– Pan teraz do mnie to w jakim języku mówi w sumie? – biadoli wystajlowana kobieta za szybą kantorka. Jesteśmy w OVIRze, na biurokratycznym półpiętrze, gdzie wydają przepustki do GBAO, autonomicznego terytorium graniczącego z Afganistanem. Miejsce: Duszanbe, stolica Tadżykistanu.

– Wachan, Wachanski korridor – wydzieram się na całe gardło przywarowany do mikrofonika.

– Znasz coś takiego? – pyta kobieta za szybą spasionego gościa w mundurze, który gmera palcem w komórce. Zerka do mego paszportu, przegląda co egzotyczniejsze wize.

– Wam k ozieru Sarez? – pyta milicjant.

– Wachanski korridor poslie Pamir! – nadaję w kierunku szyby. Pracownicy biura, które wydaje permity – zezwolenia wstępu do obszarów zamkniętych – nie mają pojęcia o Wachanie? Wąskim pasemku buforowym po obu stronach granicznej rzeki Pjandż, marzeniu całych generacji obieżyświatów? W końcu opasły rzuci coś w języku farsy do pięknie oprawionej pani. Ta wypisuje karteczkę z zezwoleniem na poruszanie się po obszarze objętym specjalnym reżymem. W mieście Chorog, stolicy regionu GBAO, czyli Górskiego Badachschanu, przed trzema tygodniami przebiegło coś w rodzaju większej ruchawki, czy też małej wojny domowej, nieszczególną więc mają ochotę wpuszczać tam obcych, tym bardziej tych „iz Szengena”, co w byłym Związku jest alternatywą językową dla „Unii Europejskiej”. Sprawą numer dwa jest ważne źródło dochodu dla Tadżykistanu, a dla Afganistanu wręcz główne – przemysł afgańskiego opium do Kirgistanu, a w efekcie do Rosji i dalej w świat. Po Pamir Highway – górskiej drodze M 41, wcale nieźle utrzymywanej, kursują tiry z tym towarem. Tędy przerzucana jest jego znakomita większość. Tam zobaczę później tirowców polegających w piekielny upał pod samochodem. Na leżąco grali w karty, w cieniu, jaki dawały te tony blach i żelastwa nad nimi. O tym później. Teraz najważniejsze: trzymam w dłoni warakai bakajdgiri – fioletowy aneks do paszportu.



Graniczna rzeka Pjandż, po prawej Afganistan

– Etowo wy nie potierajcie! – grozi mi palcem beczkowaty mundurowy. – Budut kontroli pa darogie!

Zerkam na kartkę, od tej chwili nazywam się Dżanusz. Pani z kolei to Baronzoda.

Inna pani, z banku, poszła do lodziarni, potem do sklepu z futrami z ogromnym napisem azbuką: szuby. Teraz wraca uśmiechnięta i macha do mnie grubszym wałkiem somoni, miejscowej waluty.

– No to ile może pani podmienić? – pytam.

– Ooo, teraz to już dużo, za dwieście euro by można w razie czego.

– A więcej nie wazmożno-li?

– Ano nie. Pieniążków nie ma.

– A kantory?

– Nie w tej dzielnicy.

Główkuję, czy nie spróbować na chama w Hiltonie, w końcu ratuje mnie recepcjonista w hostelu Green House.

– Ile chcesz? – pyta.

– Ile mogę chcieć?

– Ile potrzebujesz.

Gada po persku do komórki. Do tego ręcznie podlicza słupki cyfr. W niespełna kwadrans wdrybluje przez bramę gość na skuterze. Otwiera plastikowy pojemnik z podręcznym kantorem wymiany. Widząc to, dwóch chłopaków z Pakistanu biegnie po dolary. Przyjechali tu z Peszawaru na krosowych terenówkach. Załapała się też Olja, zdrowo walnięta Rosjanka, która wita mnie za każdym razem grom-

kim „Wład Mitrycz, wy zdies’?” Kiedy uświadamiam jej, że pomyłka – a później, że powtórka pomyłki – rzuci gniewnie: „Ej, nie ściemniaj Lebediew...” Ucieka po schodach. Na środku placu plastikowa miednica załadowana bielizną. Taszczyła ją do piwnicy, gdzie obok ustępów podłączona jest pralka. A teraz zasuwa po swoje dolary.

– No i odjeżdżasz? – pyta, kiedy motobankier stuka po kalkulatorze.

– Ano tak, czas.

– Obiecałeś, skubańcu, zabrać do zapory na rzece Nurek. – Zła niby. Guano jej obiecywałem.

Wszystko, co w stolicy ważne, nazwano bądź imieniem poety Rudakiego (rocznik 858) albo imieniem legendarnego Ojca Założyciela: Somoniego (rocznik 849). Względnie nadano nazwę po obecnym Ojcu Odnowicielu Emomali Rachmonie (rocznik 1952), prezydencie od roku 1994. I oto przede mną cel wędrowki po bulwarze Rudakiego obok monstrualnego pomnika Somoniego pod czujnym okiem Rachmona, który z banerów śledzi moją drogę w czterdziestostopniowym skwarze: drugi najwyższy maszt flagowy na świecie (swego czasu był pierwszy). 165 metrów z największą na świecie flagą – flagą Czumchurii Todżikiston. Kawalek dalej stoi nad sztucznym jeziorem największa na świecie czajchana, czyli herbaciarnia. Czajchana od chwili uroczystego otwarcia – ogólnopaństwowa monstrualna to była feta – stoi zamknięta. Jest tak ogromna, że nie ma kasy na jej utrzymywanie. Teraz robi za tło do zdjęć ślubnych. Przyjeżdżają czarne SUV-y, w większości audi albo BMW, z samochodów wygramolą się panna i pan młodzi, fotograf z operatorem i zaczyna się sesja zdjęciowo-filmowa. Takich par pozuje w każdej chwili co najmniej pięć. Wkoło kręcą się nieletni Cyganie z klatkami pełnymi gołębi; fajnie jest wypuścić po wszystkim parę ptaków na wolność.

Na postoju lewych taksówek truchta młoda kobieta w słonecznych okularach. Okulary marki Dior, raczej podróbka znaczy się. Na głowie taszczy ogromnych rozmiarów szamański bęben.

– Wy w Chudżant? – celuje we mnie palcem.

– Ja k sażalieniu w Chorog.

To akurat pod kątem prostym w przeciwległy kąt państwa Tadżykistan. Chudżant leży na północnym wschodzie, koło granicy z Uzbekistanem, a Chorog to miasto graniczne z Afganistanem.

– Bljad’ – rąbie szamanka w niby-francuskich okularach. (Bljad’ to niecenzuralne, zdecydowanie uniwersalne słowo). Na rozległym parkingu przebiega ładowanie dobytku na dachy taksówek: lodówki, zestawy do klimatyzacji, rowery, baseniki i dziecięce przełaźnie, wszelkiego autoramentu badziewie przykrywa się brezentem i wiąże elastycznymi linkami. Gorąco, muchy, pył. W budach, za foliowy-

mi zasłonami, lodówki z napojami. Spod badyli w kącie parkingu leci moczem. W końcu przyjeżdża umówiony samochód. Kilkakrotnie nadawałem do faceta, który nieustannie przybiegał i odbiegał, kwiląc: dżast e minit ser, że olewam sprawę i idę szukać czegoś na własną rękę. Nadjechała nie terenówka, ale zdezelowany opel astra.

Kierowcę razi słońce z lewej, wyciąga spod siedzenia zielono-złoty dywanik do modlitwy, przełoży przez okienko, na wpół zatrzaśnie, na wpół przywiązuje drzwi linką i gnamy do przodu. Kierowca nazywa się Dareli. Tak zrozumiałem, ale nie ma pewności, bo jego wymowa jest mocno kreatywna. Zwyczajowe Inszallah – „jak Bóg da” – wymawia jako Inszchałłoo.

– Kiedy tam w końcu dojedziemy, na Boga, Dareli?

Wzrusza ramionami.

– Powiedzmy, że dojedziemy, Inszchałłoo – mówi po pewnej chwili.

W samochodzie lekko trąci chlewem, a z tyłu naciera rytmiczne stukanie.

– Co ty tam wieziesz, bębny?

– Co ty, nieee, to owca.

Faktycznie, kiedy zatrzymujemy się na postoju z widokiem na zaporę na rzece Nurek, wysiadam i widzę związane w kabłąk zwierzę. Gość w złotawych trzewikach płaci Darelemu i taszczy je w stronę innej taksówki. Owca jest ciężka, więc szurga nią po asfalcie. Zwierzę ryczy wniebogłoso, pewnie trochę je podkarmia i poderżną na Kurban Bajram, czyli muzułmańskie święto ofiar.

Za kiszłakiem Kisht – kiszłak to wioska – zaczyna się: środkiem szarego jak cement nurtu biegnie granica z Afganistanem. Drogi po tamtej stronie ubite, pochyłe i dużo węższe niż po tej. Afgańska strona jednak bardziej zielona – topole, łąki, widać szkołę, boisko, domki z drewnianymi werandami, ludzie z kiszłaków kąpią się w zatoczkach, czasem przemknie ktoś na motorze; wrażenie takie, jakby w ogóle nie znali tam samochodów. Potem jednak, po kilku godzinach, czasem jakiś SUV – wszystkie są białe – sunie po drodze specjalnie jakby pomyślanej dla samobójców. Tutaj szerzej, ale bardziej skaliście i stromo. Po kilku godzinach jednak bilans drogowy się wyrównuje – po tadżyckiej stronie kończy się droga sensu stricte, jest coś, po czym się jedzie, po jakimś czasie trudno to nawet nazwać wertepem. Dareli uwziął się na jeden samochód. Co parę kilometrów mijamy otraskanego, pogiętego peugeota wypchanego liczną wcale rodziną – wygramoliła się ósemka, do tego dziecko w powijakach – dodatkowo potężny ładunek na dachu, są dywany, jest kilka pierzyn w foliowych futerałach. Dareli rusza pędem, podnosi przód karoserii i długo majstruje coś koło silnika. Potem żegna się z całą zgrają niezmiernie wylewnie i długo, grat rusza z miejsca i za parę kilometrów dokładnie to samo w tejże obsadzie. My z kolei jedziemy ciut za wolno, na mój pomysłupek. Czasem omijamy

oderwane głązy spadające z urwisk nad nami. Dołem rwie rzeka o kolorze stali. Po którejś z rzędu powtórcie reperacji wraka krew mnie zalewa i drę gardło na Deralego, który robi minę przerażonego dziecka:

– To twoi krewni?

Nie krewni, okazuje się.

– Znajomi?

Też nie, nie zna ich.

– Mało tu innych naprawiaczy?

Samochodów niby żaden tłum, ale co parę minut przetrzęsę się jakiś. Dareli obrażony, nic nie mówi. Nieważne. Jedziemy.

Lodówka tego chłopaka to druciane kosze zanurzone w kaskadzie, w nich zanurzone butelki. Ma też lodówkę obok, napędzaną przez małą turbinę – wściekle obracający się młynek. Sięgam jednak po napój schłodzony w koszu. Imię sprzedawcy niezwykle – nazywa się Israeli. Urządził tu postój, jest kilku klientów, wszystko kierowcy zdezelowanych samochodów. Zarośnięci, ogorzali, gdyby powyciągali kałasznikowy, byłby pełen obraz. Mijamy czasem posterunki pograniczników. Patrole chodzą czwórkami, trzech to młode chłopaki, jeszcze nastoletnie, prowadzi nieco starszy. Idą wzdłuż granicy w jasnozielono-żółtych mimikrach, objuczeni ciężkimi automatami. W jednym miejscu – to już w nocy, wyłonili się z zupełnej ciemności – dwaj biegną, jakby do wypadku przed nami; kilka sekund później wskoczy przed światła samochodu lis, kluczy oślepiony, potem da susa w bok.

Miasto, do którego zmierzamy, nazywa się Chorog. Przez cały dzień brzmi to jak nazwa ziemi obiecanej. Dojechaliliśmy o drugiej w nocy. Ziemia obiecana to w tej chwili światło latarki. Idę za gościem w moim wieku, który przedstawił się jako Szerali. Przeciskamy się wąskimi uliczkami. Mijamy płot z siatki, później okaże się, że to boisko. Gwiazdy mrugają tak nisko, że prawie dotykają ciemnych wrzecion topoli.

* * *

Rankiem budzę się doszczętnie pokłuty przez komary. Leżę w piwnicy na ogromnym łożu małżeńskim, głowa i nogi łożka połyskują lakierem. Obok leży... mój załadowany plecak. Musiałem zasnąć w ułamku sekundy. Pokój zalatuje stęchlizną. Pod ścianami dziesiątki zagotowanych słoików, patrzę, co to za konfitury: to dynia. Idąc do łazienki w tej piwniczce, trafiam na bulgoczące pojemniki z winem porzeczkowym.

Na ławce koło schodów siedzi dwóch facetów w moim wieku – jeden to legendarny globtrotter z Brna, Jindra. Drugi to Szerali, gospodarz, właściciel jednej z najlepszych agencji (jednej z dwu) w Chorogu, dostępnych w internecie.

– Jak droga? – pyta.

Mówię jak było.

– Jołopy, nie szanują gości... – nadmieni Szerali a conto swych rodaków, wbijając kawałki mięsa na szpikulce. Biorę kilka i zaczynam nakładać. Po chwili sterczy przed nami okazały stos szaszłyków.

– Przyniosę coś z domowego sadu – podnosi się Jindra. Za chwilę spełniamy po kielichu ostrej jak brzytwa morełowy. Szerali cmoka z uznaniem. Teraz to on przynosi coś z własnego ogrodu, mówiąc dokładniej: przynosi jego córka. Plastry słodkiego arbuza.

– Baranina? – pytam à propos szaszłyków.

– A nie, wieprzowina.

– To można tutaj kupić?

– A można, nie wszyscy są muzułmanami. Są też komuniści, kryptokomuniści, są też tacy jak ja – śmieje się.

– Ale twoje kobiety chodzą w chustach.

– Chusta to chusta, a islam to islam.

Pokazuje na butelkę Jindry:

– Gorzałka nie woda.

Według konstytucji Tadżykistan jest państwem świeckim. W lipcu 2018 roku samochód załadowany młodymi fundamentalistami wjechał do grupki zachodnich kolarzy. Czwórka zginęła. Potem policja dopadła kilku sprawców. Dwóch poległo od kul. O tym też gadamy. O wybuchających czasami konfliktach etnicznych. Właśnie tu, w Chorogu, skończyło się przed niespełna miesiącem spore zamieszanie. Na ulicach widać wojskowe patrole. Istnieje opozycyjny ruch Lali Badachschan, usiłujący wywalczyć niepodległość. „Was nikt nie ruszy”, mówi Szerali i jakoś tak wiem, że to prawda.

Wybiegając w przód: w mieście Kulob z mauzoleum sufijskiego mędrca Mir Sa-ida Hamadaniego wychodzi imam. Bierze moje dłonie w swoje. Jedź do Hulbuk w gościnę, mówi, tam poznasz na własne oczy to i owo, naszą przeszłość... W Hulbuk (historyczny Chułbuk, dawna stolica dawnego Chuttalianu) ludzie koło dworca ciągną po torach krowy na postronkach, kozy pasą się koło piramidy arbułów, obok pod konstrukcją z brezentowym dachem śpi na łożku polowym sprzedający małolat. Między stacją benzynową a sklepem z akcesoriami samochodowymi manekin ubrany w suknię ślubną, sztywną od kurzu. Za drzewem, też burym od pyłu, czai się starzec w turbanie. Siwa broda farbowana henną. To zerka, to znika za drzewem. W końcu zdecydował się, podchodzi i skomplikowana choreografia tego podejścia wskazuje na kombinację „ni to głupawy – ni to pijany”. Z dobrych dziesięć razy tłumaczy, że Tadżyk to dla gościa zarżnię barana. Tu wymowny gest palcem po szyi. A Ruski to tylko wódki kupi. Teraz postukał palcami w przetyk. Inna

wersja: Ruski kupi w sklepie pół kilo mięsa, a Tadżyk to automatem całego barana. Gest zarzynania palcem wzdłuż grdyki. W końcu zaprasza do siebie. Gest obecny: przełyk – palec. Czyli jednak celebrowanie ma być na modłę Ruskich. Najważniejsze są jednak wykopaliska, zrekonstruowana twierdza – pałac i muzeum. Dopada nas dyrektor, główny archeolog i pomysłodawca zapisania tego miejsca na listę Unesco w jednym.

– Odkryliśmy tu kilka grobów. Pochówki w pozycji siedzącej, szkielety niezwykle rosnących mężczyzn, wszyscy ponad dwumetrowi. Kobiety szkielet równe metr dziewięćdziesiąt. Nie ma obecnie tak wysokich populacji. Aczkolwiek niektóre klany w bliskim Afganistanie, w Pakistanie, zalicza się do najwyższych ludzi świata. Stąd pochodziła żona Aleksandra Wielkiego. Wy nazywacie ją Roksana. A u nas Ruszama. Stąd wywożono miejscowe szkło, znane na cały świat, i trzy grupy towarów: złoto, konie i sól.

Pokazuje na górę odległą o kilka kilometrów:

– Ty wiesz, co to jest?

– Góra – mówię, bo widać, że góra.

– To sól. Czysta, największa w świecie bryła soli. Tyle, że porośnięta lasami.

Dyrektor chodzi w uzbeckiej tubetiejce i w pasiastym podkoszulku radzieckich spadochroniarzy. Po Afganistanie zdemobilizowano go w stopniu kapitana.

– Śledzisz wojnę na Ukrainie? – nie mówi o żadnej specoperacji, dla niego to wojna.

– Komu była potrzebna? – pyta. Pytam o Afganistan. Wzrusza ramionami.

Szerali od ręki załatwia następne permity, nam zajęłoby to kilka dni, a tu proszę... Szerali wchodzi, gadka z milicjonierem, jednym, drugim, przy wyjściu salutowuje młokos w mundurze pogranicznika i do widzenia.

W parku miejskim chłopcy skaczą do brudnego niczym ściek stawu. Skaczą z koron wydrążonych wierzb, z tyłu przybite do drzew deszczułka robią za szczeble drabiny. Na powierzchni unoszą się gołębie pióra i utyłane smalcem papiery z fastfoodowymi logami. W muzeum miła przewodniczka i eksponaty jak w najlepszych czasach real socjalizmu. W gablotach zdjęcia weteranów wojny ojczyźnianej, są bohaterowie pracy socjalistycznej, wybitni nauczyciele, jest wybijająca się hodowczyni cebuli, o, ta to jest znana wszędzie, komentuje przewodniczka. Jest wreszcie główny eksponat. To pierwszy w Badachszanie fortepian, przywieziony tu w częściach przez góry z miasta Osz w dzisiejszym Kirgistanie. Przeniesiony przez grupkę juczych koni. Kupił go dla swej córki miejscowy magnat. No cóż, przy wjeździe od strony Pamiru stoi pomnik Pierwszej Ciężarówki. Nad instrumentem (mówiąc szczerze, to wątle pianino, dość poobijane) wymalowano komplet wodzów rewolucji. Układ jak w westernie – z prawej Lenin przemawia do swojej ekipy. W samym środku, na siedząco – a to już sugestie związane z Ostatnią Wieczerzą



Dyrektor muzeum w Hulbuk, były spadochroniarz Specnazu

– dyskretnie niby wsłuchany Stalin. Obok Nadieżda Krupska, zamieniona na miejsca ze świętym Janem. Są Kirowy, Kamieniewy, Buchariny, Ordżonikidze, Frunze... pełna obsada. Przewodniczka nabożnie dotyka malowidła.

– To prawdziwy olej – mówi. – Proszę dotknąć, ale delikatnie.

Delikatnie dotykam. Później nadmieniam o tym Szeralemu.

– Tępy naród – konkluduje à propos swoich rodaków, polewa gorzałkę pod drzewem. Ogród ogromny.

– To wszystko twoje? – pytam.

– Nie, to majątek trzech rodzin. My jesteśmy takiej samostajatielnyj koopieratiw – wybucha śmiechem.

Młodsza córka czasem zagląda do nas, przyniesie miskę arbuźów albo zagadnie po angielsku. A tak naprawdę robi za wywiad swojej mamy, baczy, czy nie za szybko osuszamy butelkę.

Furtkę w głębi ogrodu wchodzi szpakowaty wielkolud. Przedstawia go Szerali:

– To Isztok. Nasz kierowca, przewodnik i jeszcze parę funkcji po drodze.

Ogród botaniczny w Chorogu jest prawdopodobnie jedynym, do którego wjeżdża się po okazaniu paszportu i wydaniu przepustki. Na końcu tej procedury podnoszony jest szlaban. Jest stromo pod górkę. Okazuje się, że wzgórze, które porasta największe skupisko roślin endemicznych w Azji Środkowej jest równocześnie... terenem wojskowym. Spaceruję po alejkach, mijam piknikujące w altanach wieloosobowe rodziny i tu przyuwazam, że przygląda mi się wygolony na pałę gość, w cywilu co prawda, ale nieco podejrzanie rosnący. I tu myśl raczej spóźniona, że przepustka tkwi w toyocie Isztoka, a gość ewidentnie ma ochotę mnie o coś podpły-

tać. Konkretnie co tu robię bież piermita, z paszportem kraju – członka NATO. Nie biegnę, niemniej przyspieszam, facet skraca odległość i to bez cienia wysiłku. Od-ruchowo zmiernam w kierunku, skąd dochodzi odgłos bębnow. Wyczuwam ludzką ciżbę, co intuicyjnie oznacza ratunek. Faktycznie, w chwili, kiedy gość prawie chwycił mnie za rękaw, wchodzę na ocieniony plac, gdzie w ogromne tambury-ny bije półkole złożone z kilkunastu niewiast. Wszystkie w niezmiernie jaskrawych strojach. Przed nimi ekipa z kamerą, prawdopodobnie lokalna telewizja, od razu mnie też filmowcy dopadli i dostawili w środek kobiecej orkiestry. Ochroniarz stoi z boku, kwaśno się uśmiecha, czar telewizji robi swoje. Kobiety tańczą, oceniają, że teledysk, czy może reportaż z udziałem obcokrajowca podniesie oglądalność, toteż staram się klaskać do tej polifonii rytmu. Wszyscy w akceptujący śmiech, biją brawa. O dziwo ochroniarz też dokłada oklasków. Fajnie, myślę, jednak klaszczący tajniak przeciska się ku mnie.

– U ciebie propusk jest? – szczyrzy zęby do kamery.
 – No mam – mówię, ale nigdzie nie sięgam, uśmiecham się prosto w obiektyw.
 – Faktycznie?
 – No mówię, że mam – czerwony punkt na kamerze celuje w naszą stronę. – Jesteśmy w lokalnej tiwi, co? Pooglądają ludzie, nie?
 – No dobra, dobra – odpuszcza. Skończyło się dla wizji.
 – Co to, wesele? – pytam młodego mężczyznę, jedyne, który kwalifikowałby się na pana młodego.
 – Nie, to w ramach konferencji o grupach etnicznych Tadżykistanu – wyjaśnia piękną angielszczyzną asystent. – Każdą z tych kobiet wysłali z innego regionu.
 Nadmieniam, że faktycznie ubrane są w różne stroje. Ano właśnie. Kobiety zapraszają na imprezę wieczorkiem, uroczyste otwarcie, te rzeczy... Jedna rezolutna bierze mnie pod ramię. Stoimy do zdjęcia. – Będzie fajnie, baran z rożna i inne super bajery – czaruje niekwestionowana liderka perkusistek, rozłożysta kobieta w moim wieku. Są i starsze. Są też dużo młodsze, wysyłane bardziej do oglądania pewnie, niż do uderzania w bęben. Jakoś udaje mi się wymówić – potem żałuję, rzecz jasna.

Noc, kilkadziesiąt metrów za ogrodem Szeralego stoi ogrodzone siatką boisko do piłki nożnej. Niebiescy grają nocny mecz przeciw żółtym. Niezłe zagrania, wysokie tempo. Ogrodzenie trzęsie się od potężnych uderzeń idących koło bramki. Nad grającymi grzeją reflektory, nad reflektorami mrugają gwiazdy. Z okien blokowców gapią się gapie.

Przeskakujemy z Jindrą rów, idziemy się odlać. Isztok spaceruje koło samochodu, pociąga z damskiego papierosa. Potem wskazuje papierosem na górę z lewej.
 – Tam wydobywają lapis lazuli.



Góry Fańskie

Lapis lazuli to niezwykle rzadki, niezwykle drogi mineralny barwnik. Już w czasach antycznych eksportowano go stąd, z Badachszanu.

– Gdzie niby? – staram się wyostrzyć wzrok, nie widzę jednak żadnego kamieniołomu ani żadnych dróg czy zabudowań.
 – Tam jest zagajnik.
 Ten owszem, widzę.
 – Nad nim niebieska ściana.

Po chwili usilnego przypatrywania się widzę ścianę. Rankiem przyjeżdża ekipa – z boku prowadzi wąska droga, nie widać jej z tego miejsca. Pod wieczór wywożą urobek na wózkach. Dokładnie tak samo jak dwa, trzy tysiące lat wstecz.

Przypomina mi się opis kampanii Aleksandra Wielkiego. A potem przychodzi mi do głowy coś jeszcze.

– Ty, tutaj gdzieś były amerykańskie bazy lotnicze w czasach wojny z Afganistanem, nie?
 – To nie tu, bardziej w głąb – pokazuje papierosem.
 – Woziliście ich?
 – No nie, na zwiedzanie jakoś ich nie brało. – Potem gasi peta. – W życiu żadnego nie widziałem.

* * *

Tu wtręt: po zajęciu Afganistanu przez talibów kilkudziesięciu pilotów armii afgańskiej (prozachodniej) wylądowało w tadżyckim mieście Bochtar wywożąc przed talibami część amerykańskiego sprzętu wojskowego – z tego większość stanowiły śmigłowce, w tym legendarne Black Hawks Sikorsky UH 60. Amerykanie oddali je Tadżykom.

Garam Chashma – siarczane stalaktyty zwisają ze zbocza obok małych łaźni. Dyżurna starowina grozi mi miotłą, nie wpuści mnie do budyneczku.

– W środku gołe baby siedzą – wyskrzeczy niczym ropucha (podobnie wygląda), po chwili pertraktacji prowadzi mnie jednak za blaszaną budę. Kiedy wracam od żółtej, śliskiej i cuchnącej siarką stromizny przetykanej parującymi strumykami, macha do mnie swoją miotłą.

– Ej ty, pacanie, baby siedziały, ale je pogoniłam, włąź!

Teraz z kolei zapędza mnie na mus do baseniku i nie ma zmiłuj. Płacę parę somoni, zapieram się na rękach i trzymam tylec tuż nad wodą, która bliska jest punktu wrzenia. Potem decyzja i siad, i z miejsca stało się jasne, że to jednak błąd był fatalny. Poza moim najazdem damskie i męskie godziny otwarcia są jednak ściśle przestrzegane, a ja trafiłem na kobiecą część dnia. Po mostku zbliża się kolejna fala kobiet w hidżabach. Idą stare i młode, niosą ręczniki albo reklamówki wypchane kąpielowymi akcesoriami. Mężczyźni koło budki z napisem Cola owiewają wachlarzami blaszane koryta z węglem drzewnym, potem kładą szaszłyki i z miejsca rozchodzi się odurzający zapach.

– Wlaziłeś jędry do kotła? – interesuje się Jindra. – Ja zwiąłem w porę, mam kłopoty z sercem.

– Fajnie, bo ja też – mówię.

– Ano, idealnie, to po jednym. – Jindra sięga do plecaka, gdzie zawsze chowa w zapasie plastikową buteleczkę. Siedzimy, szaszłyki zaczynają skwierczeć, lekka bryza roznosi zapachy.

Iskaszim to miasteczko – ulica, miasto – aleja. Most przed wioską z bazarem pośrodku zamknięto w ubiegłym roku, po przejęciu władzy przez talibów. Bazar jest obwarowany, leży na półhektarowej wysepce na środku rzeki Pjandż. Z afgańskiej i tadżyckiej strony biegną do niej żelazne konstrukcje. Spodem przyspawano blachy. Rolnicy z obu stron sprzedawali na wyspie to, co wyhodowali. Teraz przejście zamknięto. Przegrodzono drutem kolczastym. Dwóch mężczyzn w polach poszerza rowy, salam alejkum – alejkum assalam, odpowiadam, i od razu pytam:

– Gdzie sprzedajecie, kiedy bazaru nie ma?

Mężczyźni położyli łopaty, sięgają po papierosy.

– Ano sprzedajemy z tej strony.

– A jak było za Sowietów?

– Sprzedawało się. Z tamtej strony ziemia tak samo żyzna. Zresztą tamci to nasi krewni... rodziny.

– Głodny jesteś? – starszy łamie pęto kiełbasy, podaje mi kawałek. Ich pies, żółtawy brytan, oblizuje potem moją dłoń. Idzie za mną aż do bramy morelowego sadu, gdzie mieszkamy w domku ogrodnika. Kiedy stanę na ganku, spojrzę za siebie. Pies



Krańce Hindukuszu

kiwa głową i biegnie z powrotem. Za sadem sterczą ośnieżone siedmiotysięczniki. Po tej stronie Pamir. Za rzeką Hindukusz.

* * *

Ajdar Malik Mamadow jest prawnikiem sufijskiego mędrca, astronoma i poety Mubaraka Kadama Wakhani. W sielsko-anielskiej wiosce, koło strumyka ciurkającego pod topolami i przyciętymi wierzbnami, rodzina przechowuje w biało-żółtym obejściu pamiątki po pradziadku, włącznie z instrumentem jego pomysłu i konstrukcji – dziewiętnastostrunową lutnią. Ajdar gra na niej, każdy instrument bierze do ręki z nabożną czcią, ma też smykałkę do interesu: rodzina wydała własnym sumptem – i sumptem tych, którzy traktują Wakhanię jako duchowego przywódcę – teksty proroka; są też widokówki i sporo turystycznego plastikowego szajsu.

– Patrz tu – Ajdar zaprasza do witryny z otwartym oryginałem książki, którą napisał jego pradziad. – Tu pisze się o tym, jak Szatan, mocno wkurzony karierą, jaką u Najwyższego robił człowiek, przyjdzie się skarżyć. – Nie będę człowiekowi służył, wybij to sobie z głowy – mówi do Boga. – No bo jak to tak? Mnie stworzyłeś z ognia, a on jest tylko ulepiony z błota... – Ajdar konfidencjonalnie łypie okiem.

– No a Bóg? Co mu powiedział? – pytam, bo tak właśnie trzeba zapytać w tej rozgrywce.

– Ano właśnie, na pewno coś mu powiedział – miga się chytrze Ajdar.

Na skalnym wzniesieniu za wioską widać zegar słoneczny. W czasie wiosennej i jesiennej równonocy zbiera się tutaj cała wioska. Tu wiosną obchodzony jest wspólnie Nowruz – perski nowy rok.

Wieczorem mijamy uprawy sorgo, za szerokim na półtora metra kanałem nawadniającym rozciągają się sady moreli. Dotarliśmy do Langar, wioski znanej z listy

Unesco. Jest kilka obejść. Wszędzie polegają czarne gumowe węże z wodą czerpaną z kanału. Pod drzewami kałuże. Nosi przyklepione do okien landcruisera, szukamy sklepu. W granicznym przyczółku Zong widzimy szyld, wisi na dwupiętrowym domku, który jest stale w budowie. Rzecz jasna zamknięte, kiedy jednak wsiadamy na powrót do toyoty Isztoka, jak spod ziemi wyłoni się facet w kaszkiecie, z pękiem kluczy. Otwiera drzwi i w tejże chwili grupka mężczyzn tynkujących przybudówkę zeskakuje z rusztowania i pędem gna za nami do „magazynu”. Chwilę później pięciu starszawych Tadżyków w zbryzganych wapnem kombinezonach słucha mego wykładu na temat prawidłowej w chwili spożycia temperatury piwa. Skupienie totalne. Jeden z tynkarzy przykłada oszronioną puszkę do czoła.

– I jak, w porządku? – pytam.

– Lepiej nie może być – błysnie złotym uzębieniem – Łuczsie nie bywajet.

Rano budzi mnie ryk osła, może metr za moim oknem. Gospodyni kropi gumowym wężem betonową ścieżkę przed obejściem. Kiedy zjadamy z Jindrą zwyczajowe śniadanie – jajecznicę z lepioszką, twarogiem i piramidą pokrojonych w plastry pomidorów – wchodzi Ewad, miejscowy przewodnik. Wygląda jak dowódca talibów.

– No dobra, ty idziesz z gościem, ja mam wiernego przewodnika – Jindra pokazuje aplikację w swojej komórce: mapy.cz. – Lepsze niż lokalne wymysły – stwierdza, a Jindra to facet, który wie, co mówi. Ze stu osiemdziesięciu kilku państw współczesnego świata do pomyślnej Korony Globu brakuje mu niespełna trzydziestki.

Za Langarem wspinamy się z Ewadem po niesłychanej stromiznie. Proch, pot, kamienie, szkielety po zasuszonej padlinie, skóry wygarbowane samym słońcem, chmury owadów, czasem wysychające ścieki, zapach gnoju czy ludzkiego gówna – to są sygnifikatory podobnych podróży. Wspięliśmy się na sztucznie usypaną platformę, na której stoi cmentarz.

– Ewad, jak tu wnoszą nieboszczyków?

– Na marach – mówi Ewad – znaczy się na noszach. Mężczyźni zmieniają się szóstkami.

Za cmentarzem jeszcze bardziej mordercza stromizna, tony pyłu, wiadra potu. Temperatury przeskoczyły w tym tygodniu czterdzieści stopni. Czegoś podobnego nie pamiętam, jak żyję, mówił à propos temperatury bezzębny facet wczoraj w sklepie. Na oko starszy o parę lat ode mnie, czyli dobiegał siedemdziesiątki. W jednym miejscu ciurka cienka niczym nić strużka. Leżymy z Ewadem plecami w wodzie. Czasem nabieram ją, siorbuję z dłoni. Nad nami Pik Engelsa. Sto metrów w lewo i dwieście metrów w głąb kanionu ryczy rzeka. Patrzą na kilka grzbietów, które już pokonaliśmy. Coś mi się zdaje, że przewodnik zgubił drogę. Nasz cel jest jak najbardziej określony – petroglify z epoki neolitu, zapisane na liście Unesco.

– Nu kak? – pytam

– Swjazi nietu – Ewad udaje, że majstruje coś przy komórce.

– Risunki gdzie?

– Siejczas, drug. Wsjo budiet.

Potem pokazuje jakieś miejsce na afgańskim brzegu. Stamtąd trzy dni do Pakistanu. Mówi tak, jakby chciał dodać coś jeszcze bardziej intrygującego.

– Samochodem?

– Tam prawie nie ma dróg. Na piechotę.

Biegnie w końcu w dół, do wioski. Biegnie to niewłaściwe słowo, zjeżdża po nogach, dłoniach, po tyłku. Podbija chmury pyłu. Siedzę sam w księżycowej pustce. Słońce stoi w zenicie. Może być ponad pięćdziesiąt stopni. (Potem okazuje się, że faktycznie było, tego dnia padły wszelkie krajowe rekordy). Szansy na cień żadnej. Mija pół godziny, godzina, półtorej, patrzę jak przygłup w strzeliste zagajniki topoli za rzeką i ośnieżone sześcio-, siedmiotysięczniki za nimi – to afgański, a za nim pakistański Hindukusz. A z lewej, po tej stronie rzeki, Pamir i granica z Chinami.

Pochłaniam ostatnie łyki wody, kiedy na szczycie urwiska pojawia się smagły nastolatek w czerwonej koszulce. Coś krzyczy, ale trudno zrozumieć na tę odległość.

– Przewodnik gdzie?

– Stryj siedzi tam – pokazuje postać siedzącą dużo poniżej. Nawet z tej odległości widać, że jest u kresu sił.

Okazuje się, że petroglify są może pięć minut od miejsca, gdzie zipał przewodnik. Jasnoszare rysunki na ciemnoszarym podłożu. Koziorożce, mężczyźni polujący z łukami, mandale zamiast głów, pod nimi ręce, nogi, słoneczne symbole. Są też rysunki w miarę nowe, napisy (Masza 1968), jest rysunek męskiej głowy, dla mnie stuprocentowo wyobrażający Lenina.

– Kojarzysz tego gościa? – chcę podpuścić Ewada.

– To był nasz krewny – mówi Ewad, a chłopak w czerwonym T-shircie potakuje głową. – Addam Beg, zmarł jakoś na początku lat dziewięćdziesiątych.

Kiedy w wiosce zeskakujemy na drogę ze zbrocza pod cmentarzem, Ewad wtyka siostrzeńcowi w dłoń parę somoni. Kiedy pokazuję, że to ja zapłacę, przeczy głową. Odwraca się w drugą stronę. Wstydzi się, że zawiódł człowieka, który przyjechał „w gości”. Tadżycy różnią się od innych grup etnicznych Środkowej Azji – przybyli tu dawno przed Uzbekami czy Kazachami, których napływ z Syberii to czasy średniowiecza. Tadżycy są potomkami Persów, żyją tu od tysięcy lat. To naród indoeuropejski, urody zbliżonej do śródziemnomorskiej. Piękne są tadżyckie kobiety. Drobne, delikatnej urody. Przypominają tancerki flamenco, bo cygańskiego też coś niecoś jest w ich wyglądzie. Zresztą Pakistan jest o rzut kamieniem stąd, tak samo Indie.



Szamański ołtarz

sty, szczotki do zmywania naczyń, pasty do butów. Są też banany, owoce granatu, pudła z bakławą. Biorę dla siebie i dla Ewada napój energetyczny Godzilla, ciepły jakby stał do tej pory w słońcu na dworze, siadam na stercie opon samochodowych. Puszka psyknie niczym pusta gaśnica. Młoda kobieta stoi koło folii dzielącej półmrok sklepiku od spiekoty na zewnątrz. Cała w czerwono-czarnej kombinacji – chusta, także kamizelka, suknia, spodnie i podrasowane pantofle obszyte biżuterią. Tylko skarpetki są w kolorze ongiś pewnie różowym. Zdejmuje maseczkę przeciwCOVIDową, bierze z półki lustro, długo się sobie przygląda, potem rzuci coś do sprzedawcy i mego przewodnika. Długa rozmowa w farsy. Zamykam oczy, słyszę skargi i gniew, żarty, szyderstwa, hamowany śmiech, całe epepeje, wreszcie dotarli na obszar polubownej kokieterii, gdzie pewnie od początku zmierzali. Na moje rozpoznanie sprzedawca i kobieta to brat z siostrą, Ewad jest ich starszym krewnym, kuzynem albo wujem. Pewnie cała okolica to krewni, jeden ród czy klan, plemię zasiedziało tu jeszcze sprzed najazdu Aleksandra Wielkiego. Ich przodkowie leżą na stromym cmentarzu. Krewny podobny do Lenina na petroglifach, koło rysunków myśliwych z neolitu. Oczy trzymam zamknięte. Czas odpłynął. Popijam ciepłą jak mocz Godzillę.

Rzeka Pjandż w tym miejscu nie robi wrażenia rzeki granicznej – jest płytka, toczy się leniwie pomiędzy zielonymi kępami, na tyle rozległymi, że zmieści się na nich stadko kóz albo cielaków. Dzieci rozkładają na murawie perskie dywany, szczotkują je, wodę nabierają wiadrami prosto z rzeki. Piski i wizgi, mężczyźni zakładający rybackie sieci brodzą w wodzie. Na przybrzeżnej łasze zbudowano na

Z wioski do przysiółka wlecemy się pod niskimi drzewami rosnącymi gęsto nad wąskim kanałem. Kroczymy po cieniach gałęzi, stąpamy niemal dotykając nieludzkiego skwaru, sami nieco oblużgani kojącym chłodem cieni. Mijamy twierdzę pograniczników. Rozebrany do pasa żołnierz macha do nas z wieży strażniczej. Wskazuje na mały budynek stojący obok szlabanu. Buda sklecona pewnie w latach pięćdziesiątych. W środku istny babilon nikomu niepotrzebnych gratów. Zakurzone pudło z monitorem LCD, gwoździe, piekielnie brudne dziecięce tenisówki, cukierki pamiętające z pewnością wiek dwudzie-

śnieżnobiałym piasku obwarowany totem. Ołtarzyk i bramę zdobią rogi koziorożca, gatunku zwanego tutaj marco polo. Pogranicznicy mijający naszą toyotę nie interesują się ani nami, ani dziećmi czyszczącymi dywany grubo za granicznymi słupkami, po afgańskiej stronie. Mniej więcej dziesięć miesięcy temu taliban przejął błyskawicznie władzę nad całym Afganistanem, a amerykański odwrót w Kabulu przypominał ucieczkę z Wietnamu w roku 1975. Prezydent Emomali Rachmon zmobilizował 20 tysięcy rezerwistów. Teraz po roku nie widzę żadnych napięć. Konflikty są natomiast na granicy z Kirgistanem. Czwórka kirgiskich pograniczników przekroczyła granicę, doszło do strzelaniny, poległ jeden z żołnierzy. Wersja tadżycka: Kirgizi poszli kraść konie. Wersja kirgiska: ostrzelano kirgiski patrol konny.

Przez całą noc z posterunku straży granicznej czekał pies. Odszczekiwały owczarki z zagród w przysiółku. Sad płynął w księżycowym świetle. Tuż za oknem niewielka morela, obsypana owocami. Mógłbym ich dosięgnąć, gdyby nie siatka przeciw komarom w oknie. Przed brzaskiem oszalały wszystkie ptaki. Potem wysnuł się zapach dymu z płonących gałęzi. Była piąta nad ranem. Dwie kobiety rozmawiały w sadzie, wrzucając morele do wiadra. Rozmawiały w prastarym, śpiewnym, lekko zawodzącym języku.

– Nieprzyjemna rzecz – Isztok, podjadając jajecznicę, cały czas wisi na komórce. Pytany, tylko kręci głową. – Problemy – mówi. Wreszcie wyłączył się i zabiera się do czajnika. Herbatę nalewa z fantazją, płyn leje się dobre pół metra z dziobka do szklanki. – Jak dobrze pójdzie, to może jednak przejedziemy. Wczoraj droga była nieprzejezdna, trzynaście kilometrów za Langarem tające śniegi Pamiru zerwały jedyny mostek.

Wspinamy się do góry, toyota idzie jak we śnie. Za zakrętem na wysokości 3100 metrów widać zerwane przęsło mostka. Za kolejnym zakrętem trzy samochody SUV, które dały radę przejechać przez rwący szarobury nurt. Dwaj motobikerzy stoją po pas w szalejącej wodzie, kilku mężczyzn w afgańskich nakryciach głowy podrzuca co większe kamienie, mała spycharka podsypuje żwirem z brzegu, krzyk, bezład. Z naprzeciwka nadbiega kierowca nivy, która przejechała, pokazuje drogę w mlecznym nurcie, tam jest najmniej wody, do pół uda. Isztok rozjeżdża toyotę, przejeżdżamy. Za nami facet o skośnych oczach, pewnie Kirgiz, grzęźnie z motorem w rwącej wodzie. W pewnym momencie zdaje się wywracać, podbiegają faceci, przytrzymują motor, popychają, co rusz wydaje się, że wszyscy zwalą się do grzmiącej piany. W końcu po wszystkim.

Jedziemy w pustce niczym z księżycą. Nagle na tej pustyni pojawia się znak drogowy – zakręt w lewo. Faktycznie, tam skręcają ślady opon. Jak okiem sięgnąć pejzaż z Gwiezdných Wojen.

Szlaban zamknięty na kłódkę. Za nim murowana buda z osypującym się tynkiem. Z odległych o dobre pół kilometra małych koszar zwieńczonych koroną wszelakich anten wychodzi człowiek w mundurze. Kiedy podchodzi bliżej, widzę w jego ręce zwinięty w rulon szkolny zeszyt. Spisuje starannie dane z naszych paszportów. Pismo jakby niedawno wyuczone, przepisowy styl klasowego prymusa. Długopis jest złoty. W upiornym skwarze błyszczą jak małe słońce.

Z tego miejsca ruszymy na północ, po pięciu dniach krzątania się wzdłuż granicy z Afganistanem. Przed nami droga do najautentyczniejszego Pamiru. Rzeka rozlewa się po zielonej, ściśniętej pomiędzy zaróżowionymi skałami dolinie. Boki skał jak pomarszczone pęki roślin – wjeżdżamy w płaskowyż, licha trawa sterczy nieruchomo na zasolonej ziemi, tu wyparowują słone jeziora o białych brzegach. Skały mieniają się kolorami. Wreszcie Isztok wjeżdża na asfaltową drogę. Jedziemy po Pamir Highway – Pamirskim szosie. Tędy odbywa się cały handel, legalny i nielegalny.

Aliczur na mapie wygląda jak poważna miejscina, w rzeczywistości to skupisko murowanych szop. Piekarniki lepioszki, kiedy bucha z nich ogień, przypominają włązy do piekła. Na zalanych łąkach brodzą osły. Zatrzęsienie tirów z podniesionymi nadbudówkami. Ogólne dogadywanie się, naprawy. Kierowcy to zarówno Tadżykowie, jak i skośnoocy Kirgizi czy Uzbegy. Zmierzam do jadłodajni – trzy plastikowe stoliki, jeden podest wysłany dywanami, za przepierzeniem kuchnia, gdzie krzątają się dwie kobiety, matka i córka. Córka nie bardzo kojarzy mój rosyjski, wreszcie przypomni sobie jedno słowo – baranina – i po chwili obieram baranie mięso z kości. Przeżuwam, co wymaga sporego wysiłku, maczam lepioszkę w gorącym baranim łożu. Pytam na migi, gdzie umyć ręce. Dziewczyna pokazuje przed dom. Na ścianie blaszana skrzynka z prostym mechanizmem do puszczenia wody. Dzbaneł z kutego mosiądzu, jak z baśni tysiąca i jednej nocy. Tirowcy obgadali swoje sprawy, ruszają ławą do knajpki, która z miejsca pęka w szwach, popijają herbatę z małych szklanek. Wszyscy jak na znak wyciągają papierosy. Za chwilę czarno od dymu.

– Kak dieła, parieni? – rechoczą, podnoszą kciuki w górę. Cała ta zgraja to generalnie czterdziesto-pięćdziesięciolatekowie. Obliczam, czy mogli się załapać na wojnę w Afganistanie czy w Czeczenii. Bo ewidentnie wielu z nich ma wojskową przeszłość. Wychodzi mi, że mogli, starsi na pewno. Zresztą w samym Afganistanie mieszka sporo Tadżyków, zwłaszcza w północnych regionach, gdzie stanowią wręcz większość. Tadżykiem był nigdy nie pokonany w walce, legendarny dowódca mudżahedinów Ahmad Masud, zwany Lwem Pandższiru. Zginął w zamachu, jakiego dokonała dwójka arabskich terrorystów podających się za dziennikarzy. Ładunek umieścili w kamerze. Dwa dni później samoloty uderzyły w wieże World Trade Center.

Murgab to jedyne miasto we wschodnim regionie GBAO, pełni funkcję stolicy rozległego terytorium. Uroda miejsca jak z radzieckich filmów z lat pięćdziesiątych. Buchanki – wojskowe furgonetki – też mniej więcej z tej epoki. Faceci przejeżdżający na rowerach noszą na głowach stożkowate kałpaki, charakterystyczne kirgiskie czapki z białego filcu w czarne zawijasy. Hotel, nawiasem mówiąc, też prowadzą Kirgizi. Wszyscy dogadują się po angielsku, włącznie z najstarszą generacją. Pani w sklepiku wygląda na przeszło osiemdziesięcioletnią, po angielsku mówi płynnie.

W Murgabie przed jurtą rozbłyśnie wąż żarówek. Młodzież sejmikuje przed sklepem. Na oko są Kirgizami. Potem, w porywach nagłego deszczu, rozbiegają się do parterowych domków. Kobiety w hostelu porozumiewają się przez wojskowe nadajniki. Kiedy zdają swoje łachy do prania, słychać piski i głosy jak podczas policyjnej obławy. Za oknem leją się strugi deszczu. Wiatr popycha plastikowe krzesła po betonowym placu. Pod wieczór właścicielka puka do drzwi pokoju.

– Chodźcie, pokażę, gdzie jest przyjemniej.

Prowadzi nas z Jindrą do jurty. Schludna, materace, grube koce w czerwono-złote wzory.

– Wiesz, po co ta jurta? Żeby wyciszyć myśli.

Siedzimy, jest herbata. Podmieniamy z Jindrą herbatę na piwo z plastikowych butli. Miejscowa najpopularniejsza marka to Sim Sim. Jak większość jasnych piw na całym świecie, poczynając od Bałkanów, a na Indonezji czy Ameryce Południowej kończąc, oparta na recepturach Pilsner lagera. Po zmierzchu w odległości trzydziestu metrów nad rozlewiskiem rozbłyśną światła meczetu. Odbłyśki migają koło mostu. Hostel, jak cała okolica, nazywa się Pamir.

Przez cały kolejny dzień z obu stron Pamirskiej Szosy bajecznie kolorowe góry – szare, zielone, żółte, pomarańczowe, różowe, turkusowe, z warstwami jakby włożonego pasmami węgla na grzebieniach. W końcu pojawiają się dwie góry o geometrycznych kształtach, dwie czerwone piramidy – mniej więcej podobnych co piramidy rozmiarów. Wyższą okalają słupy w kształcie litery T – ogrodzenie z epoki Związku Radzieckiego. Po drugiej stronie Chiny. Drut kolczasty w wielu miejscach zerwany, sterczą gołe słupy. Nie ma nikogo, nie widać też żadnych wież strażniczych. Pustka. Jedziemy w kierunku północnym ku następnej granicy, z Kirgistanem. Do samej granicy droga zamknięta. Oba środkowoazjatyckie państwa pozostają w stanie cichej wojny. To samo z Uzbekistanem. W latach dwudziestych z podniecia Stalina wytyczono sztuczne granice, czasami absurdalnie krojące jednorodnie etnicznie obszary: chodziło o źródło nieustannych konfliktów i to się, rzecz jasna, udało. I jest kwestia druga – zaporą na rzece Nurek, która, jak utrzymują – słusznie – Uzbegy, utrudnia im dostęp do wody z Pamiru i Himalajów. Teraz spokój, cisza dźwięczy w uszach.

Przełęcz Ak-Bajtał leży na wysokości 4656 metrów. Za kolorowymi ścianami gór czarno-białe szczyty Pamiru. Na wierzchołkach lśnią rozległe pasma śniegu. Środkiem, przywarowana do jednego stoku, Pamir Highway. I rzeka z licznymi rozgałęzieniami, zieleń trawy i lazur nieba tak intensywne, że koją i bolą równocześnie. Nad wodą gonią się szarozółte ptaki. Po drugiej stronie leżą nomadów – jurta, terenowy samochód Niva, olbrzymi kocioł.

Nazwa Karakul oznacza czarne jezioro, tafla wody jest jednak idealnie niebieska. Okolona pustynią, wokół której warują potężne ośnieżone szczyty z Pikiem Lenina, czy po tadżycku Abuali ibni Sino – Szczytem Awicenny. I tu pierwsze wieże wartownicze, puste, tak samo jak koszary. Niewykończone dwupiętrowe bryły z pustaków. Era jakby Breżniewa. Sama wieś Karakul też prawie pusta, zdezelowane budy, wraki ciężarówek, zardzewiałe cysterny. Za wioską samotnie stojąca kostka z niebieskimi ongiś drzwiami i jednym oknem – wychodek. Jest jednak wieża translacyjna i panele solarne koło jedynego budyneczku okolonego siatką z drutu. Okna zasłonięte grubymi foliami. W ogrodzeniu mała elektrownia, wiatrak. Śmigła zastygły w bezwietrzu.

Brzegi jeziora to zasolone laguny z ciemną wodą, białą ziemią i ciemnozielonym zielskiem. Na brzegu zeschnięte warstwy dawno zasuszonych glonów. Pod stopą rozsypują się w pył. Gdyby kopnąć do sztywnych od soli krzewinek, wzniosą się chmary drobnych jak główka szpilki owadów. Tną niemiłosiernie. W parę sekund jestem obleziony tak dokumentnie, że zgarniam je garściami. Czaszki koziorożców porozrzucane bez ładu. Obcięte równo, jakby je zgilotynowano. Co to ma być – ofiary? Co to za rytuał? Niektóre mają rogi tak samo obcięte, tak samo równo, podejrzewam, że piłą tarczową.

Barek w Murgab to równocześnie mała jadłodajnia i sklepik monopolowy. Dwie miłe sprzedawczynie, dopiero co poinstruowane o odpowiedniej temperaturze piwa, wkładają butelki do wiadra. Prowadzą nas do piwnicy, odsuwamy z Jindrą kamienne płyty leżące na wierzchu studni wykutej do głębi skały. Powietrze wiejące z czeluści to zmaterializowany ziąb. Wiadro przywiązują do długiego sznura i spuszczają w głąb. Wychodzimy na światło, siadamy w niewielkiej koi. Młodsza sprzedawczyni w miejscowym kobiecym stroju, lekko przypominającym przykurzoną piżamę, ociera gąbką ceratę na stole. Drobną, o subtelnej, mieszanej urodzie, ni to perskiej, ni to kirgiskiej. Zasłania kotarą nasz pokój, niemniej wymizerowani miejscowi żule, wysiadujący na schodach przed sklepem, z miejsca formują procesję do nas. Zaczyna się ckliwe, sentymentalne pijackie bajdurzenie o nienaruszonym braterstwie, o mywszyscy ludźmi i zarobkiniskiesą, stały repertuar. Jednak z miejsca się wycofują. Hybrydowa krasawica wygania ich niemiłosiernie. Słychać stukanie butelek. Jeden, w zielonej mycce, szczególnie wytrwały, wraca dwukrotnie. Przykładamy dłoń do serca – tutejszy znak szacunku.

– Zjecie co może?

– A do wyboru?

– Może być wołowina.

Pytam czy wołowina na pewno z krowy.

– No co ty, nieee. U nas wołowina zawsze tylko z jaka. Są też manty po ujugursku.

Manty to kluski z cienkiego ciasta pełnione mielonym mięsem. To zawsze strzał w dziesiątkę, a manty po ujugursku to trafienie laserem, wszystko jedno czy w Pamirze, czy w Uzbekistanie, czy w Chinach...

– A farsz też z jaka?

– No pewnie.

– No to już.

Za oknem wibruje niezdecydowany jakby zaśpiew muezzina z meczetu koło mostka.

Isztok jest najwyższej klasy kierowcą off road. Poza tym wie, co lubi klientela.

– W Bułunkuł nie ma piwa – oznajmia.

Stoimy przy domu-kontenerze, to mikrosklepik na wyjeździe z Murgab. Zamknięte. Z okna przypatruje się nam siedmio-, może ośmioletnia dziewczynka z misternie zaplecionymi warkoczami. Wygląda jak czystej krwi perska księżniczka. Isztok zagada do niej. Nie mogę wam otworzyć, mówi mała, ale mogę sprzedać. Niesie z głębi pokoiku krzesło, zaciąga pod okno. Przynosi na pokaz plastikowe butle, mniejsza – litrowa za 20 somoni, półtora litra za 25. To mniej więcej pięćdziesiąt koron. Bierzemy dwa razy po większej. Dziewczynka podnosi przyciężki dla niej towar do parapetu, podrzuca butle jak ciężarowiec, pomaga sobie głową. Inkasuje banknoty, zapisuje transakcję do szkolnego zeszytu.

– Umnaja dziewczuszka – chwałę.

– Ja znaju – odpowiada. Pewnie, co tu gadać o rzeczach oczywistych. W zasadzie wszyscy jeszcze posługują się rosyjskim, nie tylko starsi, pamiętający czasy Sowietów. Prognoza, że znajomość ruskiego odejdzie z następną generacją, raczej się nie sprawdza. Niemniej angielski zaczyna równoważyć dominację tak zwanego drugiego języka. Przede wszystkim u ludzi zajmujących się handlem, jesteśmy w końcu na Jedwabnym Szlaku. A co będzie dalej? Dojdzie znajomość trzeciego? Jak by nie było, najbliższy ich sąsiad to Chiny, sunące do przodu jak walec.

Aliczur raz jeszcze, szybkim przejazdem. Za stanowiskiem tirów, za gipsową rzeźbą irbisa – śnieżnego lamparta, bucha z piekarnika ogień. Obok niego krząta się z kosztami lepioszki dziewczyna w czerwonej kamizelce i szarawarach. Podobna do diablidy w drgającym żarem powietrzu. Czasami pustynia przechodzi w intensywnie zielone rozlewiska, po łąkach podskakują rodziny susłów, wielkości spasio-nych kotów z puszystymi ogonami. Zaraz za murawą podłóże, jakby nożem uciął,

przechodzi w piaszczyste łąchy. W naszym kierunku idzie pasterz prowadzący jaki. Za nim potężne góry z czapami śniegu. Według oficjalnych statystyk 93 procent Tadżykistanu to góry, następnych kilka procent pustynia. Znikoma resztką to ziemia uprawna i miasta.

* * *

I tu kolejna wycieczka w czasie. Jedziemy z Kurgan Tepe, gdzie zadzierają dzioby gipsowe, kilkumetrowe pawie. Za hotelem Machtuna pomnik ciągnika, który obrał tu „celinę”, znaną z książki Breżniewa. Wjeżdżamy w terytorium gliny. Kurhany gryzione przez spycharki. Glinianki z resztkami wody deszczowej, labirynty pagórków porośnięte sadami pistacji. Wjeżdżamy w Bahoristan, przybywa osłów i kóz, stado przemyka przez grzbiety kurhanów, za nimi pasterz na rajdowym motocyklu. W Szahrituz dotarliśmy do południowej flanki naszej podróży. Jest jeszcze droga do granicy, w kierunku afgańskiego miasta Kunduz. Pytamy starca wyciekającego klientów koło straganu. Mówię, że chcemy podjechać tych kilkadziesiąt kilometrów do rzeki. Nie da rady. Tam nie ma wstępu. Zapieszczone. A gdyby jednak? Nie ma takiej możliwości. Jindra wyciąga dyskretnie plik somoni. Starzec chwilę psioczy na żizń takuju, ale nie certoli się długo, żeby banknoty nie wróciły do kieszeni oferenta. Wsiada na rower i zostawia nas sam na sam z piramidami owoców. Za dziesięć minut trąbi z drugiej strony drogi. Wsiadamy do leciwego moskwicza. Mimo upiornego upału stary nie zdejmuje grubej marynarki. Wjeżdżamy w spalone skwarem nieużytki. Bezpańskie psy zjadają suche gówna. Szlaban. W drzwiach budy dwójka chłopaków z kałaszami. Wygadani.

– Wy skąd? – pytam.

Jeden z Chorogu, drugi z Murgabu.

– No to my właśnie stamtąd wracamy. Bingo.

– W czym pomóc?

– O przepustkę do strefy granicznej chodzi.

– A to komandir nużien.

– To wołać.

– A to nie da się, bo komandir śpi.

Gadamy coś tam jeszcze, starzec pokazuje, że nie da rady, trzeba wracać. Ja daję znaki, że jednak chwila mała. I jeszcze gadka.

– No to może się napijemy, czy jak? – proponuje bardziej wygadany z wygadanych pograniczników. – Bo my coś tam mamy – i już kieruje się w głąb budy, kiedy wkracza do akcji spuchnięty grubas w dresie adidasa. Brzuch leje się spod podkoszulka.

– Wy czego? – ryknie. Oczy czerwone. Kac gigant.

– Spakojna, gaspadin, nam komandir nużien.

– No to czego? Komandir to ja.

– Propusk w zonu.

– Nieważmożno. Zapieszczone. W Duszanbe nado by.

– Do Duszanbe to tysiąc kilometrów jakby.

– No wiadomo, i co niby?

– A w Duszanbe to gdzie trzeba?

– Do ministra.

– Spraw wewnętrznych?

– Dokładnie, toczno.

– A wy komandir?

– Komandir.

– To razieszenie mógłbyś spisać, nie? Czy znaczy się jak?

Mógłby, ale tak generalnie to minister.

– No ale komadir to może a ty seriozno komandir ili niet, ili czusznia kakaja?

I tak wte i wewte. Grubas w adidasach czerwienieje jak burak, chłopcy z kałaszami dali nogę w głąb budy. Wreszcie pękł, dobra, próbujcie, ale w razie czego to ja o niczym nie wiem.

– Słowo? Oficerskie? – dogryzam jeszcze.

– Oficerskie, jasna, a teraz walcie się stąd.

– To co, zawieziesz nas? – pytam starca w powrotnej moskwiczem do miasta.

– Ja tam to nie pojadę. Tam nikt nie jeździ. To znaczy jeździ Hadzi, ale on interesy z granicznymi ma.

Nie pytam jakie, wiadomo.

Hadzi Dawłat to, okazuje się, legenda. Miejscowy boss, może wszystko. Potężny chłop z białą brodą, ogólnie cały w bieli, z mycką hadziego na ogolonej głowie. Głowa jak dynia. Jedziemy jego fordem mondeo długą na kilka kilometrów aleją topoli. Potem wjeżdżamy na inną planetę. Pokręcone fałdy gór. Żwiry. Susza. Cykady. Droga w górę, w dół. Dolina rzeki to rozległe rozlewisko. Rzeka prawie stoi w miejscu. Wysepki. Potem zbliżamy się do zasieków z drutu kolczastego. Podjeżdżamy pod wieżę strażniczą. Pograniczników jest dwóch. Wsiadamy. O nic nie pytają, to znaczy pytają o papierosy. – Można robić zdjęcia? – ryzykuję. Dawłat pyta w farsi. Można, ale tyłem do granicy. To miejsce jest szczególne. Dla niewtajemniczonego oka wygląda jak zarośnięte wykopki pod osiedle, którego budowy zaniechano. A tak naprawdę to resztki po wykopaliskach światowego formatu. Złote znalezisko. Nagle Jindra znika z pola widzenia.

– Gdzie twój kolega? – pyta hadzi Dawłat.

– No nie wiem. Wiem, że nie zwiął przez druty, nie?

Jindra gramoli się z wykopu. Z czoła leje się krew.

– Ścięło mnie, cholera, z tego upału.

Dawłat sięga do bagażnika. Wyciąga kanister z wodą. Obmywanie rany. Pogranicznicy machają z góry. Odjeżdżamy. Za nami słupy pyłu.

- I jak do tej Mekki? – pytam hadżiego.
- No, to przede wszystkim trzeba być muzułmaninem.
- A inaczej nie można?
- Nie. Znaczący się nigdy nie słyszałem. Ale no nie, na pewno nie można.
- A jak to sprawdzają, kojarzysz?
- No nie wiem.
- I co, wsiadasz w samolot, meldujesz się w hotelu, potem krążysz koło Kaaby?
- Od tego są jakby specjalne agencje turystyczne... latają tylko do Mekki.
- Tylko do Mekki, nigdzie poza tym?
- Tylko do Mekki, na okrągło.

Dowiózł nas do bazaru za hotelem. Sklepek monopolowy, z magazynu przywołuje mnie gość, który wygląda jak Omar Sharif. Potem okazuje się, że tak się nazywa, Umar. Siedzimy na skrzynkach z winem. W regałach wino, koniaki.

- A duży masz zbyt wśród muzułmanów?
- Nie narzekam. Ja toż muslim, znajesz.

Degustacja koniaków. Zajadamy plasterkami arbuza, do miski wysypuje fistaszki. Pyta o to czy tamto miasto w Europie.

- A może byśmy tak wspólnie jakiś joint venture, co?
- To nie moja działka, Umar.
- Nieważne, w razie czego daję ci numer na komórkę. Spróbuj Kagora, nasz lepszy niż mołdawski.

Próbujemy. Nie wiem, czy wino lepsze, nie gorsze w każdym razie. Wieczorem wychodzę w poziomej sinusoidzie. W reklamówce stukają butelki, „suwieniry” od Umara, który ze szczękiem zamyka żelazne wrota.

Droga skręca do wioski Bułunkuł. Pod nami w pustynnej niecce dwa jeziora solne. Jedna droga, jeden domek, w oddali jeden wędrujący słup kurzu, z dużym prawdopodobieństwem tir przemytników, który wraca z północy po afgańskie opium. Absolutna cisza.

We wszystkich przewodnikach typu Lonely Planet Bułunkuł nazywany jest najprawdziwszym końcem świata. Isztok zatrzymuje się koło pierwszego zabudowania na skraju wioski. Ogromny talerz anteny satelitarnej, stoimy koło stacji meteorologicznej. Kobieta w pełnym słońcu urządziła pranie w dwóch wielkich miednicach. Wisząca nad nią bielizna rzuca skrawek cienia. Obok miniboisko do koszykówki stojące na pustyni. Na dachach suszy się opał – korzenie pustynnych krzaków treste. Nieopodal obsychają cegły zwierzęcych odchodów. W barelu przyśloniętym wielką miednicą kwasi się toszp – mleczny zaczyn, z którego robi się

ser. – To mleko jaka? – pytam.

- Nie, krowie.

Wraz z trzema kobietami – jedna z nich przedtem robiła pranie – gospodarz pokazuje proces produkcji sera.

- Rób zdjęcia – mówi wiecznie śmiejąca się praczka, żona gospodarza, okazuje się. Dwie pozostałe to szwagrowki. Robię zdjęcia.

- To szklarnie? – pytam.

- Aha, pobraliśmy dotacje od rządu. Komuś na górze zależy, żebyśmy byli samowystarczalni.

- Rachmon?

Tu lekka podpucha, stają mi przed oczami wszechobecne banery z prezydentem w Duszanbe. – No, ja bym w to nie wnikał – rechocze i pyta – chcesz zajrzeć?

Gospodarz jest meteorologiem. Zaglądamy do tunelu z pleksi. Na kilku metrach kwadratowych ogromny urodzaj ogórków i pomidorów, podwieszonych na drutach. Raj na obrzeżach pustyni. Wchodzimy do środka. Zatyka od gorąca.

- Ile tu stopni?

- Pięćdziesiąt parę, może być sześćdziesiąt. Chodź – macha do mnie. Zza węgła łaźni buchają zwały dymu. Podchodzimy do murowanej wędzarni, podnosi wieko. W środku zwisają w kilku rzędach dzwonka ryb. Będzie ich kilkadziesiąt, wszystkie świeżo wyłowione z dwu pustynnych jezior za wioską. Tak, jest coś takiego.

- Intieresno? – pyta gospodarz.

- Wsjo intieresno.

Isztok chodzi koło toyoty. Ten blisko dwumetrowy Pers zaciąga się z rozmysłem cienkim damskim papierosem. Gospodarz przynosi talerze. Zjadamy ryby w czterech. Wędzone, pieczone, suszone. Meteorolog, Isztok, ja i... kot, który pałęta się koło wędzarni. Miauczy zrzedliwie, kiedy ociągamy się z podrzucaniem mu rybich szkieletów.

Wioska zbudowana na tę samą modłę co Karakul, ale zadbana, schludna, o wszystkim tu pomyślano. I wcale ludna. Słyszę głosy w miarę licznej młodzieży. Strażnik parku narodowego siedzi w jurcie za biurkiem, pod mapą Pamiru. Spiśuje dane z paszportu, przystawia pieczętkę na permicie wejścia na teren parku.



Toszp – zaczyn sera, Pamir



Na dachach w Bułunkuł suszą opał

Spoglądam na kolorowe zdjęcia zwierząt oblepione folią. Przejaskrawione, jakby robiono je z klisz kodaka z lat pięćdziesiątych.

– A tego można tu spotkać? – pokazuję na fotografię irbisa, pantery śnieżnej.

– Ano, jak się przyłożysz, to spotkasz.

Rzeczka meandruje pośród murawy, woda przeźroczysta, jakby wypływała z niebiańskiego źródła. Do laguny schodzą kozy pasące się na stepie powyżej. Najmłodsze osobniki nachylają się tak, że wpadają do wody. Pobekiwanie, prykanie wodą. Ten wodopój jest może dziesięć metrów przede mną. W kierunku niebotycznych skał ogromne głazy pod czerwonym nalotem. Warstwa zmineralizowanej rosy sypie się między palcami, wiatr unosi słony pył. Godziny człapania po bezdrożu, wśród skał, których uroda zapiera dech w piersiach. Jezioro Bułunkuł to błękit okolony zielonymi lagunami. Słyszę zawodzenie dziecka – nie, to kaczką, potem trójka ptaków leci tuż nad taflą wody. Słońce obniża się za górami, jeszcze dobrą godzinę idę w ciemniejszej szarówce w kierunku masztu przekaźnika na skraju wioski, która pojawia się i znika w porywach wiatru, ciągnącego pył z pustyni.

Na zewnątrz łaźni piecyk, pod którym przygotowano już opał. Ze ściany sterczy blaszana rura komina. W środku rozbieralnia – ławka i druciane uchwyty do wieszania odzieży. W bani obok dwustulitrowy kocioł z wodą. Z kotła wlewa się wrzątek do miednicy, z dzbana dolewa chłodną. Mydlenie, polewanie chochlą. W końcu podnosi się miednicę i wylewa wodę na głowę, to jakby stanie pod nagrzanym wodospadem. Kamienie w kącie syczą. Wszystko pełga w nikłej poświacie lampki. Na zewnątrz ciemność, przez lufcik widać gwiazdy, wiszą nisko, że prawie można ich dotknąć. Wychodzę z łaźni w ciepłą noc. Gospodarz idzie z naprzeciwka, słyszał moje zmaganie się z drzwiczkami. Potężnym kopem przybija je do drzwi, potem jednym ruchem otwiera. – Tak nado – mówi – po pamirski... Czuję się lekki, jak-

bym miał wznieść się w mrugające nocne niebo. Siedzę pod schodami na plastikowym fotelu. W świetle żarówki zabieram się do pisania notatek.

– Tu nie ma komarów?

– Na tej wysokości nie – rzuca gospodyni z kuchni, kroi jarzyny na jutrzejsze śniadanie, potem kładzie salaterki do lodówki. W odróżnieniu od męża łyknie czasem piwa.

– I to wszystko zasuwa na panele solarne?

– Latem tak.

– A w zimie?

– Ty wiesz, do ilu schodzi tu temperatura zimą? – pokazuje ręką koło siebie. – Zimowa lodówka to Pamir dokoła, wystawia się rzeczy na mróz.

– No dobra, ale światło, narzędzia elektryczne, telewizja?

– Są agregaty. A w sumie racja, nim pójdziesz spać, wyłącz cały dom – pokazuje przełącznik.

W ciemności przede mną majaczy toyota. Obok przywarował brytan, czasem podniesie leniwie jedną powiekę, jakby mnie sprawdzał...

– Te gwiazdy, nie? – mówi meteorolog. – Tu się urodziłem, a nie mogę się na nie napatrzeć. Podnosi rękę do góry.

– Można ich dotknąć i zjeść – pokazuje, zjada ciemne powietrze.

Ze środka wioski leci z głośnika orientalny pop. Głosy młodzieży. Gwiazdy, coraz większe, schodzą jeszcze niżej. Idę za głosami. W ciemności tańczą światła latarek. Na łące nad laguną bawi się młodzież. Aparatura, reproduktory, wszystko podłączone do agregatu, ale w ciemności nie widać nic poza miganiem świetlnych zawijasów, jakby ktoś rozkręcał żagwiące pochodnie. Stoję pod ogromną, wiszącą nisko Drogą Mleczną – ile? kwadrans? pół godziny? może więcej? Dołączyły do mnie dwie młode kobiety, że młode, tego nie widać po ciemku, odgaduję po głosach. Wymieniają uwagi półgłosem, dwa, może trzy metry ode mnie. Młode, ale nie na tyle, żeby dołączyć do tamtej paczki na łące. Patrzymy na wierzgające latarki. Opisują łuki w nagłych zwrotach jak zwariowane świetliki. Łąkowy nocny didżej rzuci czasem coś w farsi. Młodzież w pisk. Nagle coś ociera się o nogawkę. Kot. Wśród odgłosów dzieciarni czasami szczeka pies. Ze wsi za nami odpowie bekanie osła. Potem kobiety nikną w rozgwieżdżonej czerni. Jak opisać intensywność, natężenie tych minut, kiedy czas wyhamował do zera? Irański house zamilkł. Słysząc, jak demontują aparaturę. Latarki idą w moim kierunku. Bułunkuł. Wioska na końcu świata.

Toskańnia

Val d'Orcia

fot. Wojciech Raczkowski

We wrześniu 2023 r. czwórka fotografików, członków Zaołziańskiego Towarzystwa Fotograficznego, wyjechała na plener do włoskiej Toskanii. Nasza baza znajdowała się pomiędzy Arezzo a Cortoną, ale zapuszczaliśmy się także poza granice tej urokliwej prowincji. Oprócz wykonania cudownych ujęć gajów oliwnych, miejscowych winnic oraz zakamarków pobliskiego miasteczka Castiglione di Valpiana podczas bardzo intensywnego programu udało nam się zwiedzić nie tylko bogatą w zabytki Florencję, znane z wąskich uliczek Arezzo, średniowieczną Sienę, ale również słynące ze znakomitych lokalnych win Montepulciano. Tuż przed zachodem słońca dotarliśmy do doliny Val d'Orcia, w miejsce, gdzie kręcono niezapomniane sceny do filmu „Gladiator”. Odwiedziliśmy też Asyż, piękne miasteczko św. Franciszka.

MICHAŁ WALACH



Florencja – Katedra Santa Maria del Fiore,
zwana przez Włochów Il Duomo

fot. Wojciech Raczkowski



Panorama Asyżu
fot. Wojciech Raczkowski



Katedra św. Franciszka w Asyżu

fot. Wojciech Raczkowski

Antica Bottega Toscana

Antica Bottega Toscana

SALSICCE
FRESCHIE

PRODOTTI
TIPICI
TOSCANI

SALAMI
CINTA

TARBUFO
FREDDO

SALSICCE
DI
CINGHIALE

PECORINO
ALLA
VINACCIA

PANINI
IMBOTTITI
BIBITE

CANTUCCI
VINSANTO

ANTICA FARMACIA
DEI MONACI CAVALLARASI

SOPRASSATA
BURISTO

FUNGHI
PORCINI

VINO
BICCHIERE

Sklepik z lokalnymi potrawami w Arezzo

fot. Michał Walach



Cascata delle Marmore

for. Michał Walach

RAFAŁ GEREMEK

Stereotypy. Dlaczego tak bardzo ich potrzebujemy?

Moja przygoda ze Śląskiem Cieszyńskim zaczęła się późno, bo w wieku 34 lat. Jadąc wiślanką, wypatrywałem granicy między Austro-Węgrami a pruskim Śląskiem i w końcu w pamięć mi zapadł mały barokowy kościółek za Pawłowicami, który przywoływał czasy dawnego panowania Habsburgów. W Skoczowie chciałem się upewnić, czy aby na pewno jestem we właściwym miejscu i usłyszałem gromkie: „Tu jest cesarstwo!” od umorusanego od smarów, ale dumnego pracownika stacji, który nalewał mi benzynę.

Później, gdy już kupiliśmy z mamą wymarzone mieszkanie w Ustroniu, Franciszek Józef z dobrotliwego pierdoły, staroświeckiego staruszka stał się zjawą, która prześlada mnie do dziś. Stary Franz jest wszędzie jako remedium na wszelkie bolączki. W knajpach, wspomnieniach, książkach, karykaturach. Podobno starsze kumoszki mdlały, gdy w Cieszynie i Skoczowie rekonstruowano wjazd Najjaśniejszego Pana na rynek. Nie ma sensu mówić cieszyniakom, że za czasów Austro-Węgier Polacy i polskojęzyczni Ślązacy byli traktowani jak pospólstwo – oni wiedzą lepiej, że wtedy ich ziemia rodzinna przeżywała prawdziwy renesans. Mit Franciszka i Cesarstwa nie musi być prawdziwy i historyczne dysputy o nim nie mają sensu; on jest potrzebny dzisiaj, a właściwie po 1989 roku, kiedy nadszedł trudny czas neoliberalnej transformacji. Cieszyniakom austro-węgierskość jest potrzebna do tego, żeby Polakom z pozostałych dzielnic powiedzieć: my tu jesteśmy od lepszego pana, tego z Wiednia, gdzie Wam do nas, carscy chłopcy i robotnicy z pruskich kopalń.

Sam pochodzę z Górnego Śląska i nie sposób odmówić cieszyniakom i Zaolzia-
kom wielkich zasług – to z południowej części regionu pochodził Józef Kiedroń, minister przemysłu i budowniczey Gdyni, architekt Tadeusz Michejda i wielu innych wybitnych ludzi międzywojnia. Na Śląsku Cieszyńskim było więcej świadomych Polaków, bo można było prowadzić polskie szkoły. Po niemieckiej stronie takich luksusów nie było. Ale to bardziej zasługa Bismarcka, który spuścił łomot

Franciszce w 1864 roku pod Sadową niż samego Franza, który pod wpływem owej klęski musiał zgodzić się na dualizm Cesarstwa oraz autonomię mniejszości narodowych, także tej polskiej.

Kult starego dobrego Franza jest więc mitem obronnym, choć cieszyniaków nikt nie atakuje. Inaczej jest z Górnym Śląskiem, który zawsze kojarzył się z krajobrazem kominów hut, szybami kopalnianymi i rzędami ceglanych familków. I prostych ludzi, którzy nie wstydzą się mówić swoją gwara, czym wprowadzali w zakłopotanie inteligentów wywodzących się ze wsi, przekonanych, że literacka polszczyzna daje im glejt wielkowiejskości. Śląsk zczarował Kazimierz Kutz, autor bardzo średnich, wręcz socrealistycznych filmów i jednocześnie znakomitych teatrów telewizji. A najlepsze w jego twórczości były wywiady. Jak Kutz opowiadał o czymś pogrzebie, to wszyscy czytelnicy żalowali, że na tym pogrzebie nie byli. Kutz – zdaniem Michała Smolorza, również nieżyjącego wybitnego śląskiego felietonisty – „wykrochmalił Ślązaków”. Z tłumu ludzi należących do pilnych, ale zwykłych robotników, zrobił nowoczesny proletariatus, którego nie było w zaborze rosyjskim. Poczciwość, nawet naiwność i ufność Ślązaków podniósł do rangi cnoty nie znanej po drugiej stronie Brynicy; wszak w tamtej przestrzeni takie zachowanie to zwykłe frajerstwo. Podczas premiery sztuki „Cholonek” (gdzie pokazano Ślązaków jako lumpenproletariatus) odświętnie ubrani przedstawiciele regionalnych elit nie kryli oburzenia. Nie tak o naszej przeszłości mówili nasi twórcy z Kutzem na czele.

Stereotypy pełnią więc funkcję obronną. Kutz nie fałszował historii, tylko ją zabarwiał. Mówił o czymś ważnym i niestety unikalnym w świadomości polskiej: o bohaterstwie dnia codziennego, o tym, jak ważna jest praca. Mnie osobiście najbardziej poraziła jego opowieść o wujkach, którzy poszli „na szychtę” do huty w dzień wkroczenia Armii Czerwonej do Katowic w styczniu 1945 roku. To był dzień końca świata, powinni być w domu, bo tam były dzieci i kobiety, które należało chronić. Ale huta nie mogła stanąć i oni rozumieli, że muszą iść do pracy.

Stereotypy i mity pełnią rolę obronną dla małych społeczności. Wielkie narody to wiadomo – mają wielkich wojowników, rycerzy, królów. Małe narody ich często nie mają, dlatego bohaterstwo zwykłych ludzi wynoszą ponad wszystko. Małe narody tworzą swoją mitologię ludzi prostych, zaradnych, bohaterów dnia codziennego, którzy są świetnymi fachowcami. Wprawdzie Litwa w XIII i XIV wieku podbiła większość księstw ruskich i była kilka razy większa od ówczesnej Polski, a jednak w XIX wieku Litwini musieli walczyć o swój język, a później długo o osobne państwo. Nigdy nie zapomnę, jak na uroczystości 10-lecia niepodległej Litwy matka żołnierza poległego w walkach o wieżę telewizyjną opowiadała o swoim synu, który służąc w marynarce jako jedyny potrafił wypiekać chleb. Typowo sowiecka historia: statek wypłynął w rejs i wtedy dopiero okazało się, że na pokła-

dzie nie ma piekarza. Dowódca zwrócił się do syna owej kobiety: „Ty jesteś Litwin, to na pewno dasz radę”. I żołnierz z Litwy upiekł chleb.

Jako Polacy – z 38 milionami mieszkańców – małym narodem nie jesteśmy, ale odczuwaliśmy swoją małość i słabość, gdy wielki rosyjski niedźwiedź mógł z nami robić, co chciał. Dlatego skonstruowaliśmy mit wielkiego ruskiego prymitywa i kompletnie ignorowaliśmy realne osiągnięcia cywilizacyjne, jakie były dziełem Rosjan. Zawsze ich mieliśmy za szmaciarzy, wystarczy przypomnieć dowcipy o Ruskich. Kiedy w kosmos wysłano Gagarina, królował dowcip: „Słyszałeś Pan, że Ruskie poleciały w kosmos?” – pyta jeden drugiego. „Wszystkie?” – upewnia się indagowany. „Nie, tylko jeden” – odpowiada pierwszy. „To daj mi Pan spokój!” – pada odpowiedź.

Po wizycie Breźniewa w Polsce krążyła taka anegdota: „Lonia Breźniew spotyka Iwaszkiewicza w PKiN. Po chwili kurtuazyjnej rozmowy gensek pyta: „Gdzie mogę się wysikać?” „Pan? Wszędzie!” – miał odpowiedzieć znany pisarz. Iwaszkiewicz nie pozwoliłby sobie na taki afront, bo zbyt kochał swoje luksusowe życie w PRL, ale vox populi czuł kulturową wyższość nad wschodnią barbarią i ktoś tę historię musiał wymyślić.

Rozmawiałem kiedyś z dyplomatami, którzy pracowali w Rosji i krajach dawnego ZSRR – nawet ci deklarujący się jako miłośnicy kultury rosyjskiej przyznawali, że nasza zdrowa pogarda do wszystkiego, co ruskie, pomogła nam przetrwać zabory. Wielu wspaniałych Polaków roztopiło się w moskiewsko-azjatyckim tyglu. Dość wspomnieć o wybitnym symfoniku Dymitrze Szostakowiczu, wnuku powstańca styczniowego, kompozytorze, pianiście i dyrygencie Igorze Strawieńskim czy Igorze Sikorskim, genialnym konstruktorze lotniczym – ci dwaj ostatni pochodzili z kresowej szlachty polskiej. Ale en masse przetrwalimy, bo wiedzieliśmy, że Rosjanin to niewolnik i ani balet, ani wielka literatura nie robiły na nas dużego wrażenia. Smutny los literatów-łagierników takich jak Dostojewski czy Sołżenicyn był tylko tego przykładem. Naszą moralną wyższość dobrze obrazuje anegdota słynnego Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego, adiutanta Piłsudskiego, opowiadająca jak podczas I wojny światowej żołnierze Legionów walczący po stronie państw centralnych zawarli rozejm na czas świąt Bożego Narodzenia z żołnierzami rosyjskimi. Jedni i drudzy wyszli z okopów i wspólnie zaczęli świętować.

„O co walczyacie?” – zapytał Wieniawa. – „Bo my o wolność”. „A my o honor” – padła odpowiedź ze strony Rosjan. „Aha” – podsumował Wieniawa. – „Każdy walczy o to, czego nie ma”.

Stereotypy nie biorą się znikąd. One bazują na jakimś elemencie rzeczywistości. Mieszkając w Ameryce, w Pittsburghu spotkałem pewną rudowłosą dziewczynę.

Spytała mnie: „Jesteś Niemcem?” Odpowiedziałem: „Nie. Jestem Polakiem. Jako wysoki blondyn nie muszę być Niemcem. Ty jesteś niewysoka i masz rude włosy. I co, mam pomyśleć, że masz pochodzenie irlandzkie?” – spytałem. A ona na to: „No pewnie, bo jestem Irlandką”.

Stereotypy są nam potrzebne, żeby uporządkować sobie świat i żyć wygodnie. Może rzeczywiście nie żyje się nam najlepiej, ale ci zza miedzy żyją dużo gorzej. Albo po prostu nie dorastają nam do pięt. Dlatego przebudzenie, weryfikacja stereotypów z rzeczywistością jest zawsze bolesna. Górnoślązacy mają się za bardziej cywilizowanych od Zagłębiaków i w ogóle od sąsiadów od strony wschodniej, także z Galicji. Może Sosnowiec jest mniej ciekawy od Katowic, ale małopolskie Jaworzno bije na głowę podupadłe Mysłowice. Jaworzno ma lichy pożydowski rynek, ale miasto jest pięknie odnowione, z parkiem dla deskorolkowców, nowatorskim systemem ruchu drogowego, za pomocą którego zredukowano liczbę wypadków. Jaworzno ściąga bajeczne inwestycje przemysłowe. W Mysłowicach można kręcić filmy o czasach stanu wojennego, bo wizualnie tam się niewiele zmieniło. Pobliskie wsie galicyjskie ze swoimi pięknymi ogrodami olśniewają śląskich sąsiadów. Mity umierają na naszych oczach, choć bardzo powoli.

Białorusini w Polsce byli postrzegani jako biedacy z kołchozów, którzy sprzedawali na stadionie wódkę i słoninę. Przeoczyliśmy, że oni, pomimo destrukcyjnego reżimu Łukaszenki, zbudowali swoją Dolinę Krzemową i są piątym narodem na świecie w kategorii liczby informatyków na głowę mieszkańca. Dziś w Warszawie trudno wynająć mieszkanie, bo cenę podbija „ajtjuszka z Mińska”. Gdyby nie istniał negatywny stereotyp Białorusina, nie poczulibyśmy, jak bardzo grzeszylibyśmy pychą.

Stereotypy są krzywdzące, ale przy odrobinie sprytu można je odkręcić o 180 stopni. Sam byłem autorem spotu wizerunkowego Polski, który „żerował” na stereotypach. Pokazaliśmy polskich projektantów przemysłowych pracujących w Niemczech, opatrując to hasłem: „Niemcy uważają, że Polacy mają słabość do niemieckich samochodów. To prawda, mamy świetnych designerów”. Inny slogan brzmiał: „W Wielkiej Brytanii Polacy uważani są za świetnych fachowców. To prawda”. I pokazywaliśmy przeszczepy twarzy i krtani oraz polskich wynalazców, choć widz mógł się spodziewać hydraulików czy budowlanców. Kiedy padło hasło o tym, że Polacy lubią się bawić, pokazaliśmy jedne z najlepszych gier komputerowych, jakie tworzą nasi rodacy. I tak dalej. Spot stał się wiralem, ale znaleźli się oburzeni mówiący, że taki przekaz jedynie wzmacnia negatywne stereotypy i je przypomina. Czyli że Niemcy już prawie zapomnieli, że polscy złodzieje kradną samochody, a my o tym przypominamy. Wolnego, stereotypy tak łatwo nie umierają, trzeba odwracać ich znaczenie, póki jest taka możliwość.

W 2022 roku polscy dyplomaci i berlińska Polonia protestowali przeciwko kampanii reklamowej agencji pracy zatrudniającej opiekunki dla osób starszych. Na billboardach widniało zdjęcie starszej pani z napisem: „Nowa Polka mojej babci” („Oma’s neue Polin”). Szefowie agencji odpowiedzieli wówczas arogancko, że Polki jako opiekunki to niemiecka rzeczywistość. Tyle tylko, że nie można utożsamiać narodowości z jakimś zajęciem zarobkowym. Skoro niemieccy headhunterzy są tacy pewni siebie, to niech zrobią kampanię promującą finansistów czy informatyków z Izraela pod hasłem „Twój nowy Żyd” („Dein neuer Jude”). Zobaczmy, co im media zrobią z tylną częścią ciała.

Przykre incydenty wynikające ze stereotypów trzeba wykorzystywać na swoją korzyść. Podczas awantury z Izraelem trzeba było wyjść z kampanią opowiadającą o polskich Sprawiedliwych. Kiedy niemieckie media opowiadają o rzekomej homofobii w Polsce, trzeba im przypominać, że zdepenalizowali homoseksualizm dopiero w 1994 roku, a Polska zrobiła to już w latach 30. XX wieku. Kiedy zarzucano nam, że Polacy są zbyt niedojrzali, żeby wprowadzić identyczny system kontroli sądownictwa, jaki funkcjonuje w Niemczech, to powinna była ruszyć kampania opowiadająca o naszych dokonaniach ustrojowych na przestrzeni dziejów. Bo prawda jest taka, że myśmy wprowadzali ustrój republikański, kiedy na Zachodzie panował absolutyzm, byliśmy pionierami we wprowadzaniu wolnościowych praw. I tak dalej. Można pozytywnie zmienić swój wizerunek, odbijając się od negatywnych stereotypów.

Wróćmy do Cieszyna, bo tu, na pograniczu, jak w soczewce skupiają się wszystkie stereotypy i dokładnie widać, jak ten obraz się zmienia. Polaków oskarżano w Czechach o to, że nasze produkty są podłej jakości, łącznie z żywnością, a teraz Czesi daliby się pokrajać za polską kiełbasę i oblegają polskie sklepy. Odkryli, że jest taniej i smaczniej.

W czeskich mediach ciągle słyhać zawroźdzenie o autostradach, które remontuje się niezwykle wolno. „Dlaczego nie robimy takich autostrad jak Polacy?” – słyhać często nad Wełtawą. Stereotyp Polaka to już coraz częściej nie drobny handlarz, ale brutalny biznesmen, taki jak ów przedsiębiorca z serialu „Pustina”, który chce przekupić mieszkańców wioski, aby ci wyprowadzili się z domów i zwolnili przestrzeń dla rozrastającej się kopalni. Kiedy rząd Morawieckiego ogłosił rekordowe zakupy wyrzutni HIMARS, redakcja portalu należącego do partii ANO byłego premiera Andreja Babiša wpadła w popłoch. „A co, jeśli skierują te HIMARS-y na nas?” – mniej więcej taka była wymowa jednego z tekstów. Mój znajomy, który znalazł ten tekst w sieci, spytał mnie po lekturze: „Wiem, że to stereotypowe postrzeganie Czechów, ale... oni znowu zaczęli się bać”. Od stereotypów nie uciekniemy, nauczmy się ich używać.

JAN ŠKVRŇÁK

Wizerunek Polski w czeskich mediach Od negatywnych do pozytywnych stereotypów

Słabość personelu

Słabość kadrowa tradycyjnych mediów nie pomaga w obiektywnym spojrzeniu na Polskę. Tylko *Telewizja Czeska* i *Czeskie Radio* mają stałego korespondenta w Polsce, żadne z pozostałych mediów nie posiada dziennikarza zajmującego się wyłącznie Polską, w najlepszym razie działa redaktor zajmujący się Europą Środkową lub zagranicą. Dla reszty mediów powszechną praktyką jest zdobywanie wiadomości o Polsce z *Czeskiej Agencji Prasowej* lub nawet z mediów zagranicznych, najczęściej *Reutersa*, *BBC*, *AP*. Jeśli jakkolwiek dziennikarz powołuje się na polskie media, to przeważnie jest to *Gazeta Wyborcza*, znacznie rzadziej *Rzeczpospolita* czy *TVN*; czeskie media prawicowe czerpią również z *TVP*, *Gazety Polskiej* czy portalu *Wszystko Co Najważniejsze*.

Skutki czerpania wiadomości o Polsce z zagranicznych źródeł pokazuje niedawne niezrozumienie słów premiera Morawieckiego o tym, że Polska nie dostarcza obecnie broni na Ukrainę. Media w świecie anglojęzycznym, a pod ich wpływem niektóre w Czechach, zinterpretowały to jako polityczną deklarację Polski o zaprzestaniu dostaw na Ukrainę, myśląc czas terażniejszy z przyszłym.

Wiarygodność przekazu informacji o naszym północnym sąsiedzie zostaje osłabiona poprzez brak odpowiedniego zaplecza profesjonalnego, które umożliwiłoby rzeczowy i bezstronny sposób komentowania polskich wydarzeń i wyjaśniania zjawisk zachodzących w polskim społeczeństwie. Komentarze korespondentów na temat polskich spraw są często zastępowane przez spostrzeżenia byłych dysydentów (z kręgu Solidarności Polsko-Czechosłowackiej), byłych dyplomatów lub Czechów mieszkających w Polsce.

Nie należy oczekiwać zasadniczej poprawy w tym zakresie, ponieważ większość tradycyjnych mediów nie jest zbyt dochodowa. W ostatnich latach redakcje regionalne zostały rozwiązane. Dopóki nie zostanie znaleziony inny sposób finansowania mediów, nie można oczekiwać prężniejszego działania redakcji zagranicznych.

Interesy własne i obce

Babiš u Jílkové o polských potravinách: Já nejím ty vaše sračky!



Obserwujemy słabość tradycyjnych mediów, które walczą o swoją pozycję z różnymi platformami internetowymi. Widzimy więc tabloidyzację dużych domów medialnych, nagłówki typu clickbait, pogoń za sensacją i przewagę negatywnych wiadomości. Wśród odbiorców w znacznym stopniu wygrywają one nad obiektywnymi, dogłębnymi, ale zarazem nudnymi analizami rozwoju wydarzeń w sąsiednim kraju. Paradoksalnie ta-

bloidy typu *Blesk* czy *Aha* nie poświęcają

Polsce zbyt wiele uwagi. W negatywnym i emocjonal-

nym nastawieniu do Polski z powodzeniem zastępuje je *Právo* oraz

jego internetowa wersja *novinky.cz*, które koncentrują się na bardziej tabloidowym relacjonowaniu nawet poważnych tematów politycznych lub na tematach drugorzędnych, ciekawostkach, które utrwalają w czytelnikach stereotypy.

To właśnie nierentowność tradycyjnych mediów doprowadziła w ostatnich latach do ich oligarchizacji, tj. sytuacji, w której miliarder kupuje media nie dla natychmiastowego bezpośredniego zysku, ale w celu długofalowego promowania własnych interesów politycznych lub finansowych. W przypadku wizerunku medialnego Polski kluczowym wydarzeniem było przejście wydawnictwa *Mafra* przez agrobaronu Andreja Babiša. Do niedawna oligarcha z ambicjami politycznymi wykorzystywał również swoją gazetę i radio do promowania własnego biznesu. W tym przypadku zależało mu na utrzymaniu dominującej pozycji na czeskim rynku spożywczym, dlatego jego media często poruszały kwestię jakości polskiej żywności importowanej do Czech. Zaskakuje fakt, że *MF Dnes* i *Lidové noviny* nie były osamotnione w przesadnych doniesieniach na temat polskiej żywności. Według badania z 2019 r. polska żywność była najczęstszym tematem nie tylko dla *Mafrы*, ale także dla *Televizji Czeskiej*, *Czeskiego Radia* i *TV Nova*, ze znaczącą przewagą nad wydarzeniami politycznymi.

Inne media mają swój własny program polityczny, od którego zależy stronniczość ich relacji dotyczących Polski. Media lewicowe, takie jak historycznie bardziej lewicowe *Právo*, *Deník Referendum* czy *Alarm*, które współpracują z portalem

Krytyki Politycznej, są bardziej krytyczne wobec wydarzeń w Polsce. Podobne stanowisko zajmują również liberalne media głównego nurtu, takie jak *Deník N* czy *Seznam zprávy*, które krytykują głównie zmiany w polskim sądownictwie i mediach.

Rząd Morawieckiego był przychylnie postrzegany przez konserwatywne tytuły (*Reflex*, *Echo24*), a w przypadku konfliktu między Polską a Unią Europejską przez prorosyjskie media i strony dezinformacyjne (*Parlamentní listy*, *Sputnik*). Rząd ten miał wpływ na prezentację i wyjaśnianie swego sta-

nowiska za pośrednictwem czeskich mediów konserwatywnych. Wywiady, np. z członkami gabinetu, pojawiają się w tych mediach z większą częstotliwością, ale najczęściej chodzi o tematy ogólne i niekonfrontacyjne. Natomiast media opisujące sytuację bardziej krytycznie właściwie nie mają szans na kontakt z politykami rządu.

Polskie tematy w czeskich mediach, poza ciekawostkami kulturalnymi i niektórymi absurdalnymi sytuacjami, to na przykład reforma sądownictwa promowana przez polski rząd, wycinka drzew w Puszczy Białowieskiej i spory z Unią Europejską. Krytycznie wobec polskich reform wyrażały się szczególnie media liberalne i lewicowe (*Deník N*, *Právo*, *Alarm*, *Deník Referendum*). Inne media (*Echo24*, *Reflex*), ze względu na złożoność zjawisk i tematów, miały tendencję do omawiania tej kwestii jedynie w sposób ogólnikowy, powierzchownie i według raportów *Czeskiej Agencji Prasowej*, zamiast przyjmować narrację polskiego rządu. Ta problematyka (wraz z wydarzeniami na Węgrzech) wzmacnia głosy na rzecz rozwiązania Grupy Wyszehradzkiej (V4).

Interesujący jest przypadek czesko-polskiego sporu o kopalnię węgla brunatnego Turów. Czeskie media relacjonowały go w niewielkim stopniu przez cały czas, polskie dopiero po czeskim pozwie do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, a od tego momentu znacznie częściej niż czeskie. Podczas gdy czeskie tytuły prasowe podkreślały wpływ na środowisko, polskie kładły nacisk na bezpieczeństwo energetyczne kraju i zatrudnienie w regionie.



Stare i nowe stereotypy

„Antyreżimowe strajki prowadzą do ubóstwa, a Kościół hamuje rozwój.” Mniej więcej tego mogli się dowiedzieć czechosłowaccy czytelnicy z prasy komunistycznej lat 80. Była to narracja, która miała pomóc rodzimym władzom w walce z ewentualną opozycją. O tym, że Polska jest krajem tradycyjnie katolickim nie trzeba było nikogo przekonywać, do dziś tak myślimy o naszych północnych sąsiadach. Reżim Husáka wykorzystywał i wzmacniał stereotyp „leniwych Polaków, którzy wolą strajkować niż pracować”, aby uniemożliwić powstanie ugrupowań opozycyjnych na wzór polskiej Solidarności.

Oba stereotypy wciąż do pewnego stopnia funkcjonują, zwłaszcza wśród starszych pokoleń. Dzieje się tak pomimo faktu, że Polska w miarę upływu lat w dużym stopniu się od nich oddala. W ciągu ostatnich trzydziestu lat Polska doświadczyła większego wzrostu gospodarczego niż Republika Czeska, a zwłaszcza w ostatnich latach Kościół Katolicki w tym kraju odnotował znaczny spadek liczby wiernych. Niemniej jednak polski katolicyzm, wraz z konserwatyzmem i patriotyczną dumą, a nawet nacjonalizmem, jest znakiem rozpoznawczym Polski w czeskim społeczeństwie, a tym samym w przestrzeni medialnej. Właśnie przez ten pryzmat opisuje się nawet takie wydarzenia w Polsce, które mogą nie mieć nic wspólnego z katolicyzmem lub nacjonalizmem.

Zainteresowanie Czechów Polską bardzo wzrosło w ubiegłych latach praktycznie we wszystkich dziedzinach życia. Rosnąca ciekawość będzie musiała zostać zauważona przez media, co, miejmy nadzieję, może mieć dodatni wpływ na poziom prezentacji i bardziej pozytywny wizerunek Polski w środkach masowego przekazu.

Wymiana handlowa między Czechami a Polską rośnie. Polska jest trzecim co do wielkości partnerem handlowym Czech w dłuższej perspektywie (w 2017 r. była druga po Niemczech i przed Słowacją), a Czechy są drugim co do wielkości partnerem handlowym Polski. Oba kraje inwestują również u siebie nawzajem: właścicielem czeskiego Unipetrolu jest PKN Orlen S.A., mBank działa również na rynku czeskim, a Allegro niedawno weszło na czeski rynek. Z drugiej strony Kofola była aktywna na polskim rynku, *Radio Zet* było własnością Daniela Křetínského, a Andrej Babiš również posiada swoje aktywa w Polsce.



W ostatnich latach Czesi odkrywają Polskę „dla siebie”

również w życiu prywatnym - jako turyści nad Bałtykiem i w innych miejscach, jako nabywcy tańszej i lepszej jakościowo polskiej żywności lub tańszego paliwa w regionie przygranicznym. Chwałą rosnącą sieć polskich autostrad, jakość usług i tradycyjną polską kuchnię. Aby promować turystykę, Polska Organizacja Turystyczna otworzyła oddział w Pradze, *Telewizja Czeska* i prywatne media, zwłaszcza *Echo24*, nakręciły serię filmów podróżniczych.

Obserwujemy również zbliżenie Polski do czeskiego odbiorcy na płaszczyźnie kultury. W zakresie kinematografii możemy wspomnieć o Kinie na Granicy w obu Cieszynach i praskim

3Kino; szereg wydarzeń organizowany jest przez Instytut Polski w Pradze lub Bibliotekę Mahena w Brnie, a w Broumovie rozwija się czesko-polskie centrum kultury. W 2023 r. przypadło również 100-lecie praskiej polonistyki.

Dawne stereotypy przemijają, a Polska w niektórych dziedzinach zaczyna być wzorem dla Czech - na przykład w szybkości budowy autostrad oraz taryfach za przesył danych i cenach abonamentu telefonii komórkowej. „Chcesz tańszych danych, jedź do Polski” - powiedział kiedyś wiceminister przemysłu i handlu. Od tego czasu nic się nie zmieniło.

Tak więc nie tylko w obrazie medialnym pojawiają się nowe stereotypy, które kontrastują z reformatorską nieudolnością obecnego i poprzednich czeskich rządów. Polska jawi się jako kraj, który potrafi budować autostrady, lotniska i elektrownie atomowe. Państwo polskie odniosło sukces w cyfryzacji, Polacy mają tanią transmisję danych. Rynek żywności również dobrze funkcjonuje, a supermarkety zamiast drogich, przemysłowo przetworzonych produktów niskiej jakości, oferują lepsze jakościowo wyroby lokalne.

Nowy medialny wizerunek Polski jest zgodny z prawdą, ale może być też przesadnie bezkrytyczny. Entuzjazm wywołany przez budowę dużego lotniska w centrum Polski czy elektrowni atomowej może być przedwczesny. Czeskie media chwałą i pokazują jako wzór do naśladowania coś, co jeszcze nie zostało zrealizowane. Pomagają w ten sposób budować nowe, tym razem pozytywne, ale jednak stereotypy.



IRENA BOGOCZ

Gwara i internet – dobrana para?

Pomimo pogłosek, że zanikanie dialektów zaczęło się już pod koniec feudalizmu, gwarowe odmiany języka etnicznego są nadal żywe. Dlaczego ludzie w czasach zaawansowanej integracji językowej posługują się dialektami? Dlaczego stosują je nie tylko w „domowych warunkach”, ale także publicznie, nawet w cyberprzestrzeni?

Przyczyn jest kilka. Najbardziej przekonująca wydaje się wielofunkcyjność gwary, jej zdolność przystosowania się do aktualnej intencji mówiącego (piszącego), wrażenie, jakie robi na odbiorcy. Co prawda zdarza się, że gwara służy tylko jako ozdobnik imprez regionalnych, podobnie jak eventowo uprawiany folklor. Trudno. Co dawniej było codziennością, dziś staje się projektem, przedsięwzięciem, grantem. Dialekt pomaga reanimować tradycyjny, zanikający świat, aktywuje jego walory. Dialekt promuje region, bliskie sercu strony rodzinne, umacnia więź ze wspólnotą, ze „swoimi”. Dialekt potrafi – lepiej niż język ogólny – uwiarygodnić przekaz językowy, wzruszyć, rozweselić, rozbawić, sprowokować...

Zaolzie jest dobrym przykładem regionu o silnej tożsamości językowej i kulturowej. Odchodzenie od gwary nie jest tak powszechne, jak mogłoby się wydawać. Nawet ci, którzy generalnie używają języka czeskiego, dostrzegają formalną specyfikę tutejszej mowy, odczuwają solidarność z jej użytkownikami, choć czasem rozmiągają się z nimi ideowo. Bez względu na narodowość w bardziej lub mniej udany sposób wracają do „mowy dziadów”.

Użytkownicy gwary są równocześnie internautami. Są osobami ciekawymi świata, pomysłowymi, przedsiębiorczymi. Dowodem na to są liczne blogi, vlogi, podcasty, nagrania muzyczne i inne formy obecności w mediach społecznościowych. Internauci chętnie korzystają z regionalnej nieliterackiej odmiany języka, nazywając ją gwarą (dialektem) lub mową *po naszymu*. Nie przejmując się normą używanego kodu, delektują się zręcznie przebiegającą konwersacją, stosując różne

znaki literowe i nieliterowe, lekceważą zasady pisowni i bawią się wszystkim tym, co tzw. netlog, czyli dialog w sieci, ma do zaoferowania. Przekraczają granicę między sferą prywatną a upublicznią, ciesząc się, że nie muszą pokonywać żadnych odległości ani innych przeszkód fizycznych, żeby „pogwarzyć” z ziomkami. A okazji do takiego gwarzenia jest niemało!

Zgadnij, co to znaczy!

Quizy, elektroniczne kwestionariusze gwarowe są z reguły mało obszerne i pełne błędów merytorycznych. Jak można się przekonać, jeden taki quiz testujący znajomość gwary cieszyńskiej zawiera 10 przypadkowo postawionych i niezbyt wyszukanych pytań. Uczestnik quizu może wybrać spośród trzech odpowiedzi jedną, poprawną. Przy czym polecenia obejmują mylące sugestie, skierowane przede wszystkim do użytkowników języka czeskiego z głębi kraju, wynikające z przypadkowych skojarzeń słuchowych. „Pisownia” testowanych gwaryzmów jest nieprzemyślana i nieujednolicona – ni to czeska, ni to polska, ni to niemiecka, por.: *luft, vyrba, krova, werk, kaczok, kjołzdać (kielzać?), wargi, padze śniyg, mŭm će rod, vidzym te starŭm babe*.

Nieskrępowana, bezkrytyczna amatorszczyzna towarzyszy vlogowi Michała Šopora. Żartobliwy wywiad rozpoczyna się nieprzypadkowo od zwrotu „Čau, lidi!”. Nieformalna rozmowa polega na tym, że prowadzący kanał na YouTube, prawdopodobnie Czech pochodzący z Zaolzia, zadaje pytania osobie z innego regionu państwa czeskiego o znaczenie niby-gwarowych słówek, dokładniej: wyrazów pochodzących – zdaniem inicjatora ankiety – z gwary cieszyńskiej. Nieznający tej mowy ankietowany podaje niepoprawne odpowiedzi, co rozśmiesza obu uczestników nagrania. Groteskowość quizu polega na tym, że autor filmu sam gwarę zna słabo. Kłopot sprawia mu wymowa niektórych głosek, z trudem odczytuje zanotowane wyrazy, zniekształca je, często podaje ich niewłaściwe znaczenie. Wymawia na przykład *šterkat* zamiast *ščyrkać* (rzekomo „něčim třepat”), *špigl* zamiast *špigel/špigel*, *kura* (podobno „kuře”), *řigat* (*řigać*), *ancug* (domniemane „sako”), *patičit sje* (*patyčyc se*), *kysnja* (*kišňa*), *gemba* (*gymba*, ponoć „hlava”) itd. Taki poziom znajomości gwary zostałby wyśmiany przez autentycznych jej użytkowników.

Po naszymu, czyli dosadnie!

Kto śledzi Instagram po_nasimu, zna powtarzającą się strukturę postów: *Po našimu neřikáme: (...)* *Po našimu muvimy: (...)* *A to je prostě nádhera!* Niektórzy odbiorcy reagują na nie lajkami, inni dodają własny przykład lub komentarz. Teksty mają być dowcipne, a wielokrotnie są tylko nieprzyzwoite. Także tu nie brak błędów i niedorzeczności. Wypowiedzi są wyrazem indywidualnej (okazjonalnej) twórczo-

ści autora, zabawą w słowa, albo przynoszą pewną mądrość ludową, porównują beztroskie życie poza regionem z mnóstwem obowiązków i trudną pracą ludzi na Zaolziu („v Goraliji”) itd. Na przykład:

Po našimu neříkáme: „To je ale škoda.“ Po našimu muvimy: „Škoda je co voda zebjere a baba zežere.“ A to je prostě nádhera!

Po našimu neříkáme: „Přestaň se do mě navážet.“ Po našimu muvimy: „Ešče suovo a kulumy še.“ A to je prostě nádhera! Podpowiedź innego internauty: „Bjerče mě zpod něgo, bo go zabijym.“

Po našimu neříkáme: „Tak co? Užíváš si léto?“ Po našimu muvimy: „Už moš vykopane žymjoki a skludzune šano?“ A to je prostě nádhera!

Prosty, dosadny język „po nasimu” koresponduje ze swojskością jego użytkowników, z ich dystansem wobec „obcych” – małostkowych, rozgrymaszonych, zmanierowanych.

Kukułeczka na buku a gorol na Facebooku

Grupa internautów na facebookowym profilu „Po naszymu ;-)” jest pokaźna i zaangażowana. W odróżnieniu od poprzednich – o wiele bardziej zorientowana w problematyce. Zrzesza „goroli” (i „gorolki”) oraz ich sympatyków, i to z Polski (z Trójwsi), Czech (z Jabłonkowskiego), Słowacji (Czadeckie). Obszerne dyskusje powstają w gwarze (jabłonkowskiej), po polsku lub po czesku. Ich celem jest przede wszystkim informowanie o wydarzeniach na Śląsku Cieszyńskim (szczególnie w jego górzystej części), o jego historii, miejscach godnych uwagi, tradycjach, języku, kulturze. Wypowiedzi często rozpoczynają się od słów: *pamiyncecie jak...?, zna ktoś tekst piosenki...?, wiyecie kaj to je?, jako sie nazywo/nazywajóm...?, jakós nazywocie po naszymu...?* Np.:

Dzierżycie eszcze kany obchody św. Jóna? Albo to už yny u nas na Słowiakach (Czarne, Skalite, ...) – a ani tu už „mládenci” budy po wyrchach nie stawiajóm i ognie nie polóm. No ale aspón při každej chałupie buda, ogiyń i do rana... Na svätého Jána, horela hójana! A po svätom Jáne, už je po hójane (post ze Słowacji)

Poszczególne wypowiedzi są od strony formalnej (językowej) na niejednakowym poziomie. Łatwo rozpoznać teksty *po naszymu* z czeska i *po naszymu* z polska. Te ostatnie są niejednokrotnie napisane w polszczyźnie ogólnej, tylko stylizowane na gwarowe. Poza tym odczuwalny jest też nadzór administratorów moderujących dyskusję.

Kupując nasz produkt, wspierasz m.in. gwarę!

E-shop stosujący gwarę również pozwala docenić urok dialektu. Regionalni przedsiębiorcy umieszczają reklamy swoich produktów na Facebooku. Jedno z takich kont otwiera slogan: „Po naszymu, what language do you speak?”. Poziom znajomości gwary i języka polskiego jest w tym wypadku względnie dobry (obecność polskich dwuznaków, przestrzeganie zasad pisowni), co ma budzić zaufanie do promowanego na stronach towaru. Polonizmy leksykalne (*zdjynci*, taszka *kosztuje*, tryczka w biołym a czornym *kolorze*) występują na zmianę z wyrazami czeskimi (taszki *nóm miznóm* przed oczami; Uwaga, uwaga! Przipóminómy, że dzisio kóńczy „*przedprodej*”). Na tekst główny (reklamę) reagują (również w gwarze) zadowoleni klienci, czasami z odległych części świata. Do nabycia blaszanego garnka zachęca taki tekst:

Plechoczek jaki tu eszcze nie był! Gorole i Dolanie na jednym gorku.

Możecie go mieć doma, rano se z niego popijać herbatę, nikiedy na kopce weznyć, aj na wakacje w daleki kraje.

Albo jak kto przyjedzie z daleka, to mu na pamióntke docie.

Už sie nie musicie boć, że Wóm teskno kiej za chałpóm beje, jak sie na Was plehoczek z Zaolzio uśmieje!

Nie chybióm na nim ani spadochróniorze na Jaworowym albo łowce w Goralii.

Do kupiynio sóm na naszym internetowym sklepie...

Sami swoi!

Tytuł serii podcastów „O naszych po naszymu” jest wymowny. Prezenterzy Romek i Tomek zapraszają w charakterze gości młodych Zaolzian, członków mniejszości polskiej, którzy wykonują jakiś ciekawy zawód, mają interesujące pasje i/lub są rozpoznawalni także poza Zaolziem. I swobodnie rozmawiają, np.:

(gość) wiysz co, tyn film (...) je zaležitost, kiero už trwo kapeczke deli, je to mój absolwencki film z oboru audiowizualni tworba a diwadło na jamu (JAMU), a każdpadnie je to film, kiery żech toczył jako magisterski, a miołby być gotowy nebo už je gotowy (...)

(prezenter) a (...) ni mocie w planie puścić jaki strim a jaksim sposobym to spoplatnić?

(gość) tak jo myślým, że trze(b)a (...) už je na jutub, a óno to ni ma ganc o tym, jesi to spoplatnić, bo to je małonakładowy film, a tyn zajem ni

ma aż taki wielki, także po jakim czasie to as-i na internecie beje,
że to dómy na onlajn

Z tego krótkiego fragmentu rozmowy spisanego przy użyciu polskich liter i podstawowych zasad pisowni wynika, że gwara cieszyńska, jaką znamy na przykład z twórczości Józefa Ondrusza czy Anieli Kupiec, nie byłaby w stanie wyrazić potrzebnych treści. W tytule podcastu słusznie więc użyto określenia *po naszymu*.

Zabierz głos u Brandysa!

Ambitny, prowadzony fachowo program „Głos Brandysa” gości zarówno użytkowników gwary, jak również języka ogólnego. Ich kompetencja językowa jest różna. Ciekawostką jest często stosowana semikomunikacja, gdy zarówno osoba prowadząca program, jak i osoba zaproszona pozostają wierne swojemu kodowi językowemu. Tak dzieje się np. w odcinku o kowalu z Piasecznej:

(SB) Czy podglądał pan najpierw tę pracę gdzieś w domu?
(gość) tak u swojigo [ojca], no jo własnie mie, było dwanost roków, jak tata tam kuł kónie że?, a robił ze żelazym mie se to strasznie podobało, jak idzie to żelazo twarować, jak plasteline, no tak zech chodził z nim robić, a jak prziszeł tyn wiek,/ jesi chladać jakisi uczyni, tak zech se szeł wyuczyć kowolym

ŁO pogodzie...

Kto zna pogodowe godki z Jankiem Michalikiem, musi się zachwycać nie tylko ich treścią, pięknym plenerem, ale również językiem ich autora, „ekologa, zielarza, ogrodnika, miłośnika gwary i kultury” – jak podaje internet:

witóm was serdecznie dzisio w tyn piekny zimowy dziyń (...) widzicie sami, że je cudownie (...) możne bedzie aji meter śniega abo bedóm mrozy jak w ruskim filmie (...) dziska zech was zakludził ku Olzie, bo nie wiym jeśi to wiycie, ale aż koło całej łOlzy grasujóm abo gospodarzóm bobry, tu je łoto topol łosika kiery tu był pore roków porzón-dnie podgryzióny, dostał sie tu grzib (...) po tej strónie niedogryziónej sie to potym bydzie przewracać jak wiater fuknie...

* * *

Czy gwara i internet przystają do siebie? Z zaprezentowanej próbki materiału językowego wynika, że jak najbardziej. Co więcej – gwara i internet żyją w godnej pozazdrosczenia symbiozie. Internet jako ekspansywne i perspektywiczne medium udostępnia gwarze miejsce i czas. Oferuje jej codzienną obecność w różnych sytuacjach i docieranie do licznej grupy użytkowników. Płaszczyzna medialna daje gwarze okazję do wychodzenia na zewnątrz, poza region, do innych grup. Z drugiej strony gwara wzbogaca komunikację w sieci o oryginalne środki stylizacyjne, które z całkiem tuzinkowych wypowiedzi potrafią wyczarować atrakcyjne teksty – dowcipne i wzruszające, realistyczne i wiarygodne.

A że gwara w internecie nie zawsze spełnia oczekiwania językoznawców? Nieistotne. Jakakolwiek krytyka, choćby merytorycznie uzasadniona, nie powinna nikogo dyskwalifikować.

Do napisania artykułu zostały wykorzystane następujące źródła:

- Greń Z., 2021, Przekraczanie granic dialektu – przypadek śląski. Analiza funkcjonalna. „Slavia Meridionalis”, nr 21.
Karaś H., 2015, Zadania dialektologii w zakresie ochrony ginących gwar. „Gwary Dziś”, nr 7.
Studnicki G., 2015, Śląsk Cieszyński: obrazy przeszłości a tożsamość miejsc i ludzi. Katowice: Wydawnictwo UŚ.
Taras B., 2004, Anonim w Internecie, czyli o komunikacji incognito. [w:] Dialog a nowe media. Katowice: Wydawnictwo UŚ.
<https://dvojka.rozhlas.cz/kviz-rozumite-po-naszemu-otestujte-se-z-tesinskeho-nareci-8602342> [10.07.2023].
<https://youtu.be/EOMpM7qFGos> [10.07.2023].
<https://www.facebook.com/M%C3%B3wiym-po-naszemu-1012151532187130/?ti=as> [10.07.2023].
<https://www.facebook.com/groups/1890784734508278/> [10.07.2023].
<https://podcasts.apple.com/cz/podcast/o-naszych-po-naszemu/id1494755202> [10.07.2023].
<https://youtu.be/L5g2mmtkZZI> [10.07.2023].
https://www.youtube.com/watch?v=LD-pkO_XvIM [10.07.2023].

Pokażmy, dlaczego warto być Polakiem

ROZMOWA Z PROF. DANIELEM KADŁUBCEM

MARIAN SIEDLACZEK: Chciałbym zacząć naszą rozmowę od pytania, które mocno mnie nurtuje co najmniej od momentu ogłoszenia wyników ostatniego spisu ludności w Republice Czeskiej: dlaczego ubytek Polaków na Zaolziu nabral takiego tempa po 1989 roku? Jeśli jedną z przyczyn jest możliwość podania w spisie podwójnej narodowości (w tym śląskiej), dlaczego ludzie decydują się na wybranie tej opcji?

DANIEL KADŁUBIEC: Możliwość podania podwójnej narodowości to jeden powód, ale drugi – według mnie ważniejszy – jest taki, że po 1989 roku wszystko uległo relatywizacji. Słyszysz się taki przekaz: „Jesteście Europejczykami, narodowość nie ma żadnego znaczenia; czy się piszesz tak, czy owak, czyś Czech, czy Polak – to wszystko jedno; mamy teraz multikulturalizm i globalizację, nie upierajcie się przy narodowości, grunt, że jesteście Europejczykami.” Te teorie – multikulturalizmu i globalizacji – szczególnie trafiły do ludzi młodych. Przy czym trzeba podkreślić, że one natrafiły na coś, co nazywam osłabioną świadomością narodową. Gdyby ta świadomość narodowa była pewna, ugruntowana, to bez względu na to, jakie teorie panują, wiedzielibyśmy, kim jesteśmy i gdzie jest nasze miejsce.

Podczas badań pytamy na przykład młodzież: „Kim się czujesz? Czy jesteś Polakiem, Czechem?”, a oni na to: „Ja się czuję Europejczykiem”. Co to w ogóle ma znaczyć? Europejczyk przecież nie istnieje bez Polaka, Czecha, Słowaka i tak dalej. Nie ma przecież europejskiego języka, europejskiej muzyki czy literatury. Jest język czeski, polski, słowacki, muzyka Chopina, Moniuszki, Smetany czy Dvořáka, ale to są narodowe języki i narodowa muzyka. Dziwię się, dokąd doszliśmy w tym pogmatwaniu pojęć, skoro na przykład Mickiewicz napisał na początku XIX wieku wiersz „Do Joachima Lelewela”, w którym mówi: „A tak, dokąd się obrócisz, z każdej wydasz stopy, / Żeś znad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy.” „Żeś Polak, mieszkaniec Europy” – to ma sens. Tak samo Paweł Stalmach na Zjeździe Słowiań-



skim w Pradze w 1848 roku napisał: „Pamiętać musimy, że wśród Słowian jesteśmy Polakami, a wśród Polaków jesteśmy Ślązakami” – to też ma sens. A tego nikt dzisiaj nie mówi. Przed dwoma wiekami nie było w tej materii takiego poplątania.

MS: Wydaje mi się, że także nasza gwara zmienia się w szybkim tempie. Chciałbym Pana jako specjalistę o to zapytać. W latach 70. i 80. XX w. popularyzował Pan też o staropolskich korzeniach gwary cieszyńskiej. Dowodził Pan też, że gwara sama się obroni przed zapożyczeniami z innych języków, głównie przed bohemizmami. Warunkiem miała być odmiana czeskich wyrazów na zasadach polszczyzny, na przykład dopuszczalna była forma „na nadrażu”, jako że końcówka była polska, natomiast sformułowanie „na nadrazi” było już traktowane jako ewidentny bohemizm. Po prawie półwieczu nasza gwara jest dosłownie przesiąknięta bohemizmami. Skąd to przyspieszenie?

DK: Hm, tu muszę sprostować: nie twierdziłem, że gwara się obroni, bo żaden język żywy nie obroni się przed zapożyczeniami. Dzisiaj w językach polskim i czeskim jest tyle anglicyzmów, że czasem nie rozumiem, o czym w ogóle jest mowa. Czyli – każdy żywy język zapożycza w danej chwili historycznej od innych języków, w zależności od tego, jakie są konstelacje geopolityczne, co przeważa. Byłoby więc dziwne, gdyby gwara jako język żywy nie zapożyczała, tym bardziej, że żyjemy jako mniejszość

w otoczeniu czeskiej większości. Na Zaolziu jesteśmy zasypywani bohemizmami ze wszystkich stron. Konsekwencja jest oczywiście taka, że w naszej gwarze te bohemizmy się pojawiają. Ale trzeba podkreślić, że mają one, podobnie jak anglicyzmy w językach narodowych, charakter przeważnie leksykalny, to znaczy słownikowy. Natomiast o etniczności gwary nie świadczy to, ile ona przyjmuje środków leksykalnych, ale to, jak te zapożyczenia adaptuje, przyswaja. I śmiem twierdzić, że po dziś dzień te zapożyczenia są przyswajane zgodnie z fonetyczno-fonologicznym i gramatycznym systemem gwarowym, który ma zdecydowanie charakter staropolski.

MS: Z tym się zgadzam, jednak tych zapożyczeń jest mnóstwo. I one przecież nie znikną – zostaną i wyprą polskie słowa.

DK: Niekoniecznie. Popatrzmy, dzisiaj już mało kto mówi, że wywiesił *fane*, wzięł *sznuptychle*, *jechoł personką*, *lascugym*, wyjął pieniądze ze *szrajtofle* i tak dalej. Młodzież tego nie używa, germanizmy w gwarze są w odwrocie.

MS: Te germanizmy są wypierane przez bohemizmy. Ale czy to jest jeszcze czysta gwara?

DK: O tym właśnie mówię: że słownictwo jest nagminnie zapożyczane – choć właściwie trzeba by to zmierzyć narzędziami statystycznymi, tym bardziej, że dla mnie miarodajny nie jest internet, tylko żywa mowa – ale faktem jest wkradanie się do gwary wielu bohemizmów. Jest to pewien postępujący proces, szczególnie wśród młodego pokolenia. Jednak twierdzę, że te zapożyczenia ciągle mają formę dźwiękową i gramatyczną polską. Ale to nie jest powód do radości.

MS: Nie jestem do końca przekonany. Podam Panu jeden przykład, który sobie właśnie przypomniałem, i który widziałem kiedyś na Facebooku. Jakiś młody absolwent „Gimpla” chwali się, że otrzymał prawo jazdy. I napisał to tak: „Zostołech št’astnym držitelym řidičskigo prukazu”. Moje pytanie brzmi: czy to jest w gwarze?

DK: Trzeba by to było słyszeć. Jestem przekonany, że akcent w tym zdaniu pada na sylabę przedostatnią, że samogłoski są tu tylko krótkie, widzimy, że czasownik ma formę staropolską (zostołECH), przymiotnik ma zakończenie także polskie (*řidičskIGO*). Uważam, że jeszcze jedno jest tu niezwykle ważne – to zdanie ma charakter jakby terminologiczny, oficjalny, sformalizowany nawet prawnie – *držitel rzi-dičskigo prukazu*. To się mechanicznie, inercyjnie powtarza i wcale to nie świadczy o stanie języka. Świadczy o nim spontaniczna żywa mowa.

MS: To było napisane.

DK: No właśnie. I to, co przed chwilą powiedziałem – muszę słyszeć tekst, a nie tylko go widzieć zapisany, ponieważ dla mnie język żywy to język mówiony.

MS: Ale to są przecież wszystko czeskie słowa...

DK: Tak, słowa są czeskie z polskimi formami gramatycznymi i fonetycznymi. Ale, jak powiedziałem, nie jest to powód do zadowolenia. Młodzież używa fatalnego języka gwarowego. I nie jest wszystko jedno, jak mówimy, język bowiem jest zwierciadłem człowieka. Więc jak wyglądamy w tym zwierciadle? Ale czy ktoś jeszcze na to zwraca uwagę?

MS: Mnie to boli!

DK: Rozumiem. Ale mówimy o dwóch sferach, mianowicie gramatycznej, fonetycznej i leksykalnej, słownikowej. Jeżeli chodzi o sferę leksykalną – absolutna zgoda, że to są słowa czeskie, natomiast dla mnie istotne jest, jak się te wyrazy zachowują w danym systemie gwarowym. I powtarzam, iż przeważnie jest tak, że brak w nich długości, że mają akcent na przedostatniej sylabie, mają polską strukturę fonetyczną i polski w przeważającej mierze system gramatyczny. Czyli są zaadaptowane do systemu polskiego, co nadal świadczy o jego sile i żywotności. Jednak same zapożyczenia robią fatalne wrażenie na kimś, komu jeszcze zależy na choćby tylko względnej czystości gwary.

MS: Ale tu dochodzimy do absurdalnej sytuacji, że takiego zdania, jak powyżej cytowane, Polak nie zrozumie, a Czech – tak. Więc czy możemy się jeszcze upierać, że jest to gwara języka polskiego?

DK: Zwróćmy uwagę na to, że to jest jedno zdanie wyrwane z kontekstu. I w dodatku, jak powiedziałem, o charakterze utartej czeskiej frazeologii. Nie możemy na tej podstawie wnioskować o całej wypowiedzi tego młodego człowieka, o jego języku.

MS: Dobrze, w takim razie zastanówmy się nad tym zjawiskiem pisania gwarą. Jak Pan sądzi, czy wszechobecne na Zaolziu stosowanie gwary w piśmie, głównie w internecie, jest zjawiskiem pozytywnym, czy negatywnym?

DK: Tak, rzeczywiście istnieje takie zjawisko, że komunikacja między Zaolziakami w internecie, albo na przykład w SMS-ach, przebiega *po naszymu*. Uważam, że jest to zjawisko charakterystyczne nie tylko dla Zaolzia, ale i dla innych regionów, gdzie gwara jest żywa. Ale takie regiony można policzyć na palcach jednej ręki.

MS: Może jeszcze uzupełnię to pytanie. Za czasów mojej młodości, czyli było to dorywczo dawno temu, wszyscy rozmawialiśmy cały czas gwarą. Ale kiedy dochodziło do pisania, to pisało się językiem literackim. Zawsze, do wszystkich – czy do rodziców, czy do kolegów. W gwarze nie pisało się niczego, ni-cze-go! Nawet kiedy się przysyłało komuś w szkole jakiś liścik, karteczkę typu: „Czekaj na mnie tam i tam”, to nigdy się nie pisało: „Czakej na mie...”, tylko po polsku.

DK: To jest zagadnienie z dziedziny socjologii języka. I zauważmy, że zjawisko, o którym mówimy, jest typowe dla młodej generacji. Mnie by, podobnie jak Panu,

nigdy w życiu nie przyszło do głowy, żeby pisać list *po naszymu*. Zatem jest to kwestia generacyjna.

MS: To prawda, ale zadajmy pytanie: dlaczego tak jest? Dlaczego te młode pokolenia wybierają w takich sytuacjach gwara?

DK: Odpowiem pytaniem: jaka jest funkcjonalność polskiego języka ogólnego na Zaolziu? Gdzie my możemy mówić tym językiem? W urzędzie, w sklepie – absolutnie nie. Nawet w domach prawie w stu procentach dominuje gwara. Czyli tylko w szkole i ewentualnie na zebraniach PZKO. A zatem funkcjonalność języka ogólnego jest mocno ograniczona. A używanie języka jest wprost proporcjonalne do jego funkcjonalności: czyli to jest kwestia pragmatyczna.

Oprócz tego jest jeszcze druga kwestia: myślę, że w naszych szkołach zbyt mały nacisk kładzie się na to, że my nie jesteśmy tylko małym Zaolziem, ale jesteśmy częścią narodu, narodu polskiego. I podkreślam, że gwara jest z tej perspektywy szalenie istotnym argumentem historycznym. Wiemy, że system gwar cieszyńskich ma staropolski charakter; pisał o tym Aleksander Brückner i wielu innych. Poświęciłem temu książkę „W cieszyńskim mateczniku”. Mówiąc gwarą cieszyńską, dajemy do zrozumienia, że my tu jesteśmy od wieków. Jeżeli ktoś mówi, że jesteśmy popolszczonymi Morawcami, to nasza gwara zadaje temu kłam. Język jest bowiem jednym z podstawowych identyfikatorów etniczności. Jest to w naszej sytuacji niezwykle ważki argument i z tego względu gwara jest dla nas szalenie istotna. Ale jeżeli będziemy się upierać tylko przy gwarze, to zamykamy się w getcie. Bez współczesnej polszczyzny jesteśmy gettem. I tu idzie o to, żeby gwarę, powszechność tej gwary, wyważyć polskim językiem ogólnym. To się, niestety, nie dzieje.

MS: W takim razie chciałbym zapytać o jeszcze jedną rzecz. W naszych szkołach dochodzi niekiedy do takiej sytuacji, że nawet niektórzy nauczyciele nie rozmawiają z dziećmi po polsku, tylko gwarą. W związku z tym: czy nie byłoby dobrym pomysłem wprowadzenie w szkołach osobnych zajęć z gwary, na przykład w ostatnich klasach szkoły podstawowej?

DK: To doskonały pomysł! Mówię o tym od lat. Tylko problem: kto? Gdzie jest taki nauczyciel, który mógłby nauczać gwary?

MS: Trzeba by stworzyć podręcznik, przeprowadzić szkolenia. Ale przecież dałoby się to zrobić.

DK: Dałoby się i miałoby to wielki sens. Tylko kto? Dodam jeszcze z całą mocą, że gwara jest naszym znakiem polskości. Młodzież czeska zupełnie się od niej odsuwa. W rezultacie jest ona kultywowana, gdy o młode pokolenie chodzi, prawie wyłącznie przez Polaków, którzy w ten sposób manifestują swoją polskość. Tylko o jej jakość trzeba zadbać.

MS: Jeżeli mówimy o roli gwary, to zadajmy jeszcze szersze pytanie: czy może przetrwać kultura, która sprowadza się tylko do folkloru? Mam na myśli to, co się dzieje teraz w działalności kulturalnej na Zaolziu: głównie folklor. Wszędzie.

DK: Na pewno taka kultura może przetrwać. Mamy na to mnóstwo przykładów. Kultury regionalne we współczesnej Europie nie cofają się, tylko zyskują na sile. Również na Śląsku Cieszyńskim mamy dowody na to, że ta kultura regionalna jest u nas obecna co najmniej od XVII wieku, jak świadczą o tym choćby pamiętniki chłopskie. Być może będzie trwać u nas na Zaolziu nawet dłużej niż kultura polska ogólnonarodowa, gdyż ta druga nie jest u nas prawie w ogóle obecna. I nic nie zapowiada zmiany na lepsze.

MS: Mamy chyba siedem amatorskich zespołów teatralnych, z których tylko dwa grają po polsku: w Wędryni i w Karwinie. Cała reszta tylko po naszymu.

DK: Czyli w tej, powiedzmy „kulturze wysokiej” w wydaniu regionalnym też dominuje gwara. W tej chwili rzeczywiście wszystko na Zaolziu jest nastawione na regionalizm. Ludzie wiedzą, że jak to będzie *po naszymu*, to tam przyjdą *aji Czesi*. Byłem kiedyś na przedstawieniu w Ligotce Kameralnej – sporo Czechów, bo *to je po naszymu, my to rozumiemy, my som tu stela*. Czyli ta regionalna kultura trafia także do Czechów, natomiast polska kultura może być kultywowana tylko przez Polaków – dlatego siła kultury regionalnej na Śląsku Cieszyńskim jest większa niż tradycja kultury polskiej.

Chciałbym jeszcze powiedzieć kilka słów o tej nieobecności polskiej kultury ogólnonarodowej, wysokiej na Zaolziu. Młodzi tego nie pamiętają, ale ja pamiętam dobrze: po drugiej wojnie w Piaście był Solski, Holoubek, Klara Langer-Danecka, Wanda Wiłkomirska, w późniejszych czasach Wiktor Zin; bywał teatr Bim-Bom, nawet Teatr Narodowy. Był kontakt z żywą kulturą polską, z tą wysoką kulturą polską. Dzisiaj tego nie ma, ponieważ kultura stała się towarem i Zaolzia nie stać, aby za to zapłacić. I co jest w tym szalenie niebezpiecznego: w kontaktach z Polską ograniczamy się tylko do sfery handlowej. Chodzimy do Polski kupować, bo tam jest taniej, większy wybór i atrakcyjniejsze towary. Ja bym powiedział wprost – na Olzie znikła granica polityczna, ale powstała niebezpieczna granica kulturalna.

Nie mamy dostępu do żywej kultury polskiej, ona do nas nie dociera głównie ze względów finansowych, choć nie tylko. Dlatego zastanawiam się, czy nie byłoby sensowniej czasem wykorzystać Fundusz Rozwoju Zaolzia na sprowadzenie jakichś naprawdę wielkich zjawisk kultury polskiej, niż na rozdawanie pieniędzy na miejscowy użytek.

Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Kultura polska, ta wysoka, gdyby była na Zaolziu obecna, byłaby ważna nie tylko dla nas, mniejszości, ale także dla większości. Ponieważ większość postrzega nas tylko przez handel,

przez Kaufland, stacje benzynowe. Powinniśmy pokazać – i sobie, i naszym czeskim współobywatelom – że Polska to nie tylko tanie sklepy i tania benzyna, ale wielkie, uniwersalne wartości, wspaniałe zjawiska kultury. Myślę, że Czesi inaczej by nas postrzegali, gdyby byli świadkami, że ta więź z Polską jest żywa także na płaszczyźnie kultury.

MS: Jeśli chodzi o życie kulturalne na Zaolziu, to chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Zapewne pamięta Pan okres po 1989 roku, kiedy to w naszej przestrzeni publicznej było aż gęsto od dyskusji i polemik. Od pewnego czasu polemiki umilkły, w zaolziańskich mediach ze świecą można szukać publicystyki, dominującym tematem są kronikarskie sprawozdania z imprez, powielane zresztą we wszystkich kanałach informacyjnych: przeważnie „Zwrot” wysyła swoją ekipę, „Głos” swoją i obie gazety piszą o tym samym. Czy nie grozi to popadnięciem w swojego rodzaju letarg, leniwe samozadowolenie?

DK: Uważam, że już jesteśmy pogrążeni w takim letargu. Jednocześnie obaj doskonale wiemy, że wszelkie uwagi krytyczne na Zaolziu są traktowane jako atak na polskość. „Co wy chcecie? My tu robimy od rana do wieczora, często społecznie, za darmo! A wam się to jeszcze nie podoba...” Cóż, to jest zjawisko typowe dla wszystkich miniświatków, w których się wszyscy znają. Każde odmienne zdanie – nie żaden atak, tylko leciutka sugestia, że coś można by zrobić inaczej – zaraz budzi reakcję: „No to sobie to róbcie sami, jak jesteście tacy mądrzy!”. Sami „wyhodowaliśmy” takie podejście na Zaolziu, bo jak Pan słusznie zauważył, całkowicie odeszliśmy od wszelkich polemik i wszędzie króluje samozadowolenie. „*Jyny do niczego nie dziubać*”. Mnóstwo na to przykładów. Ale bez wymiany zdań niepodobna iść naprzód, można tylko stać w miejscu, a nawet się cofać.

MS: Środowiska zaolziańskie traktują się jak jedną rodzinę i jakkolwiek krytyka jest odbierana jako wynoszenie tajemnic rodzinnych na zewnątrz.

DK: Tak jest. Zauważę tylko, że mój artykuł „Dzwon na alarm”, w którym analizuję naszą sytuację po spisie ludności i zastanawiam się nad tym, co robić, by zahamować ten śmiercionośny ubytek Polaków, opublikowałem w „Tramwaju Cieszyńskim”, bo na Zaolziu został objęty cenzurą.

MS: Chciałbym także zwrócić uwagę na deprymujący deficyt rodzimych „kadr” w sferze humanistycznej: literatów, dziennikarzy, nawet nauczycieli. Czy na tym etapie naprawę jesteśmy skazani na ściąganie takich osób z Macierzy, czy może jest to wynik jakiegoś naszego zaniedbania?

DK: Jest to w przeważającej mierze wynik naszego zaniedbania. My w ogóle nie mamy rozeznania, ilu takich czy innych specjalistów potrzebujemy. Pamiętam Wydział Pedagogiczny w Ostrawie, lata 70., kwestię szkolnictwa. Dokładnie wiedzie-

liśmy, co będzie za dwa, trzy, pięć lat, ilu będziemy potrzebowali fizyków, polonistów. Taki raport przygotowywał inspektor. Dzisiaj nikt tego nie wie.

MS: A przecież mamy Centrum Pedagogiczne.

DK: Trzeba by tam o to zapytać, ale nie wiem o tym, by takie raporty istniały. Dalej: kiedyś organizowane były, zdaje się że w ramach Zarządu Głównego PZKO, kursy dla dyrygentów, wodzirejów, dla kierowników świetlic, prelegentów. Był spis prelegentów z ich tematami. Dzisiaj w przeważającej większości mamy dyrygentów z Polski, prelegentów z Polski. Swoich nie mamy. Mamy coraz mniej własnych redaktorów, dyrygentów, nauczycieli, ale nikt się tym nie przejmuje. Jakoś będzie, ale bez prognozowania będzie tylko gorzej.

MS: Dochodzimy tu do kolejnej kwestii: czy obecny model organizacyjny na Zaolziu, to znaczy: Kongres Polaków, PZKO oraz samodzielne organizacje i stowarzyszenia, sprawdza się w praktyce? Czy wszechobecny dzisiaj system dotacyjno-grantowy nie przyduł myślenia perspektywicznego, innowacyjnego, kreatywnego?

DK: Brak takiego myślenia widzę jako wielki problem, może nawet istotę naszych problemów na Zaolziu. Nie ma żadnego programu, żadnego grona, które by się zajęło takimi sprawami: co zrobić z kulturą, z oświatą na Zaolziu, z nauką. Historię literatury zaolziańskiej piszą Czesi. Jesteśmy po prostu bezbronni. Nie mamy instytucji, która by modyfikowała tę naszą świadomość, wyznaczała trendy. Nie mamy architektów, wizjonerów – mamy tylko robotników, dobrych robotników, ale to za mało. Nie stworzono żadnej grupy ludzi, która by się zastanawiała nad tym, jak wykorzystać trudną współczesność dla polskość, jaką drogą podążać, co wybierać, z kim współpracować. Nie mamy wizji, nie mamy prognozy, nie mamy analizy rzeczywistości. A od takiej analizy trzeba by było zacząć. Sprawdzić, w jakim miejscu jesteśmy. Bez takiej analizy nie możemy wytyczyć żadnego sensownego kierunku działania, bo byłoby to robione na zasadzie „nam się tak wydaje”. A to, że nam się coś wydaje, to o wiele za mało, jeśli chodzi o funkcjonowanie społeczności.

Pracownicy naszych najważniejszych instytucji siedzą w papierach i wypełniają wnioski o dotacje. Bardzo dobrze, tylko trzeba się zastanowić nad tym, na co przeznaczyć te środki, by poprawiły nasz byt narodowy, by przełamać te nużące stereotypy, które nikogo z młodych już nie interesują. Idziemy drogą inercji. Robimy to, co było kiedyś: były bale, róbmy bal; było smażenie jajecznicy, smażmy jajecznicę; było opiekowanie kiełbasek, pieczmy kiełbaski. I dobrze, ale co dalej? Co ponad to? I co zastanawiające, na żadnym zjeździe PZKO nie było nawet wzmianki o tym, co zrobić z naszą kulturą, oświatą, językiem. Oznacza to, że wszystko jest w porządku i nie trzeba nic zmieniać.

MS: **Kongres Polaków stworzył coś takiego jak Centrum Polskie...**

DK: ...a ja bym chciał wiedzieć, na czym polega praca tego Centrum. Jaki ma program, osiągnięcia, gdzie można o tym przeczytać, dowiedzieć się. Jeżeli to się nazywa „Centrum Polskie”, to jego podstawowym zadaniem jest zrobienie takiej analizy rzeczywistości, o której wspominałem wcześniej. Jeżeli sami pracownicy nie są w stanie tego zrobić, bowiem są tylko trzej, to koniecznie powinien powstać zespół doradców, którzy by się systematycznie zajmowali procesami zachodzącymi w naszym społeczeństwie w kontekście współczesności. Robienie filmików na dwa tygodnie przed spisem ludności do niczego nie prowadzi. Chodzi o takie działania, które by się przekładały na poprawę naszej kondycji narodowej. Nie ma takiego zespołu i co gorsza, nie ma na niego zapotrzebowania.

MS: **Mamy „Wizję 2035”.**

DK: I jest to wizja tylko na papierze, która wymagałaby uaktualnienia i grupy kompetentnych realizatorów.

MS: **Co do zorganizowanych działań – po 1989 r. organizacje społeczne i środowiska twórcze na Zaolziu powróciły do praktyki znanej z lat międzywojennych: upodmiotowiły się albo zaczęły się reaktywować. Teraz jednak obserwujemy ponowny zanik działalności wielu z nich, zwłaszcza stowarzyszeń twórczych. Co może być przyczyną tego zjawiska?**

DK: Działaczy nie przybywa, tylko ubywa. Ci sami udzielają się w różnych organizacjach, więc siłą rzeczy się wykruszają, a nie widzę żadnej inicjatywy, by pozyskiwać, przygotowywać nowych. A stowarzyszenia twórcze? Weźmy za przykład dawne SLA – Sekcję Literacko-Artystyczną działającą kiedyś przy ZG PZKO. Zlikwidowana. Została pustynia. A ja pytam – co w zamian? I co zastanawiające, nikomu tego nie brakuje, ale ciągle narzekamy na upadek słowa ojczystego. Właśnie literaci SLA organizowali spotkania, wieczory, konkursy, wciągali młodych, słowem zapewniali kontakt z macierzystą mową. Runęły ramy organizacyjne, a bez nich nie da się nic sensownego zrobić. Pojawiają się poeci, prozaicy, ale działają w pojedynkę, każdy na własną rękę, nie ma tej siły tkwiącej w zorganizowanym działaniu. SLA wydało dziesiątki, ba, setki publikacji, był jakiś plan, wytyczona perspektywa działania.

MS: **Nie chodziło mi tyle o działaczy, społeczników, co o ludzi sztuki. Ilu mieliśmy poetów trzydzieści lat temu, a ilu mamy dzisiaj? Ale tego nie da się odgórnie zadekretować, spod ziemi ich nie wykopiemy przecież.**

DK: Racja, spod ziemi się ich nie wykopie, jednak stoję na stanowisku, że jeżeli coś ma funkcjonować, i to w długiej perspektywie, musi mieć ramy organizacyjne.

Po co istnieje na przykład taki ZASP, Związek Artystów Scen Polskich?

MS: **ZASP istnieje, bo są artyści, których interesy on reprezentuje. A u nas, obawiam się, nie ma dla kogo tworzyć tych ram organizacyjnych. Mało kogo interesuje kultura, sztuka.**

DK: Ale dlaczego tak jest? Dlaczego kiedyś byli artyści, a teraz ich nie ma? Moim zdaniem dlatego, że wtedy mieliśmy właśnie te ramy organizacyjne, w których oni mogli działać. W tym gronie zastanawiano się na przykład, kogo zaprosić z Polski, co zorganizować dla nobilitacji słowa ojczystego. Było nawet coś w rodzaju kawiarenki literackiej, systematycznie działającej w budynku ZG PZKO. Wszystko się polikwidowało i mamy zero. I nikomu tego nie brakuje – nie ma, no to nie ma.

MS: **Na zakończenie chciałbym zapytać – jak widzi Pan przyszłość polskość na Zaolziu?**

DK: Myślę, iż to, że się liczebnie kurczymy, jest nieuniknione, jest to po prostu wpisane w każdą mniejszość. Zdaje się, że nigdzie na świecie nie przybywa liczebnie mniejszości w takiej sytuacji jak nasza, bo takie mniejszości są poddawane silnym mechanizmom asymilacyjnym. Duża część młodej generacji to dzieci z małżeństw mieszanych czesko-polskich; to także jest jeden z powodów podawania podwójnej narodowości w spisie i tego, że ubywa „rdzennych” Polaków, a przybywa tych „hybrydowych”. Dlatego oczywiste dla mnie jest, że liczebność Polaków na Zaolziu będzie się zmniejszała. Ale do jakiego stopnia?

Wszystko zależy od tego, co my z tym zrobimy. Czy wykorzystamy to, co nam przynosi współczesność, żeby zwiększyć atrakcyjność bycia Polakiem na Zaolziu. To jest podstawowe zadanie na dzisiaj: pokazać, dlaczego warto tu być Polakiem. Bo tradycja to jedna sprawa, ale ta atrakcyjność bycia Polakiem dzisiaj – druga. Czyli to, o czym mówiliśmy wcześniej: musimy zrobić wszystko, żeby polska kultura była na Zaolziu obecna i dostępna. Inaczej utopimy się w tym własnym jeziorku, w tym naszym regionalizmie. Moim zdaniem wszystko będzie zależało od tego, co zrobimy w najbliższym czasie, bo nawet rok to zdecydowanie za długo, ale na razie nawet się nad tym nie zastanawiamy.

PAWEŁ HUT

Confiteor. Transelsia laudatio

(Wyznanie: pochwała Zaolzia)

Czym jest Zaolzie? To pytanie od lat przyświeca kolejnym pokoleniom badaczy. Historycy, etnografowie, socjologowie, pedagodzy poszukują odpowiedzi, która w najlepszy i najprecyzyjniejszy sposób pozwoliłaby scharakteryzować... no właśnie, co scharakteryzować? Wyobrażenie? Przestrzeń? Miejsce? Ludzi? Faunę, florę, czy może szczególne obiekty – budynki lub ulice? Na potrzeby dalszych rozważań spróbuję zaproponować własną definicję Zaolzia, ale zanim ją przedstawię, chciałbym odwołać się do artykułu Adama Krumnika „Świat bez Zaolzia (Po drugiej stronie granicy)”, który został pomieszczony w *Kalendarzu Śląskim 2020*. Otóż Krumnikl nakreślił w nim alternatywne dzieje, w których przedstawił Zaolzie rozumiane jako etnograficznie oznaczony obszar południowo-zachodniej części Śląska Cieszyńskiego wraz z jego mieszkańcami i infrastrukturą, który znalazł się w granicach Czechosłowacji. I chyba jest to najpowszechniejsza definicja, którą posługują się badacze, publicyści i politycy. Zapewne podobnie określają Zaolzie jego mieszkańcy, ale już niekoniecznie osoby spoza tego miejsca.

Czy zatem taka definicja jest adekwatna? Otóż, moim zdaniem, nie! Zaolzie bowiem jest przestrzenią ze wszech miar wyjątkową. Nie nosi w sobie naturalnego napięcia obszaru, na którym ustawicznie trwa otwarty konflikt pomiędzy zwaśnionymi i wrogimi grupami mieszkańców, odwołujących się do niezliczonych argumentów: historycznych, etnograficznych, konfesyjnych, ekonomicznych, politycznych, kulturowych etc. Nie jest też miejscem, gdzie nie odczuwa się w ogóle napięcia – ono jest: skryte, odsunięte, umocnione latami negatywnych doświadczeń, które po dzień dzisiejszy tkwią w podświadomości mieszkańców.

Kim są zaś mieszkańcy Zaolzia? Bez wątplenia są społecznością o dużym zróżnicowaniu wewnętrznym: ekonomicznym, tożsamościowym, osiedleńczym, kulturowym i językowym. Jednak nie ma już ono tego dawnego charakteru pozwalającego na łatwe kategoryzacje. Są jednak w tej zbiorowości dwie szczególne grupy. Pierw-

sza z nich to grupa osób, które w swej refleksji nad własną tożsamością zdecydowały się pozostać przy dziedzictwie przodków. We własny, subiektywny sposób mierzą się z próbą dopasowania doświadczeń przeszłości do współczesności. Jest to dzieło arcytrudne, ponieważ system aksjologiczny, warunki życia i otoczenie zmieniły się na przestrzeni pokoleń na tyle, że nie można obecnie w prosty sposób adaptować doświadczeń z przeszłości, ale jednocześnie to ów miniony dorobek może być i jest źródłem siły oraz dowodem wytrwałości i niezmienności, a obie te cechy zawsze leżą u źródeł sukcesu. Jest też druga grupa – osób, które z różnych względów oceniły, że nie warto pochylać się nad własną tożsamością, że można wybrać zupełnie inaczej niż przodkowie, a nawet wprost zakwestionować tamte wybory. Myślę, że część Czytelników rozumie takie decyzje, nie zawsze będące skutkiem głębszej refleksji, często jednak będące efektem porównania się do dużych grup narodowych obecnych w przestrzeni zaolziańskiej. Bliskość kulturowa, powiązania rodzinne, ugruntowane związki ekonomiczne, obecność i istotność w systemie politycznym państwa wywołują naturalne ciężenie do grupy większościowej.

Jakie są charakterystyczne miejsca na Zaolziu? Podobnie jak przy rozważaniach na temat wcześniejszych kwestii, także i w tym przypadku odpowiedź na to pytanie musi być rozbudowana i subiektywna. Bez wątplenia są miejsca szczególne – w pierwszym rzędzie to południowo-zachodni pas nadgraniczny przylegający do brzegu, a ponieważ w części granica biegnie środkiem Olzy, to także i ta rzeka. Nad wartkim nurtem Olzy rozpościera się most. Trochę łączący, a trochę oddzielający. Przypominający o rozerwaniu – symbolicznego dla regionu – miasta, ważnego ośrodka kultury, oświaty i gospodarki na dwie części. Od kiedy w chłodną, grudniową noc w 2007 r. przenikanie pomiędzy dwiema częściami miasta stało się niesłychanie proste, most opustoszał. Zniknęły instalacje kontroli granicznej, kolejki samochodów, zniknęli przedsiębiorczy mieszkańcy z charakterystycznymi torbami, zniknęli funkcjonariusze pilnujący interesów celnych obu państw. Na moście nie ma wielu osób i samochodów. Przemierzają go mieszkańcy, turyści i studenci.

Drugim, chyba najbardziej charakterystycznym miejscem zaolziańskiego Cieszyna, jest dawny hotel Polonia (później Piast) i siedziba Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek. Majestatyczny budynek, mający w przeszłości zaświadczać o sile środowisk polskich na Zaolziu. Przez lata zaniedbany, zdeklasowany i pozbawiony reprezentacyjnej funkcji, oczekujący na powrót minionej świetności. Jeszcze nie tak dawno ciemnobrunatną elewacją nie odstający od reszty budynków na lewym brzegu Olzy. Jeszcze nie tak dawno obiekt przyciągał stylową, utrzymaną w nieco archaicznym stylu restauracją: miejscem, w którym zarówno podróżni z pobliskiego dworca, jak też powracający z pracy, a często i młodzież, mogły się pożywić i chłonąć świat wcześniejszych pokoleń. Na wprost hotelu Polonia ulokowany jest

dworzec kolejowy – ważny punkt magistrali łączącej od ponad wieku odległe regiony byłej cesarsko-królewskiej monarchii. Ten dworzec – od momentu powstania – zawsze był ważny. Setki tysięcy podróżnych, przejeżdżających przez Dworzec Centralny w Cieszynie, patrzyło z okien pociągów na Sibicę lub majestatyczną tkanę miejską od Hotelu Central do Hotelu Polonia. Przez lata dworzec był przebudowywany, rozwijany i dostosowywany, a jednak zachował wiele z pierwotnego charakteru, nadanego mu w latach powstawania Kolei Koszycko-Bogumińskiej.

Wreszcie, do charakterystycznych miejsc należy zaliczyć trzy obiekty przy ul. Strzelniczej. Przysadzisty i jednocześnie wyrazisty korpus Strzelnicy. Miejsca reprezentacyjnego, położonego w urokliwej, parkowej okolicy, ale odwróconego od rzeki i drugiej, wyższej części miasta. Naprzeciwko Strzelnicy, pod numerem 10 stoi najpiękniejsza jednopiętrowa kamienica zaolziańskiego Cieszyna – odróżniająca się od innych obiektów pięknem wykończenia i żółtą elewacją – zaś wcześniej, wtłoczona pomiędzy inne budynki, stoi zniszczona przez niskokosztowy remont elewacji kamienica z zachowanym, frezowanym w szkle napisem.

Do charakterystycznych miejsc należy także miejsce upadku RWD-6 z kpt. Żwirką i inż. Wigurą na pokładzie w Cierlicku. Właśnie ze względu na swój symboliczny wymiar zostało ono zrównane z ziemią przez okupantów niemieckich. Odbudowane, pełni funkcję integracyjną dla zaolziańskiej młodzieży oraz wraz z Domem Polskim stanowi miejsce spotkań mieszkańców Zaolzia i Polski.

Przestrzeń zaolziańska obfituje w ważne miejsca, będące świadectwem losów mieszkańców tej ziemi. Od Mostów koło Jabłonkowa po Bogumin. Z urokliwym jabłonkowskim rynkiem i ogromnymi hałdami węgla w zagłębiowskiej części. Z niegdyś żółtym kościołem w Wędryni i odrestaurowanym drewnianym kościołem w Gutach.

Zaolzie jest także swoistą legendą. Wspomnieniem układowego życia tutejszego ludu. Pokornie znoszącego niesprzyjające okoliczności i radującego się z darów i przychylności. Legendą swojskości, tutejszości, lokalizmu i związania z ziemią i innymi mieszkańcami. Legendą uznawania wspólnych wartości: rzetelności, pracowitości, wytrwałości i akceptacji.

Czym zatem jest Zaolzie? Jest ono wyobrażeniem. Intuicyjnym rozpoznawaniem (i odróżnianiem) przestrzeni i ludzi „stąd”. Wyobrażeniem, które nie ogranicza się wyłącznie do obszaru czeskiej administracji państwowej na skrawku Śląska Cieszyńskiego zarządzanym przez Radę Narodową do 1919 r. ale także wyobrażeniem obecnym w świadomości narodowej Polaków i Czechów, którzy żyją w innych miejscach. Wyobrażeniem związonym z innymi wyobrażeniami. Lokalnym wpisem w wielkiej księdze europejskich wyobrażeń, dziedzictwem miejsca i spuścizną obyczajów.

* * *

Czym będzie Zaolzie rozumiane jako przestrzeń i zbiorowość ludzka za pół wieku? Będzie zmienionym, przekształconym miejscem i zupełnie nową społecznością. Nowe pokolenia, nowi mieszkańcy tej ziemi, przystosują ją do własnych potrzeb przy wykorzystaniu najnowszych zdobyczy techniki. W miejsce starych powstaną nowe drogi, które rozetną zintegrowany dotychczas obszar. Staną się nowymi rzekami, których oba brzegi rozwijają się w odmienny sposób. Droga będzie łączyć, ale i dzielić. Powstaną nowe osiedla, których mieszkańcy będą hołdować nowym zwyczajom i zasadom. Będzie to najzwyczajniejszy, naturalny proces, który obejmie całość zaolziańskiego spektrum. To dobrze czy źle? – może ktoś zapytać. – To nieuniknione – tylko taka odpowiedź na tak postawione pytanie może być uczciwa. Każda zmiana usuwa w mrok przeszłości sprawy i ludzi z minionej epoki. Każda zmiana niesie nowe: nowych ludzi, nowe obyczaje i nowy porządek. Nie inaczej będzie na Zaolziu. Ale to dawne, przeszłe Zaolzie, właściwie JEDYNE, bo pojęcie Zaolzie zaniknie, zostanie przechowane w zakamarkach pamięci, w resztkach bywaszego świata, wypłukane z imion i nazwisk ludzi, którzy podporządkowywali sobie tę ziemię: tworzyli podwaliny współczesnego im świata.

Zaolzie było, jest i pozostanie projektem na trzy pokolenia plus. Narodziło się w epoce ufności w postęp i rozwój, gdy w powojennej Europie coraz śmielej narzucano nowe wizje organizacji życia społecznego, a postęp techniczny umacniał przekonanie o bezgranicznych możliwościach człowieka. Trwało po doświadczeniu kolejnej wojny, jeszcze odważniej przebudowywane, zmieniane, przekształcane. Zdawać się mogło, że te parę powojennych dekad niewiele zmieniło, wręcz utrwaliło istniejący porządek i hierarchie, ugruntowało wzajemne relacje i sposób życia. Tak się jednak nie stało. Odseparowanie od naturalnego zaplecza w północno-wschodniej części historycznego Śląska Cieszyńskiego stało się kamieniem węgielnym „nowego”. Życie toczyło się nadal. W podgórskich wioskach i wielkoprzemysłowych miastach doświadczano radości i smutku, cieszą się z sukcesów i ubolewano nad porażkami, a równolegle, niezauważalnie dokonywała się zmiana. Przestrzeń zaolziańska, ten po Daviesowsku mówiąc: zaolziański mikrokosmos inniał, odmieniał się, stawał się nowym. Sprzęgnięty z odległymi krainami, wciśnięty w krańce państwowego rygoru – marniał. Dumny, mieszczański przepych na cieszyńskich ulicach, służący podkreśleniu dostojeństwa i powagi, zalepiono tanim tynkiem, w tak charakterystycznym od Władywostoku do Magdeburga szarym kolorze. Ale i epoka wielkich zmian, pragmatycznego siłowania się z naturalnymi przeciwnościami – uwarunkowaniami terenu oraz przyrodzonymi cechami ludzkiej natury – przeminęła, pozostawiając uformowaną w nowy kształt przestrzeń

i zbiorowość. Nadal powszechnie używającą języka swych ojców i pielęgnującą pamięć o przeszłości, ale już związaną i przywiązaną do tego nowego porządku, wszechobecnego, przepełniającego każdy dzień. Żyjąca w obawie, że kiedyś mogłoby go zabraknąć, że mogłoby się coś zmienić. Ten moment uważam za główny, szczytową intensywność zaolziańskości. Wszystko późniejsze okazało się już tylko wyzbywaniem się kolejnych cech i dóbr. Współcześnie ta historycznie rozumiana zaolziańskość jest niechętnie przyjmowanym ciężarem. Współczesny człowiek wyzbyty jest siłą, aby nadal go nieść. Została zatem zastąpiona „Zaolziańskością 2.0” – aktualną odmianą lokalizmu z naddatkiem folkloru i skrywanym resentymentem.

Zaolziańskość była niewyobrażalnym sukcesem. Brutalnym i twardym przejawem identyfikacji. Reakcją na zwanie dwóch wizji państwowości, obywatelskości i tożsamości. Rywalizacja nie była równa, a rozstrzygnięcie sprawiedliwe. Ale pozostało jedyne.

Zaolziańskość była projektem czasowym. Wehikułem tożsamości i czasu, który miał przenieść zbiorowość w lepszą, swojską przyszłość.

Zaolziańskość będzie wspomnieniem. Reminiscencją zanikającą w wyblakłych oczach odchodzących pokoleń, której odłamek sporadycznie, na moment, zagości w roziskrzonych oczach najmłodszych generacji; zgaśnie.

Na koniec tych rozważań warto przywołać słowa współczesnego publicyisty, który w jednej ze swych poczytnych książek napisał: „w każdej porażce jest ziarno przyszłego sukcesu”. Nie inaczej trzeba patrzeć na stuletnie dzieje zaolziańskości, na te trzy pokolenia plus. Na ogromny sukces ugrupowań politycznych i związków sportowych, na hardych nauczycieli i subtelnych chórzystów, na pociemniałe od wiatru oblicza spółdzielców i zgrubiałe dłonie robotniczych rzesz, na niełękających się księży obu wyznań i żołnierzy dzielnie broniących swej ziemi, na górali w białych i czarnych kapeluszach oraz mieszczan skrywających w kieszeniach 6- i 12-halerzowe aluminiowe żetony tramwajowe, kiedy już od miesiący żaden tramwaj nie dojeżdżał do dworca, na kolejarzy i gospodzkich. Na sieć szkół i zaolziańskich domów kultury. Spełniły swoją rolę, pełnią i nadal będą ją pełnić. Zmieniają się, czasem zanikają. Są odzwierciedleniem tożsamości – tej ulotnej, wielkiej sprawy, która potrafi unosić, ale i zepchnąć w przepaść. W przestrzeni zaolziańskiej, a i szerzej na tym skrawku pogranicza przejściowego – jak by powiedział socjolog – identyfikacja zawsze była wyzwaniem. Widać to i dziś, gdy tak niewinny akt, jak formalna deklaracja podczas spisu ludności wywołuje poruszenie, niepokój, dyskomfort. To naturalny odruch. Biologiczna niezgoda na wyzwania życia na krańcu, na krawędzi państwa. To, co w innym miejscu pozostaje niezauważonym, tu przemienia się w istotność.

W przedostatnim akapicie „Pamiętnika starego nauczyciela” Jan Kubisz napisał: „(...) czy my też tę ziemię ojczystą miłujemy z wszystkimi darami, które nam na tej ziemi [Bóg – przyp.] złożył, czy strzeżemy dziedzictwa ojców naszych i zachowujemy je niepodzielnie w spuściźnie pokoleniu naszemu (...)”. Te słowa spisane 98 lat temu współcześnie napełniły się inną treścią i mają już inną moc, ale nadal dla wielu wyznaczają sens i cel spełnienia.



dr hab. Paweł Hut – pracownik naukowo-dydaktyczny Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW. Dyrektor Departamentu Edukacji, Kultury i Dziedzictwa MON.

Na zdjęciu w środku w trakcie obchodów rocznicy tragedii cierlickiej na Żwirkowisku w 2020 r.



KALENDARZ
ŚLĄSKI

Wszelkie uwagi, komentarze i opinie można kierować na adres:
kalendarz.redakcja@gmail.com
